Lindsay Clancy
Kto i jak wykorzysta dzieciobójczynię
▶31



„Heart-stopper”.
Od miłości do dorosłości
▶34



WYSOKIE OBCASY
Rozkoszny
Polak wyraża miłość w kuchni



FOT. GREG DERR/POOL VIA REUTERS RYS. ALICE OSEMAN/WYDAWNICTWO JGUAR

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

„Lalka”
Czego uczy w czasach kryptowalut i AI

Dyskutują Kurski, Kondrat, Dorociński ▶4

FOT. GIGANT FILMS/KINO ŚWIAT (2), SHUTTERSTOCK, MONTAŻ: MARIUSZ ROSA, JAKUB PIOTROWSKI

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 39

Noblista został Polakiem
Z USA wasza nauka wygląda poważnie ▶22

Szczerek:
Nie śmieję się z Maryi z Konotopia
▶8



RAFAŁ POZORSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Za 10 lat
to oni będą rządzić Ukrainą
▶12

Pralka psuje się
coraz szybciej
▶28

Rosyjskie dzieci
u Władysława Warneńczyka
▶40

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 26 września – 1 października 2026 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 225.11324, 1 Nakład 69 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl 7e1750f966

Rosjanie są zdespe

To już

Celem będą terminale paliwowe, porty, lotniska, elektrownie, rafinerie. Może jeszcze w

Wielński



Pytamy kluczowych urzędników zajmujących się bezpieczeństwem państwa, co spędza im sen z powiek. Odpowiadają szczerze pod warunkiem anonimowości.

– Tęsknię za czasami, gdy w obiegu funkcjonował rok 2030 – mówi jeden z rozmówców.

Rok 2030 jako moment, gdy Rosja uzupełni arsenały nowymi czołgami, transporterami opancerzonymi i wyprodukuje odpowiednia ilość pocisków manewrujących oraz balistycznych, pojawił się w wypowiedziach wojskowych dobre dwa lata temu. Wtedy Moskwa miała być gotowa do ataku na NATO. Wizja wojny za kilka lat mobilizowała. Eksperci mogli popędzać polityków, by zbroili swoje kraje. Przekonywali społeczeństwa, że to rozbudowa fabryk broni, a nie żłobków powinna mieć obecnie najwyższy priorytet.

Licznik jednak się cofał. Z 2030 przestawił się na 2029, potem na 2027. – Dziś w społeczności wywiadowczej państw NATO istnieje pewien konsensus, że rosyjski atak może nastąpić jeszcze w tym roku. Za mało czasu, by coś nowego wyprodukować czy kupić. Musimy stawić czoła tym, co mamy. I ćwiczyć. Ćwiczyć musi całe państwo – słyszymy.

– Najbardziej niepokoi możliwość zmasowanego ataku dronów na cele rozsiane po całym kraju. Żeby wyrządzić jak najwięcej zniszczeń, zasiać jak najwięcej strachu.

Cele? Terminale paliwowe, porty, lotniska, elektrownie, rafinerie. Bez nich państwo nie może na dłuższą metę działać.

Skąd wiedza, że Rosjanie szykują się do takiego ataku?

– Z ustaleń wywiadowczych. Od sojuszników.

– Od Amerykanów? Z CIA? – dopytujemy. – Również.

●

Przedsmak mieliśmy w nocy z 9 na 10 września 2025. W polską przestrzeń powietrzną z terytorium Ukrainy i Białorusi wleciało ponad 20 rosyjskich dronów. Cztery, kierujące się w stronę lotniska w Rzeszowie Jasionce, głównego punktu przeładunku pomocy wojskowej dla Ukrainy, zestrzelili polscy i holenderscy piloci. Reszta rozbiła się.

Rosjanie wysłali nad Polskę wabiki, nieuzbrojone bezzałogowce, których celem jest skupienie na sobie uwagi artylerii przeciwlotniczej, by się wystrzelała z cennych pocisków.

– W międzyczasie doszło do przełomu technologicznego po stronie Rosji. Drony Geran 2 zastąpiły Geran 5. To zupełnie nowe zagrożenie. Skuteczność ukraińskiej obrony przeciwlotniczej znacznie zmalała – słyszymy.

Geran 2, kopie irańskich bezzałogowców oraz opracowane na ich bazie mniejsze wabiki typu Gerber napędzały zwykłe silniki spalinowe. Takie drony są tanie, ale bardzo wolne i latają na niskim pułapie. Do tego przenoszą głowicę bojową o masie około 40 kilogramów, czyli niedużą. Można je było zestrzeliwać z karabinów maszynowych na furgonetkach. Ukraińcy stworzyli całą serię interceptorów, czyli małych dronów, które błyskawicznie startują i przechwytują Gerana.

Geran 5 to zupełnie inna broń. Przypomina pocisk manewrujący, napędza go silnik turboodrzutowy pozwalający osiągnąć 600 kilometrów na godz. Głowica ma dwa razy większą masę. A do celu lecą na pułapie 6 kilometrów. Maksymalny pionowy zasięg ręcznego zestawu przeciwlotniczego Piorun jest o 2 kilometry mniejszy. Działka pokładowe helikoptera czy napędzane śmigłami intrerceptory nie są w stanie tego zestrzelić. Pociecha w tym, że Ukraińcy testują nowy system szybkich antydronów, które po wykryciu odrzutowego Gerana automatycznie odpala sztuczna inteligencja, ustalając kurs antypocisku i punkt uderzenia w intruza.

– Na razie ukraińska obrona przeciwlotnicza jest w stanie niszczyć jeden na dwa nadlatujące Gerany 5 – słyszymy. A skoro problemy mają Ukraińcy, którzy są w światowej awangardzie innowacji na polu walki, to co mają powiedzieć kraje NATO. Rosjanie czują, że otwarło się tak zwane okienko możliwości.

Zakłady w Jełabudze, 900 kilometrów na wschód od Moskwy, mają produkować do 3 tysięcy maszyn miesięcznie.

To Geran zaatakował ukraiński pociąg koło przejścia granicznego Dorohusk-Jagodzin. W wagonach do Polski wracali uczestnicy międzynarodowej konferencji w Kijowie, w tym kilku znanych europejskich polityków. Rosjanie wysłali w sygnał, że Europejczycy w Ukrainie nie są bezpieczni. A przejścia, przez które płynie do Ukrainy pomoc wojskowa – Rosja nie atakowała ich, obawiając się, że pociski spadną na terytorium NATO – zostały wzięte na celownik.

– Mogę sobie wyobrazić, że Rosjanie przypuszczą atak na przejścia graniczne po ukraińskiej stronie. Ale część dronów uderzy w obiekty w Polsce – słyszymy od jednego z rozmówców. – Potem powiedzą, że to pomyłka.

To jeden z mniej pesymistycznych scenariuszy, bo zakłada, że agresja będzie ograniczona. By chronić funkcjonariuszy Straży Granicznej i cywilów korzystających z przejść, po polskiej stronie pośpiesznie budowane są fortyfikacje chroniące przed wybuchami głowic Geranów.

●

Słowo „pomyłka" jest kluczowe. NATO rosyjskie prowokacje klasyfikuje jako działanie niecelowe. Pomyłką był zeszłoroczny nalot dronów. Incydent tak tłumaczył nie tylko Donald Trump, ale też służby krajów NATO. Kwatera główna sojuszu naciskała, by tematu nie drążyć.

Wkrótce po nalocie na Polskę rosyjskie myśliwce wleciały w estońską przestrzeń powietrzną. Estonia zgodnie z art. 4. Paktu Północnoatlantyckiego zażądała konsultacji z sojusznikami. Przedstawiciele kilku krajów NATO sugerowali, że Rosjanie naruszyli estońskie granice przez pomyłkę, choć przecież przebywali na obcym terytorium kilkanaście minut.

Upadek pod koniec lipca pocisku CH-101 na Lubelszczyźnie też zaklasyfikowano jako efekt awarii i zejście z kursu. Tymczasem nasi rozmówcy potwierdzają, że leciał po zaprogramowanym kursie i eksplodował tam, gdzie chcieli Rosjanie.

– To, że NATO jest bardzo ostrożne, łatwo zrozumieć. Ale wkrótce możemy dojść do punktu, gdy nie będzie dało się powiedzieć, że Rosjanie popełnili pomyłkę albo że doszło do awarii drona – mówi jedno z naszych źródeł. Sugeruje spełnienie czarnego scenariusza i atak wielu rosyjskich dronów na Polskę.

●

Do zwalczania Geranów-5 Ukraińcy używają również myśliwców F-16. By nie marnować cennych pocisków powietrze-powietrze, starają się niszczyć odrzutowe drony za pomocą działek pokładowych. Ukraina ma około 40 takich samolotów, mniej więcej tyle, co Polska.

Polska dysponuje też ośmioma – z zamówionych 32 – F-35. To najnowocześniejsze samoloty świata, dzięki sensorom doskonale radzą sobie z dronami. Rok temu to holenderskie F-35 niszczyły lecące na Rzeszów drony. Lecz polskie maszyny nie są gotowe do akcji bojowych. Szkolenie personelu naziemnego i wdrażanie załóg potrwa do przyszłego roku.

Przed dronami ma chronić nie tylko lotnictwo. Polska ma cztery jednostki ogniowe systemu Patriot. Lotniska w Rzeszowie, a więc południowo-wschodniej Polski, bronią też baterie Patriot przysłane z Holandii. To kolejne dwie jednostki ogniowe. Do tego dochodzą pociski średniego i krótkiego zasięgu systemu Narew.

Rakiety przeciwlotnicze będą chronić przed atakiem najcenniejsze obiekty. Jeśli dojdzie do ataku na dużą skalę, wszystkich dronów nie da się zniszczyć.

●

– Taki scenariusz oznacza wprowadzenie w Polsce stanu wojennego. I mobilizację. Bo to nie będzie jednorazowa operacja – słyszymy od rozmówców.

Andrzej rysuje



Cytat tygodnia

Nie mam potrzeby ewangelizowania ku wychowaniu w trzeźwości. Bez hedonizmu nie ma wolności, a jeżeli jest, to lurowata, niesmaczna.



ZYTA RUDZKA
pisarka, laureatka Nike

Rozmowa na Wyborcza.pl/kultura

FOT. FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Liczba tygodnia

OD

67

TYSIĘCY ZŁOTYCH



FOT. MONTING DEVELOPMENT

za metr zaczynają się ceny w Chłodna 35 – jedynym w Polsce apartamentowcu z pełnoprawnym prywatnym schronem. Buduje go w Warszawie spółka, której współwłaścicielem jest Robert Lewandowski.

Od tego roku projekty użyteczności publicznej trzeba projektować tak, by można było w nich urządzić miejsca doraźnego schronienia. Deweloperzy wzmacniają hale garażowe, które nie chronią przed skażeniem biologicznym, chemicznym czy promieniotwórczym.

Więcej ▶ Wyborcza.biz

1 RP

eprasa.pl 7e1750f966

rowani i czują okazję

wojna?

tym roku. A my mamy za mało czasu, by coś nowego wyprodukować czy kupić

Co do tego, że Rosja dąży do skompromitowania NATO jako organizacji zapewniającej bezpieczeństwo, nie ma żwątpliwości. Sojusz opiera się na zapisach art. 5 Traktatu Waszyngtońskiego. Mówi on, że „zbrojna napaść" na którykolwiek kraj NATO będzie uznana za napaść przeciwko wszystkim, a członkowie paktu udzielą zaatakowanym pomocy, jaką „uzna za konieczną, łącznie z użyciem siły zbrojnej".

Po dekadach pokoju i prosperity, wydaje się, że wystarczy porządnie Europę nastraszyć, a ona znowu Rosji ustąpi, tak jak zrobiła to w roku 2014 po aneksji Krymu. Atak na flankę wschodnią miałby na Zachodzie uruchomić te mechanizmy, co w latach 30. XX wieku, gdy francuscy publicyści pytali, dlaczego mieliby umierać za Gdańsk. Rosjanie zakładają, że społeczeństwa Zachodu nie będą chciały umierać za Przesmyk Suwalski, długi na 70 kilometrów obszar oddzielający rosyjski obwód królewiecki od Białorusi. Albo za inne regiony w państwach bałtyckich.

– Przesmyk Suwalski jest nieustannie zagrożony rosyjskim atakiem – słyszymy.

Rosja nie ma możliwości, by przeprowadzić konwencjonalną napaść na kraje bałtyckie, z użyciem broni pancernej, piechoty, artylerii. Te siły są zaangażowane w Ukrainie. Jeśli Putin ogłosi mobilizację, to sformowanie nowych jednostek zajmie trochę czasu, a ich przemieszczania w pobliżu granic NATO nie da się ukryć.

Co innego atak dronów w połączeniu z operacją „zielonych ludzików", żołnierzy w mundurach bez oznaczeń, którzy zajmą urzędy i proklamują powstanie na części terytorium Łotwy czy Estonii kolejnej republiki ludowej – Rosja taki twór natychmiast weźmie pod ochronę.

A może i na części terytorium Litwy?

– Kluczowe jest pytanie, co będzie z Białorusią – mówi nasz rozmówca.

Kreml wysyła sygnały, że wkrótce unifikacja Rosji i Białorusi zostanie zakończona. Oznacza to, że nasi sąsiedzi staną się republiką Federacji Rosyjskiej, a białoruskie siły zbrojne i infrastruktura częścią kremlowskiej machiny wojennej.

Rosja w lutym 2022 wprawdzie korzystała z białoruskiego terytorium do ataku na Ukrainę, ale Aleksandr Łukaszenka nie pozwolił wciągnąć kraju do wojny. Wojny bowiem obawia się najbardziej. Gdy Ukraińcy zagrozili atakiem na znajdujące się po białoruskiej rosyjskie przekaźniki sygnałów dla dronów, potulnie je zdemontował, co zirytowało Rosjan. – W białoruskiej elicie władzy narasta panika. Czują, że na wejściu do wojny z Ukrainą się nie skończy. Że Putin może ich wykorzystać jako trampolinę do skoku na NATO – słyszymy od źródeł. Z terytorium Białorusi Rosja może próbować ataku na północno-zachodnią Ukrainę. Ale ma też bezpośrednie wyjście na Przesmyk Suwalski. Jego zablokowanie odcina kraje bałtyckie od reszty NATO.

Upadek pod koniec lipca rosyjskiego pocisku CH-101 na Lubelszczyźnie zaklasyfikowano jako efekt awarii i zejście z kursu. Tymczasem nasi rozmówcy potwierdzają, że pocisk leciał po zaprogramowanym kursie i eksplodował tam, gdzie chcieli Rosjanie

Łukaszenka szuka pomocy w USA. To dlatego trwają zwolnienia więźniów politycznych i próby przyciągnięcia amerykańskich inwestorów. Trump ogłosił nawet, że zamierza zawrzeć umowę z Białorusią na dostawy potasu. Dyplomaci Łukaszenki nie ustają w próbach załatwienia mu audiencji w Gabinecie Owalnym.

Z Polską Białoruś też poprawiła relacje. Liczba incydentów na granicy spadła do zera. Ostatnio w kuluarach sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ Nowym Jorku odbyła się rozmowa szefa polskiej dyplomacji Radosława Sikorskiego i jego białoruskiego odpowiednika Maksyma Ryżenkowa. To pierwsze spotkanie na tak wysokim szczeblu od wielu lat. – To paradoks, ale w obecnej sytuacji obrona i utrzymanie reżimu Łukaszenki na powierzchni jest w polskim interesie – mówią nasze źródła.

Z naszych rozmów wynika, że gdyby gdzieś w państwach bałtyckich pojawiły się zielone ludziki, to taka operacja nie odbywałaby się w próżni. Do akcji w krajach NATO ruszą sabotażyści. Rosja od miesięcy wysyła sygnały, do czego jest zdolna. Wysadzone tory pod Garwolinem i wykolejone pociągi w Normandii. Drony zawierające materiał wybuchowy na niemieckich lotniskach, cyberataki, podpalenia.

– Operacja na taką skalę będzie oznaczała wojnę. Uruchomienie artykułu 5. – upewniamy się.

– Pytanie, ile krajów podzieli ten pogląd – słyszymy w odpowiedzi.

Z niedawnych symulacji wileńskiego think-tanku Baltic Defense Initative wynika, że Rosja wygrałaby taką konfrontację, gdyby kraje NATO zwlekały z jednoznaczną reakcją na agresję. Zwlekały, czyli ugięły się pod rosyjskimi groźbami odwetu i presją ze strony rodzimy partii populistycznych. Rosja od lat wspiera piąte kolumny na Zachodzie. Szczególnie ponuro sytuacja wygląda w Niemczech po serii ostatnich wyborów do landtagów. Zwyciężyła w nich prorosyjska, skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec albo skrajnie lewicowa i równie prorosyjska Die Linke.

– Światło w tunelu to postawa Francji. Emmanuel Macron kończy drugą kadencję, chce przejść do historii, jako prezydent, który uratował Europę. Sygnalizuje, że się nie cofnie – słyszymy od rozmówców. Francuzi ostatnio rozszerzyli swój parasol atomowy między innymi o terytorium Polski.

W zeszłym tygodniu prezydent Francji ściągnął do Pałacu Elizejskiego kandydatów w przyszłorocznych wyborach prezydenckich, by przedstawić im tajne informacje dotyczące zagrożenia ze strony Rosji: cyberataków, aktów sabotażu, operacji specjalnych i ataków dronami. Politycy wyszli ze spotkania wstrząśnięci. Rosję otwarcie potępili nawet Marine Le Pen i Jordan Bardella, szefowie wspieranego przez Kreml nie tylko retorycznie skrajnie prawicowego Zjednoczenia Narodowego. – Nigdy nie będziemy tolerować, by obce mocarstwo, w tym przypadku Rosja, próbowało bezpośrednio lub pośrednio dyktować politykę naszego kraju – oświadczyli. Działania Rosji określi jako wrogie, wezwali do narodowej jedności wobec zagrożenia.

– To najbardziej smuci – mówi jeden z naszych rozmówców. – Pełną wiedzę o tym, co nam grozi, ma Pałac Prezydencki. Tam te informacje są bagatelizowane. Prezydenccy ministrowie wręcz wyśmiewają ustalenia sojuszników – dodaje. Choć kilka miesięcy temu to urzędnicy Kancelarii Prezydenta byli źródłem informacji, że Amerykanie przestrzegają Polskę przed możliwym rosyjskim atakiem. Informację tę szybko przykryły kolejne odsłony wewnątrzpolitycznego konfliktu. – We Francji Le Pen popiera Macrona. U nas Mariusz Błaszczak zapowiada w wywiadzie, że Polska nie będzie bronić zaatakowanej Estonii. Te słowa cieszą Rosję, niepokoją sojuszników – zauważa inny z rozmówców.

Chodzi o wypowiedź byłego ministra obrony z czasów rządów PiS, który sugerował, że wojsko polskie powinno w razie wojny bronić Polski, a nie sojuszników z NATO. – To nie była pomyłka. Tam jest takie myślenie. Od Błaszczaka żaden z partyjnych kolegów się nie odciął, tylko go broniono – mówi źródło.

I przypomina, że podczas jednej z debat w Sejmie, gdy któryś z posłów koalicji rządowej przypomniał słowa o skupieniu się na sobie, nie na krajach z pierwszej linii oporu, Przemysław Czarnek, kandydat PiS na premiera, krzyknął: „No to jedź i broń!".

– Są tacy, co bagatelizują takie incydenty, ot, retoryka pod publiczkę, na chwilowe potrzeby wewnętrzne. Ale Rosjanie wychwytują takie rzeczy i intensyfikują grę na wewnętrzne podziały, podkręcają nastroje defetystyczne i myślenie „nasza chata z kraja". A zegar nam tyka – mówią nasi rozmówcy.

Bartosz T. Wieliński





FOT. PAP/EPA/MADS CLAUS RASMUSSEN

USA

Nowi najlepsi przyjaciele Trumpa

Nowy Jork, wtorek 22 września, w przerwie szczytu ONZ premierzy Danii i autonomicznej Grenlandii Mette Frederiksen i Jens-Frederik Nielsen oraz szef grenlandzkiego MSZ Mute B. Egede świętują w barze na Manhattanie podpisanie „Paktu Arktycznego". Umowa niewiele zmienia w sytuacji Ameryki, która od lat 50. i tak mogła budować i rozmieszczać na wyspie, co chciała, ale Trump nazywa porozumienie „bardzo ważnym, historycznym i wyjątkowym", bo potrzebuje sukcesu przed wyborami połówkowymi. Republikanom grozi w nich klęska jako tym, którzy uwikłali kraj w wyniszczającą gospodarkę wojnę z Iranem i obsypują przywilejami firmy AI.

eprasa.pl 7e1750f966

TEMAT WAŻNY TYGODNIA



A może pan jest stalkerem, panie Stanisławie?

1RP

eprasa.pl 7e1750f966

Z AKTORAMI **MARKIEM KONRADEM** i **MARCINEM DOROCIŃSKIM**, CZYLI RZECKIM I WOKULSKIM Z NOWEJ FILMOWEJ EKRANIZACJI „LALKI” ROZMAWIA **JAROSŁAW KURSKI**

Uważam „Lalkę” za najważniejszą i najpiękniejszą polską powieść, tylko powiedzcie mi, panowie, po co ekranizować ją po raz kolejny, skoro już są realizacje Jerzego Hasa i Ryszarda Bera? I obie są naprawdę niezłe. Co ta nowa ekranizacja ma wnieść? Co ma nam o nas samych, współczesnych, powiedzieć?
Marek Kondrat: A po co wystawiać „Hamleta” ciągle na nowo? Z „Lalką” jest jak z „Hamletem”. Każde pokolenie musi ją sobie przywłaszczyć. Nie, żeby przebrać się w tamten kostium, ale żeby przeżyć Prusa na nowo, żeby zadać te same pytania, na które na ogół i tak nie dostajemy odpowiedzi, bo one są wieczne i uniwersalne.

Tak jest w każdej dziedzinie sztuki. Dźwięki w muzyce się powtarzają w innym układzie, z innym dyrygentem, ale ciągle słuchamy tych samych utworów w innym wykonaniu...
Marcin Dorociński: I w filmie, i w książce są emocje, które towarzyszą człowiekowi od zawsze: miłość, praca, przyjaźń, walka, kariera, odpowiedzialność, altruizm. My, aktorzy, musimy przekazać te emocje najlepiej, jak potrafimy.

Mówi pan, że to jest dla pana najważniejsza polska powieść. Otóż, jeśli któryś z młodych ludzi po obejrzeniu tego filmu sięgnie po książkę Prusa, to już będzie sukces. Żaden film nie jest w stanie oddać bogactwa tego utworu. W szkole ja tej książki nie zmęczyłem. Nie rozumiałem jej. Była za mądra, za głęboka jak na licealistę. Wróciłem do niej w dojrzałym wieku i się zachwyciłem.

Kondrat: To są takie trafienia. Jako pięcioletni chłopiec czytałem „Przygody Robinsona Crusoe”. Marzyłem, żeby nim być. Brałem pod kołdrę kawałek suchego chleba i urządzałem sobie jaskinię na bezludnej wyspie.

Potem było parę innych książek, w wieku młodzieńczym „Stąd do wieczności” Jamesa Jonesa. Też chciałem być takim twardzielem jak Robert Prewitt. Gdy byłem młodzieńcem, gdy już inne emocje mną targały, to wielkie wrażenie robiła na mnie „Anna Karenina”. To była opowieść o niespełnieniu w miłości.

Niespełnienie jest ważnym aspektem miłości.

Pozwala ją ocalić.
Kondrat: Tak, zachowuje ją w wersji idealnej, żeby nie dać się jej zużyć. No i „Lalka” to też była dla mnie formująca powieść.

Panowie, idea tej rozmowy jest taka, żeby w zasadzie nie mówić o kuchni filmowej. Nie będę pytał: „Co pan czuł, jak pan grał?”. Film trwa ponad 2,5 godziny. Trzyma widza, ale nie sposób upchać w tym czasie 900 stron powieści. Redukcja wątków to oczywiście decyzja reżysera i scenarzysty, a nie panów, ale... tam nie ma tytułowej lalki, nie ma procesu, nie ma wątku Stawskiej, nie ma sceny licytacji, nie ma pamiętnika starego subiekta. Rzecki nie jest narratorem. To mocno pana ogranicza, panie Ignacy.
Kondrat: Od dawna nie mam już tzw. perspektywy aktorskiej. Dla mnie zakres udziału nie jest tak istotny, jak sam fakt partycypacji w dziele, które uwielbiam z wielu powodów.

Ale pamiętnik... to bardzo ważne narzędzie narracyjne. Musiał je pan czymś zastąpić.
Kondrat: Nie płaczę z tego powodu, bo ufam przedsięwzięciu. Nie znoszę, jak aktor się wtrąca w reżyserską robotę. Ufam, że ktoś coś wymyślił. I to jest jego prawo.

Nie ma czasu na to, by w filmie fabularnym zawrzeć powieściową konstrukcję pamiętnika Rzeckiego. To film współczesny. On się dzieje w tempie, w jakim dzieje się nasza teraźniejszość. Nie ma długich przebiegów jak w „Lalce” Hasa, w której to „Lalce” grał jeszcze mój ojciec. Ale oczywiście każdy skrót to dylemat. Po jednej stronie jest zysk, po drugiej strata.

Dorociński: Z każdego z wymienionych przez pana wątków można by zrobić osobny film. O Wiośnie Ludów i okrucieństwie wojny, o stosunkach społecznych w kamienicy baronowej Krzeszowskiej, o procesie o lalkę jako studium ludzkiej zawiści i małości... Ale nie da się wszystkiego zamknąć w trzech godzinach.

Film został sprowadzony w gruncie rzeczy do podstawowej intrygi – toksycznej miłości Wokulskiego do pustej arystokratki Izabeli Łęckiej.
Kondrat: W epoce zanikającej widowni zrobienie filmu na wielki ekran jest nie byle jakim wyzwaniem dla reżysera i producenta. Mówię świadomie: zanikającej, bo kina umierają, podobnie jak papierowa prasa. I w tych warunkach producent musi zrobić film, który do kin przyciągnie miliony. Niuanse, o które pan pyta, mają charakter drugorzędny. Natomiast ja teraz pana dopytam: czy nie oglądał pan tego filmu z pewnym zapleczem...

Kondrat:
Wynalazek Geista, gdzie jest więcej pytań niż odpowiedzi – to dziś jest AI? Tak! To jest to, czego nie wiemy i czego się boimy

No tak, obejrzałem ten film jako świadomy widz, z pewnymi oczekiwaniami.
Kondrat: Bo tu są dwie skrajności. Świadomy widz będzie widział szklankę do połowy pustą, a nowy widz będzie zachwycony tym, że szklanka jest do połowy pełna.

W latach mej młodości, by dostać się do kina, stało się w długich kolejkach do kas. A dziś jest jakaś chorobliwa nadprodukcja i całą tę sieczkę widać na każdych targach filmowych. To jak w Empiku: książki są ładne, kolorowe, ale nie sposób ich przeczytać. W tym cieście tylko niekiedy są jakieś rodzynki. I mam nadzieję, że ten film to będzie właśnie taki rodzynek.

Jako dziaders dorzucę, że dziennikarstwo też umiera...
Kondrat: Pamiętam mój rodzinny dom. Był w nim kult słowa. Anegdoty opowiadane przez aktorów, kolegów mojego ojca, to były perełki. Intryga, suspens, pointa. Dzisiaj nawet nie ma od kogo oczekiwać takiej anegdoty. Życie straciło kontur, straciło wyrazistość, zlewają się ze sobą plastikowe osobowości. Łatwo zostać popularnym człowiekiem bez dokonań, znanym z tego, że jest się znanym.

Wszystko spsiało. Sztuka zrezygnowała z odmienności, z cudzysłowu, zrezygnowała z poezji. Proszę zwrócić uwagę, że dziś grają ludzie tak zwani naturalni. Pełno jest programów, w których zwykli ludzie imitują prawdziwe życie. Ktoś gra policjanta, ktoś inny lekarza. Dopuszczają amatorów, bo „śpiewać każdy może”.

Każdy też może pisać dowolne bzdury i każdy może to sobie publikować...
Dorociński: Panowie, przesadzacie! Kino i teatr miały wyginąć w momencie, kiedy pojawiły się najpierw telewizja, a potem kasety wideo. Niech pan dziś spróbuje kupić bilet do warszawskiego teatru. Restauracje miały się zamknąć, bo ludzie mieli zamawiać jedzenie do domu. Niech pan spróbuje zamówić w sobotę stolik w dobrej restauracji w dowolnym polskim mieście.

Jak tak pana słucham, panie Marku, to jakbym Rzeckiego słuchał. Bo my, jak pan Ignacy, nie nadążamy za uciekającym światem. „Lalka” też jest o tym. Rzecki był już anachronizmem w swoich czasach. Romantyk, bonapartysta, wierzył w sprawiedliwość dziejową. Sumienny, prawy, skrupulatny, ale bez zdolności do ryzyka, do bólu lojalny wobec Wokulskiego, staroświecki... A tu już zaczyna się epoka pary, elektryczności, wielkie inwestycje, kolej warszawsko-wiedeńska, socjalizm, Darwin, Spencer...
Dorociński: Rzecki reprezentuje stary porządek świata. Świata wartości, manier. Matka chrzestna mojej żony odwiedziła nas na planie. Ona ma 95 lat. Rozejrzała się po tym sklepie Wokulskiego, a tam drewniane zabawki, ręcznie szyte buty, wytworne kapelusze, parasolki, bele materiału... i mówi: „O Boże, pamiętam!”.

Dziś nie ma już takich subiektów, bo nie ma subiektów. Nie ma takich sklepów, bo są supermarkety. Nie ma takich ludzi...

Świat jest brzemienny w wynalazki, w metale
od powietrza lżejsze/
Polacy żyją z Bożej łaski, piastując myśli niedzisiejsze./
W szaradzie ułożonej żartem pogodnych wróżb nie widać wiele...
...Rzeckiemu śni się Bonaparte, Wokulski kocha Izabelę.

Kondrat: Jak sobie uzmysłowię, jaka rewolucja technologiczna dokonała się za mojego życia, to to się wydaje niewiarygodne, ale i fascynujące. W ciągu ostatniego wieku zdziałaliśmy więcej niż przez tysiące lat. Przecież pierwszy samolot, czyli maszyna cięższa od powietrza, o której mówił Ochocki, wzniósł się dopiero 120 lat temu. Zmiany są tak szybkie, że nie jesteśmy w stanie się do nich zaadaptować.

Ani nawet tego opowiedzieć. Nie wiem, czy Prus dałby dzisiaj radę. Zresztą nie ma żadnego nowego Prusa. Nie ma pisarza, który umiałby tak całościowo opowiedzieć o naszych czasach.
Kondrat: Gorzej, bo my tych czasów w ogóle nie opowiadamy.

Weźmy profesora Geista i jego metal lżejszy od powietrza. Jest w tym wynalazku jakaś mistyczna tajemnica, ale jest też wielki strach przed niewiadomym. Wciągam panów w analogie „Lalki” ze światem współczesnym i opowieść o aktualności przesłania dzieła Prusa. Otóż pomyślałem sobie, że ten wynalazek Geista, gdzie jest więcej pytań niż odpowiedzi, więcej strachu niż nadziei – to dziś jest AI, sztuczna inteligencja.
Marek Kondrat: Tak! To jest to, czego nie wiemy i czego się boimy. Tu ma pan odpowiedź na sens ponownego kręcenia „Lalki”. To są właśnie te powtarzane przez współczesnych ludzi wieczne szekspirowskie pytania.

Posłuchajcie panowie, co mówi Geist. Wokulski jest w Paryżu. Zobaczył właśnie ów ultralekki metal i pyta profesora z zachwytem: „Nie ogłosi pan swego wynalazku?”. Ten odpowiada: „Ani myślę! Dlatego, że tzw. ludzkość mniej więcej na 10 tys. wołów, baranów, tygrysów i gadów mających człowiecze formy posiada jedynie jednego prawdziwego człowieka. Tak było zawsze. Nawet w epoce krzemiennej. I na taką oto ludzkość spadały w biegu wieków rozmaite wynalazki: brąz, żelazo, proch, igła magnetyczna, druk, machiny parowe, telegrafy, elektryczność... dostawały się bez żadnego wyboru w ręce geniuszów i idiotów, ludzi szlachetnych i zbrodniarzy. Jaki tego rezultat? A taki oto, że głupota i występek, dostając coraz bardziej potężne narzędzia, mnożyły się i umacniały, zamiast powoli ginąć! Ja nie chcę powtarzać tego błędu...”. Tyle Geist. Witajcie, panowie, w świecie internetu, deep fejków, platform społecznościowych, kryptowalut, Pegasusa, morderczych dronów i sztucznej inteligencji. I wszystko to w rękach Putinów, Musków i Trumpów.
Dorociński: Ale Wokulski wierzy w naukę i uważa, że ona może odmienić nędzne życie mas ludzkich. On się nie boi zdobyczy techniki, on w nich widzi nie tylko nadzieję na rozwój i lepszą przyszłość świata, ale i szansę na realizację swoich marzeń, swoich pragnień. Zresztą zapisuje Ochockiemu prawie cały swój majątek na kontynuację badań. Są chwile, gdy trzeźwieje z tej chorej miłości do Izabeli i wówczas chce resztę życia spędzić w laboratorium.

Nad Wisłą gnieżdżą się nędzarze, w kościołach dobroczynne tłumy./
Arystokraci i bogacze topią w wyścigach ciężkie sumy./
Nikt nie wie, co naprawdę warte poświęceń po powstańczym dziele.../...Rzeckiemu śni się Bonaparte,
Wokulski kocha Izabelę.

Panie Stanisławie, schodzi pan skarpą na Powiśle. Widzi tę warszawską nędzę. Spotyka Wysockiego, daje mu pan pieniądze na konia. Wyciąga z nędzy i nierządu Mariannę. Ale w filmie powściągliwie jakoś pan milczy. O czym pan milczy?Dlaczego nie ma choćby takich rozmyślań Prusa: „Oto miniatura kraju, w którym wszystko dąży do spodlenia i wytępienia rasy. Jedni giną z niedostatku, drudzy z rozpusty. Praca odejmuje sobie od ust, ażeby karmić niedołęgów. Miłosierdzie hoduje bezczelnych próżniaków. A ubóstwo, nie mogąc zdobyć się na sprzęty, otacza się wiecznie głodnymi dziećmi, których największą zaletą jest wczesna śmierć. Tu nie pomoże jednostka z inicjatywą, bo wszystko sprzęgło się, ażeby ją spętać i zużyć w pustej walce – o nic. (...) Chory kąt, dziki kąt, zasypany śmieciem z całego miasta. (...) Co za piękne potomstwo będziesz miała, ojczyzno, urodzone i wychowane na tym śmietniku, z matki okrytej wysypką i beznosego ojca”.
Dorociński: Widzę w tym filmie wiele wątków społecznych. Wokulski jest przecież dorobkiewiczem – opowiadamy historię jego awansu społecznego, a poprzez Izabelę pokazujemy schyłek arystokracji. Wokulski to prawy, dobry człowiek, który udowadnia, że pieniądze nie dają szczęścia, ale właściwie wykorzystane mogą odmienić życie innych. Mogą wydobyć kogoś z nędzy, sfinansować edukację czy leczenie, pomóc odzyskać samodzielność. Można

◀ **Kadr z nowej „Lalki”. Marcin Dorociński jako Stanisław Wokulski i Kamila Urzędowska jako Izabela Łęcka**
FOT. PAWEŁ DRABIK/ GIGANT FILMS

• **„Lalka”, film fabularny w reżyserii Macieja Kawalskiego. Premiera kinowa 30 września 2026 roku**

eprasa.pl 7e1750f966

dzięki nim ratować ludzi, dając im wędkę, a nie rybę. Wokulski znał wartość pieniądza, ale pieniądze nigdy nie były dla niego celem.

Kondrat: U schyłku życia budzi się we mnie jednak jakiś niesamowity podziw, że wszystko w tej Polsce ostatecznie udaje się skleić i zbudować dzięki nam, albo... pomimo nas. Przecież dziś Powiśle jest piękne i nowoczesne. I są bulwary, o których wspominał Wokulski, choć zbudowaliśmy je dopiero w XXI wieku! Mamy kraj, który może się podobać, w którym ludzie dobrze żyją i czują się bezpieczni. Oczywiście, nadal są nierówności, ale nie ma już dojmującej biedy. Prusowi by się ta Polska podobała.

Zgoda, ten film ma wątki społeczne, tylko że nie zostały dość mocno zaakcentowane. Jest, zwłaszcza w kinematografii brytyjskiej, gatunek, który przygląda się światu oczami służby. To rozmowy w kuchni przy szykowaniu obiadu z ochmistrzynią, jest świat kamerdynerów i pokojówek, ktoś skubie gęś, ktoś poleruje srebra, są dialogi.
Kondrat: „Okruchy dnia" z Anthonym Hopkinsem i Emmą Thompson – wspaniały film. Tak, tu zabrakło czasu, by pokazać Mikołaja czy Anusię.

Niedożywieni i gruźliczy, studenci walczą błazenadą./
Szlangbaum szlacheckie weksle liczy, patrioci do Paryża jadą./
Trzeba na jakąś stawiać kartę, ale rozsądniej grać, czy śmielej...
...Rzeckiemu śni się Bonaparte, Wokulski kocha Izabelę.

Wokulski jest człowiekiem pękniętym. Z jednej strony – pozytywista bez złudzeń, bezwzględny człowiek interesów, z drugiej – nieracjonalny romantyk trwoniący wielki potencjał w fatalnym zauroczeniu. Prus w tej postaci ukazuje przełom epok i narodowego temperamentu. Hegel mówił, że „prawda jest tam, gdzie jest sprzeczność". Pan umiał tę prawdę wydobyć. Jak?
Dorociński: Nie mam pojęcia. 31 lat jestem w tym zawodzie, a wciąż są role, których się boję. Nie wiem, jak je ugryźć i dlatego tak bardzo mnie pociągają. To też jest sprzeczność. Z Wokulskim było podobnie. Koledzy pytali: „Marcin, po Dmochowskim? Po Kamasie? Ty się bierzesz za Wokulskiego?". I sam zadawałem sobie to pytanie. Czy mnie, synowi kowala, uda się pomieścić w sobie wszystkie jego sprzeczności.

Nie próbowałem ich rozstrzygać ani godzić. Nie chciałem decydować, który Wokulski jest prawdziwy: pozytywista czy romantyk, bo prawdziwi są obaj. Może kiedy człowiek przestaje być logiczny, daje się ponieść emocjom, zaczyna naprawdę żyć.

Wokulski może nie był synem kowala, ale był subiektem ze sklepu Mincla. Wżenił się wprawdzie, ale wszystko osiągnął własną pracą. Nikt mu nic nie dał, tak jak panu nikt nic nie dał. To dlatego mógł się pan z nim utożsamić.
Dorociński: Rzeczywiście, rozumiem Wokulskiego bo sam jestem człowiekiem awansu. Pochodzę ze wsi i wszystko, co mam, wypracowałem własnymi rękami, determinacją i siłą marzeń. Wiem, ile kosztuje wejście do świata, który wcale na ciebie nie czeka.

Tyle że rozumieć bohatera to jeszcze nie znaczy umieć go zagrać. Dlatego kiedy dowiedziałem się, że Marek zagra Rzeckiego, kamień spadł mi z serca. Wiedziałem, że będę miał obok siebie nie tylko wielkiego aktora, ale też człowieka, któremu będę mógł zaufać.

Bez Marka mój Stasio byłby inny – i z pewnością słabszy. Nasza prywatna relacja przeniosła się na relację Wokulski – Rzecki. Jedna zasiliła drugą. Dorociński i Kondrat, filmowi Wokulski i Rzecki – postaci realne i te odgrywane zlepiły się w jedność, jeśli mogę tak powiedzieć

Kondrat: Możesz, możesz.

Taka całkowita inkarnacja aktorów w odgrywane postaci.



FOT. GIGANT FILMS

• **Pojedynek Wokulskiego (Dorociński) z baronem Krzeszowskim (Borys Szyc). Sekundatem Stacha – Ignacy Rzecki (Marek Kondrat)**

Dorociński:
rozumiem Wokulskiego bo sam jestem człowiekiem awansu. Pochodzę ze wsi, wiem, ile kosztuje wejście do świata, który wcale na ciebie nie czeka

Kondrat: Tak! To ładnie powiedziane. Teraz sobie uzmysłowiłem, że większość dokonań polegała na przyjaźni. Np. z Januszem Majewskim. On całą obsadę budował ludźmi, którzy dobrze się czuli ze sobą, i powstawały filmy, które żyją do dzisiaj. „Zaklęte rewiry", „CK dezerterzy". Aktorzy nie mogą się siebie nawzajem wstydzić. Dzięki temu odpada ogromny stres.

Dorociński: W filmie jest scena zamykania sklepu. I Marek miał wtedy w oczach coś takiego, jakbyśmy w rzeczywistości mieli wspólny interes i naprawdę go zwijali. „I naprawdę, Stachu, sklep chcesz sprzedać?" – pyta Rzecki. Było ciemno, zimno, gramy te scenę i Marek mówi po chwili: „Szkoda, że myśmy się wcześniej nie spotkali".

To była jedna z najpiękniejszych chwil w moim aktorskim życiu. Nie musiałeś tego mówić, a mnie się zrobiło tak ciepło. Wystarczy czasem słowo, spojrzenie...

Jaki był charakter tej przyjaźni między Wokulskim a Rzeckim. To dla mnie trochę relacja ojcowsko-synowska. A jak panowie ją postrzegali?
Kondrat: Jest ewidentna różnica wieku, która występuje w tej obsadzie. W powieści Ignacy nie jest tak znacząco starszy od Stacha.

Miał pan wielkich poprzedników – Tadeusza Fijewskiego i Bronisława Pawlika. Zwłaszcza Pawlik tą swoją poczciwością narzucił klasyczną wizję Rzeckiego. A jaki jest Ignacy Rzecki Marka Kondrata?
Kondrat: Upierałem się przy jednym. Rzecki musi mieć w sobie cechy wojskowe, dyscyplinę żołnierza, którym przecież był, walcząc na Węgrzech podczas Wiosny Ludów 1848 roku. Więc twardą żołnierską ręką prowadzi sklep Wokulskiego.

Wstaje wcześnie, pierwszy otwiera bramę. Trzyma za twarz trzech subiektów, z których każdy jest inny. Jeden fircyk, drugi socjalista, trzeci antysemita. Czuje się za wszystko odpowiedzialny, bo szef mu zlecił to zadanie.

On ma taką konstrukcję po prostu i nie jest rozmemłany, jak trochę był Rzecki kreowany przez Fijewskiego. Bronek Pawlik zaś, genialny aktor, z którym się bardzo przyjaźniłem, w serialu Hasa pisał swój pamiętnik. To był zupełnie inny scenariusz. Trudno tu o porównania.

Na zyski apetyty rosną, z pomysłów nie wychodzi żaden./
Zyskowna spółka handlu z Rosją wzięta za narodową zdradę,/
artyście z Włoch o głosie zdartym salon pod nogi zachwyt ściele.../
Rzeckiemu śni się Bonaparte, Wokulski kocha Izabelę.

No to jest właśnie paradoks, że Prus uczynił bohaterem polskiego mieszczanina, wprawdzie o drobnoszlacheckich korzeniach, ale dorobkiewicza. To dopiero zaczyn klasy średniej, której w Polsce nie było. Byli polonizujący się Żydzi i Niemcy, którzy kontrolowali handel, wytwórstwo, przemysł, oraz rosyjska warstwa urzędnicza. I to oni byli mieszczaństwem w Warszawie i w Łodzi. Polacy to było chłopstwo, robotnicy najemni, rzadziej szlachta, na ogół zubożała, i garstka arystokracji. Tymczasem Prus wybiera Wokulskiego jako wzorzec Polaka przyszłości.
Kondrat: Pisarz tej wielkości widzi, że w imaginarium narodowym taka postać jest niezbędna. Prus świetnie rozumiał, gdzie jest hamulec naszego rozwoju, bariery nowoczesnego społeczeństwa. To nie tylko zaborcy, ale i nasza mentalność, np. obrzydzenie do handlu jako zajęcia, które hańbi szlachcica.

„Lalka" ma dla mnie jeszcze inne piętno, coś takiego, na co jestem uwrażliwiony. Mianowicie miasto, w którym się wychowałem. Nie, w którym się urodziłem, ale w którym się wychowałem. To Warszawa. Jestem wrażliwy na opis. Opis daje obraz całości, estetykę czasu.

Isaac Bashevis Singer opowiedział mi o tym mieście, zanim jeszcze przeczytałem „Lalkę". Mam w oczach obraz Powązek, gdzie jest dużo rosyjskich grobów – oficerów, pracowników administracji – którzy rówieśnie z Prusem i Wokulskim w tej Warszawie mieszkali.

Dwujęzyczne szyldy, dwujęzyczne nazwy ulic, Kozacy, Czerkiesi na Krakowskim Przedmieściu i prezydent Sokrat Iwanowicz Starynkiewicz, który uczynił tę zapyziałą Warszawę bardziej nowoczesną, robiąc wbrew protestom mieszkańców nowoczesną sieć wodociągową i kanalizacyjną. Filtry działają do dzisiaj.
Kondrat: Dziś to podzwonne do tamtej historii.

Znów jesteśmy między czymś a czymś. Między krajami, cywilizacjami. Zawsze między wschodem a zachodem, między Bizancjum a Rzymem. Z jakąś niemożnością i z czymś brawurowym jednocześnie.

Ale opowiada pan tak, jakby ta Warszawa była jakimś materialnym continuum. Tymczasem gdy się spojrzy na współczesną Warszawę, to tej starej prawie w niej nie ma. To było nawet widać w waszych kłopotach ze scenografią, szerszymi planami.
Kondrat: Tak, jej nie ma, ale – powiedzmy to sobie szczerze – jej nie było także za czasów Stanisława Wokulskiego. Krakowskie Przedmieście to jest jedyny fragment miasta, który nadaje się do literackiego opisu i do filmu. Wszędzie wokół smród rynsztoków i nędza. Nędza na Woli, nędza na Powiślu, nędza na Pradze, nędza na Nalewkach.

Jak się spojrzy na ówczesną Warszawę, a były już pierwsze zdjęcia Warszawy, tzw. dagerotypy, to jest nędza, rynsztok, klepisko, kałuże, błoto albo kurz. Była ul. Kredytowa, kawałek centrum.

To było miasto polsko-żydowsko-rosyjsko-niemieckie, katolickie, ewangelickie, prawosławne i mojżeszowe. To wszystko można zobaczyć dzisiaj na cmentarzach.

I Żyd Szlangbaum – stary i młody, z którym Stach był w powstaniu – i Rosjanin Suzin to przyjaciele Polaka Wokulskiego.
Kondrat: I oni reprezentują różne sposoby myślenia i mają przyjacielską empatię wobec Stacha, który obciążony jest całym tym postromantycznym nieszczęściem. Próbują go z tego wyciągnąć, pokazać alternatywne wzory zachowań.

Stary Szlangbaum bierze udział w licytacji, bo ufa Wokulskiemu. Dla niego Wokulski to jest firma: „Gdybym ja pana nie znał, panie Wokulski, to ja bym panu powiedział, że pan robi zły interes, ale że ja pana znam, to ja panu mówię, że pan robi dziwny interes".

To jest życzliwość i wiara w umiejętności tego człowieka. Prus wspaniale to maluje.

Warszawa to nie było typowe miasto. Raczej miasto pałaców, miasto dla polskich magnatów i arystokratów, a nie dla zwykłych ludzi. Przecież pierwszą arterię Warszawy wytyczono dopiero w 1757 roku z inicjatywy marszałka wielkiego koronnego Franciszka Bielińskiego. Stąd ulica Marszałkowska.
Kondrat: Ten precyzyjny powieściowy opis miasta jest jednocześnie opisem całego kraju, w którym od niepamiętnych czasów ubóstwo sąsiadowało z luksusem. Nic pośredniego, żadnego mieszczaństwa, żadnej klasy średniej. Stąd postać Wokulskiego.

Pisarz kumuluje w niej wszystkie pozytywne kupieckie i „protestanckie" cechy, których w nas, Polakach,było jak na lekarstwo. I dziś te cechy, które Prus wychwalał, Deus ex machina po 150 latach wyszły i zmieniły kraj. Dziś znów narastają nierówności, ale Polska rozumiana jako suma dostatku wszystkich obywateli nigdy nie była tak zamożna, jak jest teraz.
Dorociński: Pamiętajmy, że Stach dorobił się na wojnie, i to jest dla mnie zgrzyt, bo to jest najbrudniejszy pieniądz. Wokulski organizuje dostawy wojenne, a gdzieś rzeką płyną trupy. To jest to ciemne oblicze dzikiego kapitalizmu.

eprasa.pl 7e1750f966

Kondrat: Zmiany ekonomiczne następują błyskawiczne. Ale zmiany kulturowe i obyczajowe powoli. Widzę to po moim doświadczeniu z winami. My nie zamienimy Polski w kraj wina, mimo że powstaje dużo winnic. Natomiast ludzie na początku transformacji, którzy wyczuli momentum, że wszystko się tu sprzeda – od kajzerki do Mercedesa – i umieli coś zrobić, to oni, Wokulscy lat dziewięćdziesiątych, zbudowali ten kraj taki, jaki jest dzisiaj. A minęły niecałe cztery dekady.

Prosty kolejarz nie chce pojąć, że można z życiem chcieć się rozstać./
Figurki w oknie sklepu stoją, sklep zmienia pana, a świat postać,/
w powietrze wylatuje zamek, stając się marzeń rozpadliną./
Rzecki umiera weteranem, Wokulski znika pod ruiną.

Panie Marcinie, ponawiam pytanie: jak zagrać człowieka o rozdwojonej osobowości? Bezwzględnego biznesmena, który potrafi ryzykować życie, by zarobić pieniądze, i człowieka, który stracił rozum dla kobiety. Kogoś, kto dobrze lokuje pieniądze, ale fatalnie lokuje uczucia.
Dorociński: Na tym właśnie polega jego pęknięcie. Jest człowiekiem nowoczesnym, wolnym od przesądów, wierzy w naukę, pracę i postęp. A jednocześnie w miłości pozostaje romantykiem. I na tym polega ta tragedia.

Wiedza o świecie nie chroni nas przed nami samymi. Można rozpoznawać mechanizmy rządzące ludźmi, a nie dostrzegać mechanizmu, który rządzi nami.

Trudno odwieść od miłości kogoś, kto jest nieszczęśliwie zakochany, nawet jeśli on sam przeczuwa, że zmierza ku katastrofie.

Jako aktor szukałem więc tej szczeliny pomiędzy tym, co Wokulski już wie, a tym, w co nadal rozpaczliwie chce wierzyć. Najbardziej przejmujące są dla mnie chwile, kiedy on niemal widzi prawdę o Izabeli, ale kolejny i kolejny raz wybiera złudzenie. Rozum mówi mu jedno, uczucie drugie, a obie te prawdy istnieją w nim jednocześnie.

Kondrat: Dotykamy geniuszu tej powieści. Ona nie jest jednoznaczna. Wokulski jest postacią twórczą i sprawczą. Przecież możemy też wyobrazić sobie, że on „sfabrykował swoje uczucie", to znaczy, że siłą swojej imaginacji stworzył Izabelę jako nierzeczywisty ideał.

Kochał własne wyobrażenie.
Dorociński: Oczywiście.

Ale czy panowie chcecie powiedzieć, że Wokulski podszedł do zdobycia Izabeli jak do projektu biznesowego, wedle procedury: sformułować cel, uzależnić, osaczyć, posiąść, zniewolić.
Może to stalker?
Dorociński: Wedle dzisiejszych standardów może i tak. W świecie Prusa – nie. Ojciec przedstawia jej generałów, marszałków i innych kandydatów na męża. I mówi, że może sobie wybierać, ale tylko z grona ludzi majętnych. To papa raczej jest... stręczycielem.

Panie Marcinie, proszę na relację Łęcka – Wokulski spojrzeć oczyma Izabeli.
Pan jest namolny, pan ją osacza, oplata niewidzialną siecią. Wykupuje weksle Łęckiego, wykupuje zastawione srebra, kupuje konia barona Krzeszowskiego, zalewa datkami na dobroczynność.
Wreszcie przez Szlangbauma przepłaca pan za kamienicę Łęckich, zakłada spółkę handlu z Rosją. Panie Stanisławie, litości!
Dorociński: Taki sposób odczytania Wokulskiego nie wpisuje się w wizję reżysera. Wokulski nie chce Izabeli skrzywdzić. Zabiega o nią tak, jak potrafi – wszystkimi dostępnymi sobie środkami. Wokulski całe życie działał poprzez pracę i pieniądze i dlatego miłość próbuje zdobyć tymi samymi metodami. Tyle że uczucie to nie handel. On długo tego nie rozumie, a jego uczucie z czasem przeradza się w obsesję.

Kondrat: To nowe czasy przynoszą nam takie możliwości interpretacyjne. W czasach Prusa, Hasa czy Bera nikt nie słyszał słowa „stalker". Nikomu nie pojawiały się takie impulsy w głowie.

W filmie pada nieznany w epoce Prusa związek frazeologiczny o „przemocy ekonomicznej". To chyba mówi pani Meliton. To są referencje do współczesności, które potwierdzają raczej moje intuicje. Zauważcie, panowie, że Wąsowska jest kobietą wyemancypowaną i niezależną finansowo. Stawska też jest niezależna, choć swoją niezależność okupuje ciężką pracą, bo jako samotna kobieta musi utrzymać córkę i wspomóc matkę. Najmniej samodzielna, uzależniona od łaski mężczyzn, dyktatu konwenansu swojej sfery jest właśnie Izabela. Obstajecie zatem, panowie, przy klasycznej interpretacji dzieła?
Dorociński: Ja nie bronię Wokulskiego. Ja po prostu w niego wierzę. To był dobry chłop.

Niech będzie, że dobry. Pan go wielbi, a mnie on wku... I oto zostaje starty na proch. Niszczą go jego własne romantyczne zaszłości, ślepa, wyidealizowana miłość. Całe życiowe przedsięwzięcie bierze w łeb. Historia kończy się sprzedażą sklepu młodemu Szlangbaumowi, próbą samobójczą i malowniczą śmiercią w romantycznych ruinach zasławskiego zamku. Słowem, morał mógłby być przygnębiający – że jak Polak może coś spieprzyć, to nie zawiedzie. Jednak w Polsce, jak to w Polsce, nic nie może się udać do końca. Jeśli katastrofa, to nigdy do końca, jeśli sukces – to też nigdy do końca.
Kondrat: Ja do dziś spotykam się z emocjami na temat kompletnie nieudanego bohatera filmu „Dzień świra" Adasia Miauczyńskiego, który jest polskim bohaterem narodowym!

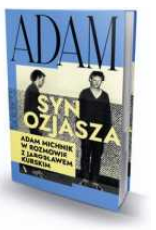
Pana rola jest absolutnie genialna.
Kondrat: Nie chodzi mi o rolę. Chodzi o to, że nasz naród utożsamia się z nieudacznikiem i neurotykiem, który rano boi się wstać z łóżka! I na koniec przyłącza się do zbiorowej modlitwy Polaka: „Modlitwę moją zanoszę Bogu, Ojcu i Synowi: Dopierdolcie sąsiadowi! Dla siebie o nic nie wnoszę, Tylko mu dosrajcie, proszę!".

Pamiętam też Kabaret Mniemanologii Stosowanej Jana Tadeusza Stanisławskiego. Śpiewaliśmy tam taką piosenkę: „Dzięki ci, Albanio, że istniejesz/ dzięki ci, Albanio, dzięki ci/ Dzięki tobie tak źle z nami nie jest/ dzięki temu nie ostatni my".

A dla mnie „Lalka" – film i książka – to jest opowieść o polskiej niemocy, która się wyraża w tym, że jeżeli my już coś osiągamy, to w ostatnim momencie ten owoc wypada nam z ręki, gubi się złoty róg, chamowi zostaje ino sznur... Ale dla sprawiedliwości przyznać muszę, że ostatnie 37 lat, mimo że cham w Polsce ma się dobrze, to jednak wbrew wszystkiemu – sukces.

Panowie, czy chcecie jeszcze coś na koniec powiedzieć?
Kondrat: Pyta pan, jak przed egzekucją... Cóż, lubimy „Lalkę".

• Wyimki z piosenki Jacka Kaczmarskiego „Lalka, czyli polski pozytywizm"



• **„Adam, syn Ozjasza",** rozmowa Jarosława Kurskiego z Adamem Michnikiem Wydawnictwa Agora. Nowa książka autora „Dziadów i dybuków" już w księgarniach oraz w formie e-booka i audiobooka.

REKLAMA Kraj/34449652



1RP

eprasa.pl 7e1750f966

KRAJ

Madonna z laserami w oczach



Jechałem przez Polskę, serce mi płonęło, a na ustach miałem złamane alleluja.

Ziemowit Szczerek

Czasem Polska kojarzy mi się z wielką łachą piasku, naniesioną przez Wisłę i inne spływające z Karpat i Sudetów rzeki. Na tej piaskowej łasze rośnie sosnowy las, rozciągają się łąki. Tak zresztą na nasz krajobraz mówią Ukraińcy – pisky i lisky. Piaski i laski.

Niewiele u nas dramatycznych widoków, malowniczych spiętrzeń i załamań krajobrazu. Nie ma, jak w Dalmacji, urywającego głowę spadku ze skał w lazurowe morze pod jasnobłękitnym niebem.

Z naprawdę wysokich gór, Tatr, to właściwie mamy tylko fototapetę na południowej ścianie kraju, nie ma więc szos prowadzących przez wysokogórskie krajobrazy, jak w Szwajcarii czy Austrii.

Nie, że jest u nas wyłącznie płasko – to stereotyp, w który sami się daliśmy wbić. Płaskie to jest Mazowsze i Wielkopolska. A poniżej – od Lubelszczyzny przez Świętokrzyskie i Jurę – mamy pięknie pofalowany teren. Powyżej też, bo od Słupska po paysage ideal Warmii czy Suwalszczyzny ciągną się malownicze pagórki. Z przerwą na Żuławy Wiślane, okej.

No, ale ogólnie w Polsce – bez dramatyzmu. Piaski i laski. Czasem jeziorko, a jeśli jest jeziorko, to od razu zjeżdżają się campery, od razu budowane są jakieś tradycyjne jadłodajnie, hotele – nie lada atrakcja takie jeziorko w naszym krajobrazie.

W dodatku ten krajobraz przez większość roku przykrywa ciemne niebo i przyciskają ciężkie chmury, robi się mrocznie i posępnie jak u Lovecrafta. I dobrze, że już nie błotniście, bo jednak asfalt pokonał odwieczne polskie błocka, jak Jezus pokonał grzech pierworodny, i odmienił na wieki oblicze ziemi, tej ziemi. Ale kiedyś? Drewno, błoto i mrok.

I drewnianych domów prawie już nie ma, błota też, mrok jednak pozostał.

Hołota chlupie w mroku

Niemcy i Rosjanie mają zresztą podobny krajobraz. I radzą sobie z nim w skrajnie odmienny od siebie sposób. Niemcy wybrukowali sobie porządnie kraj już dawno temu, więc błoto ledwie pamiętają, i pobudowali gotycką i gotyckawą architekturę, która wygląda jak tło do gotyckiego horroru.

A to pasuje do naszych środkowo- i wschodnioeuropejskich „zimnych dziadów-listopadów", jak śpiewał Grabaż, i naszych przedłużających się zim z „o dwadzieścia siedem godzin, drogi kolego, dniem krótszym od najdłuższego", jak śpiewał z kolei Kazik Staszewski, podczas których „w ciągłym mroku chlupie jebana hołota".

Podobną drogą co Niemcy poszli Holendrzy i Anglicy: mgły, deszcz i wszystkie te cudowne rzeczy pasują do hanzeatyckiej albo wiktoriańskiej architektury. Hołota tam, oczywiście, de facto chlupie, jak u nas, w ciągłym mroku, ale na poziomie narodowej samoświadomości również przechadza się w tajemniczej atmosferze otulona płaszczem niesamowitości.

I być może dzięki temu ma mniejszą tendencję do uważania samej siebie za hołotę, a nawet jeśli ma (a ma), to nie ma z tym aż takiego problemu i jest w stanie podchodzić do siebie z dystansem i ironicznie. Zawsze łatwiej o dystans, jeśli masz wybór: możesz, owszem, w przypływie złości narzekać na chlupanie w mroku, ale możesz też, w przypływie uczuć wyższych, uznać, że nie tyle chlupiesz w mroku, co przechadzasz się w niesamowitości.

Rosjanie poszli w kierunku przeciwnym, który można nazwać wspomaganą podróżą wewnętrzną. Niesamowitość zdecydowali się budować raczej wewnątrz siebie niż na zewnątrz. Nie zajęli się, słowem, budowaniem klimatycznego atelier dla swoich żyć, estetycznego zewnętrza. W zasadzie, można powiedzieć – wzgardzili zewnętrzem, to znaczy – owszem, zbudowali je sobie jakoś, często nawet w ramach wielkich planów – ale byle jak, niekonsekwentnie, punktowo.

Zbudowali, a potem zostawili, żeby gniło w tej wiecznej siąpawicy i mrozach, czasem tylko odmalowując grubą warstwą farby, na której to wszystko jakimś cudem nadal się trzyma. I zagłębili się we własne wnętrze, pijąc wódkę i wymyślając przedziwną, ale i, trzeba to przyznać, czasem fascynującą literaturę i w ogóle sztukę.

Nie że jakoś nadludzko niesamowitą, o czym próbują przekonać świat, wspierając to przekonywanie czołgiem, dronem i gazem, ale naprawdę dobrą. Tworzącą taki dysonans z nędzą rosyjskiego krajobrazu kulturowego, że człowiek nie może się nadziwić, że jedno i drugie powstało w tych samych mózgach i wykonane zostało tymi samymi rękami.

Kaliningrad bez duszy i aniołów

A my? Niby jak zawsze – pomiędzy, choć ostatnio z mocnym przechyłem w stronę Niemiec, ale czy można się dziwić, że Polacy próbują również jakoś uromatyczniać swój krajobraz?

Tak myślę, od czasu do czasu jeżdżąc przez Polskę, omijając te wszystkie nowe, świetne autostrady, ale je błogosławiąc za to, że dzięki nim mogę sobie wygodnie podróżować po o wiele bardziej luźnych niż dawniej peryferyjnych szosach.

Jeżdżąc i oglądając polski krajobraz kulturowy: ogrodzenia jak z filmów fantasy, zwieńczone betonowymi orłami albo lwami, jakieś fikuśne balustrady przypominające Rzym starożytny – przecież to jest nic innego, myślałem, jak wycie za jakimś zromantyzowaniem naszej łachy piachu porośniętej sosnowymi laskami. Dodaniem jakiegoś, jak to mawiał Jan Himilsbach, elementu baśniowego do rzeczywistości.

To samo przecież widziałem w Kaliningradzie, którego za nic w świecie nie dam rady nazywać Królewcem, bo Królewca już nie ma, bo pozostała po nim tylko podstawka, na której Radziecjanie zbudowali zupełnie obce, nowe, zdehumanizowane miasto, które z poprzednim,

eprasa.pl 7e1750f966



pełnym uromantyczniającej życie architektury, spadzistych dachów, wieżyczek, ulic pasujących do rozmiaru człowieka jak dobrze skrojone ubranie – ma tyle wspólnego co współczesny Berlin ze słowiańską Kopanicą.

No więc w Kaliningradzie, tym mieście bez duszy i aniołów, pośród dawnych Prus, którym odebrano historię, połamano stare toponimy i zalano, jak betonem, nazwami typu „Sowieck" czy „Żelaznodorożnyj", ludzie sami próbują zrobić sobie namiastkę czegoś romantycznego: na bliznach zrównanego z gruntem dawnego niemieckiego śródmieścia zbudowali sobie jakieś koślawe budynki, które stylem nawiązywać mają do niemieckości, razem z fałszywym pruskim murem.

Gdy snułem się między kaliningradzkimi bloczydłami, wzruszyłem się przy wejściu do którejś z klatek schodowych. Ktoś obudował ją cegłami, dorobił jakieś wieżyczki, flanki i przerobił na coś mającego jakoś niezdarnie sugerować zamek z bajki. To był kult cargo, mający przywołać tu Europę z jej całym romantyzmem.

Alleluja! Jedźmy do na Jasną Górę!

A więc tak, nasza łacha piachu tęskni za romantyzmem i ma rację, wie to każdy, kto był, na przykład, w okolicach zamku w Ogrodzieńcu i widział te inspirowane nim zamkoidalne konstrukcje stawiane w okolicy albo innego rodzaju cuda zwane gargamelami. A Gargamel, co by nie mówić, postać z bajki.

Przerażająca była ta Maryja. Mór-baba, górujący-nad-polami-kukurydzy-potwór-o-obojętnej-twarzy. Córa Godzilli i południcy. Blady megademon ziejący kosmiczną pustką

• Poświecenie 55-metrowego monumentu Matki Bożej Miłosiernej w Konotopiu, 15 sierpnia 2026 r.

FOT. RAFAŁ POZORSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

No ale tak: wyszydzamy tę oddolność, zwalczamy, a może w ten sposób, myślałem, ścinamy pąki, z których mogłoby wykwitnąć coś wartościowego? Może gdyby pozwolić tej potrzebie rosnąć, to rozwinęłaby się w piękny kwiat, w coś naprawdę romantycznego, co by tę ziemię piaszczystą natchnęło niesamowitością?

Każdy przecież z nas marzy o udramatycznieniu tej naszej rzeczywistości, tak samo jak Witkacy, jeżdżąc pociągiem przez – jak pisał – „nudną, mazowiecką równinę", marzył o tym, by nagle wykwitł gdzieś na jej środku, jak otwarta rana, ziejący pomarańczową lawą wulkan.

A że to wszystko, te tynki-baranki, te materiały budowlane inspirowane „Xeną – wojowniczą księżniczką", te lwy i orły ze sztampy są tandetne? Cóż, country też u swego zarania było ziejąco prostackie, i zanim producenci zrobili z niego piękną muzykę w stylu późnego Johnny'ego Casha, musiało upłynąć trochę czasu.

Może więc z tych naszych lwów gipsowych w końcu coś wyjdzie – myślałem. Może musimy to pokochać, by coś z tego zmontować, a miłość, jak śpiewał wielki Leonard Cohen, to przecież nie jest marsz zwycięstwa, to „złamane, ale święte alleluja".

Nigdy bardziej nie czułem nieobecności Boga niż tu

A więc jechałem przez Polskę, serce mi płonęło, a na ustach miałem złamane alleluja. Amen, myślałem, amen! Alleluja! Podążajmy tą drogą! Podążajmy drogą oddolnego instynktu, który w Polsce manifestuje się, na przykład, przez ludową religijność, a więc amen, amen! Alleluja! Jedźmy do Częstochowy! Na Jasną Górę! No, może nie od razu na Jasną Górę. Może zacznijmy od innych miejsc mocy oddolnej. Od Świebodzina, Lichenia, Konotopia z jej wielką Matką Boską czy sanktuarium w Kałkowie z jego betonowym Tupolewem pod Golgotą. Amen, amen, alleluja!

Jezus ze Świebodzina i romskie pałace

A tego Jezusa ze Świebodzina widać już z oddali. Biały, ogromny, z rękami na boki, jakby tańczył bałkański taniec. Jest pusty w środku, bo wykonano go z siatkobetonu i wzmocniono rusztowaniem. W pięcie ma drzwiczki, takie jak do budki trafo. Kiedyś były otwarte, zajrzałem: stały tam miotły, jakiś cement. Niedopałki na ziemi. Kojarzy się to wszystko z jezusoidalnym grobem pobielanym.

Jezus stoi na wielkim skalnym ogródku, co zresztą do niego pasuje, jest bowiem niczym innym jak powiększoną wielokrotnie ogrodową rzeźbą. I tak właśnie został zarejestrowany, aby obejść administracyjne obostrzenia: jako obiekt „małej architektury".

Wieczorami, kiedy nie ma już pielgrzymów ani przypadkowych przejezdnych, pod Jezusa podjeżdżają lokalne dzieciaki samochodami i w tych samochodach robią sobie małe imprezki. Puszczają muzykę, palą, piją. Wspinają się na skalny ogródek u jego stóp, Ogrójec świebodziński, i robią sobie selfiaki.

Jezus, cóż, wygląda naprawdę jak powiększona figura ogrodowa, i stanowi właściwie zaprzeczenie tego, co miałby symbolizować. Bo chodzi tu, jak rozumiem, o potęgę chrześcijaństwa polskiego, siłę katolicyzmu, Jezus miał być jako ten wbity w poniemiecką, lubuską ziemię totem, jak buńczuk uformowany w figurę Jezusa – króla Polski.

Rzecz w tym, że udowadnia tę potęgę tak samo jak potęgę swej narracji udowadnia Skopje, stolica Północnej Macedonii, gdzie narodowa prawica, pragnąc podkreślić starożytne pochodzenie narodu, oblepiła porządną, brutalistyczną architekturę gipsowymi i tandetnymi imitacjami starożytnych frontonów, dosztukowała tanie, białe kolumny i nastawiała koślawych pomników. I podkreśliła w ten sposób nie odwieczną wielkość i potęgę swojego narodu, tylko coś przeciwnego.

Tym bardziej że dookoła Jezusa rozciąga się Poniemiecja. A właściwie ruiny Poniemiecji, puste skorupy wyrafinowanej i wielkiej, co by nie mówić, cywilizacji, której odbiło i która rzuciła się w pewnym momencie na świat z szaleństwem w oczach, chcąc tym światem zawładnąć. I która przegrała i została z tych ziem, na których dziś stoi Świebodzińczyk, wygnana.

Przyszli na jej miejsce do tych skorup ludzie, którzy nigdy wcześniej nie korzystali z wielkich miast i którzy nie od razu się w tych ruinach odnaleźli, bo zwyczajnie nie było to możliwe: jeśli całe życie uprawiało się pole pod Kielcami albo Stryjem, to nie stanie się nagle wyrafinowanym znawcą mieszczańskich obyczajów.

I czymś takim właśnie jest ten Jezus. Wzruszającą, a zarazem – co by nie mówić – wulgarną i desperacką próbą objęcia tych poniemieckich ziem w posiadanie.

Buńczukiem wbitym w poniemiecką ziemię w ramach rozpaczliwej próby udowodnienia, że też się sroce spod ogona nie wypadło.

Pokazaniem, że być może Polska nie zajmuje się stawianiem tak wyrafinowanych urbanistycznie miast, jakie pozostawili tu Niemcy, bo ma pilniejsze sprawy do nadgonienia, ale za to umie przeprowadzić szturm modlitewny i erygować w polu wielkiego Jezusa. Może nie najpiękniejszego, ale będącego manifestacją oddolnej potrzeby. Znów: może nie najszczytniejszej, ale coś mówiącej o ludziach, którzy go wznosili.

Jest estetyką pewnego etapu polskiej historii. Cóż: nie ma czego się wstydzić. Tak samo jak rumuńscy Romowie nie muszą się wstydzić swoich demonstracyjnych wielopiętrowych pałaców wykonanych w stylu szalonego rokoko z lwami i orłami z gipsu i blaszanymi dachami uformowanymi w chińskie megapagody, ale zimą opalanych najczęściej tylko w jednym pomieszczeniu na dole, bo po co wydawać pieniądze na grzanie czegoś, co i tak jest tylko na pokaz.

Tak, Jezus ze Świebodzina i romskie pałace to przecież jedno i to samo. To normalne odruchy społeczności, które czują się niedocenione, a nie mają innych narzędzi niż efekciarska tandeta, by pokazać, że też są coś warte. I powinny budzić raczej czułość niż pogardę.

Zresztą – Jezus był aktualny półtorej dekady temu. Dziś ta epoka już minęła, bo i Polska jest w innym miejscu, i Polacy lepiej się już na tych poniemieckich ziemiach odnajdują. Stają się klasą średnią, wchodzą w mieszczańskie buty, lepiej z lokalną poniemieckością współgrające. I sam Jezus jest już zabytkiem.

Zastąpiła go Matka Boska z Konotopia. A to już co innego.

Gotyk bałtycko-wiślany

Od Świebodzina do Konotopia jedzie się właściwie przez cały czas dawnym polsko-niemieckim pogranicze i nie da się uciec od rozmyślań o niemieckości i styku niemieckiej i polskiej formy. O tym, że właściwie państwo Piastów powstawało jako część świata organizowanego przez Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego: Mieszko i Chrobry chcieli w zasadzie tylko dostać własne krzesło przy niemieckim stole. A i to krzesło było wykonane na niemiecki wzór.

Niemcy byli więc dla nas trochę jak źli rodzice: adoptowali dziecko, dali mu formę, prawo, miasta i miejsce w Europie, potem zaczęli nim gardzić, a w końcu próbowali je zabić, by potem zacząć pomrukiwać coś o tym, że im jednak przykro.

I czasem nawet pochwalić. Niemcy więc Niemcami, rachunek krzywd rachunkiem krzywd, ale mamy prawo dziedziczyć nawet po najgorszych rodzicach i czerpać z ich dorobku, jak sami Niemcy czerpali z Rzymu, który zresztą Germanami gardził tak samo jak Niemcy nami, pokazując, że ten bydlęcy mechanizm pogardy dla kogoś biedniejszego i gorzej rozwiniętego, który trwa w najlepsze do dziś i który zresztą sami powielamy, na przykład wobec Ukraińców, ma naprawdę zacne i starożytne korzenie. Zresztą i sam Rzym właściwie całą swoją formę zerżnął z Grecji i nikt nie nazywa Rzymian kserobojami.

Więc tak, forma. Gotyk bałtycko-wiślany, czyli czerwonocegłe rakiety wież kościelnych strzelających wzdłuż Wisły, od Krakowa do morza, wyniosły mur Torunia, którego stare miasto pokazuje, jaką formę przybrałaby nadwiślańska równina i jej miasta, gdybyśmy bardziej i więcej dziedziczyli od Niemiec, i uporczywa myśl, że gdyby Zygmunt III przeniósł stolicę nie do Warszawy, lecz tutaj, do Torunia, to Rzeczpospolita dostałaby miejski, handlowy i bałtycki środek ciężkości zamiast folwarcznego interioru.

Prusy Królewskie ze swoim Toruniem, Gdańskiem i Elblągiem były wobec reszty Rzeczypospolitej trochę jak greckie kolonie handlowe na wybrzeżu wobec sarmackiego interioru: bardziej zurbanizowane, bogatsze, kupieckie, samorządne i włączone w międzynarodową gospodarkę.

Rzeczpospolita zrobiła właściwie odwrotnie, niż należało: zamiast organizować interior na wzór najbardziej rozwiniętych części państwa, pozwoliła, by logika interioru i folwarku zdominowała porty – stolica w Toruniu mogła ten wektor odwrócić i uczynić kraj bardziej handlową, miejską Holandią niż oligarchiczną, rolniczą Ukrainą. Gdyby to porty narzuciły swoją logikę folwarkowi, państwo mogłoby wcześniej dorobić się silnych miast, podatków, administracji, floty i armii – i taką Rzeczpospolitą znacznie trudniej byłoby później rozebrać.

eprasa.pl 7e1750f966

Bo cóż, nie obroniła Rzeczpospolitej sama Matka Boska Częstochowska. Trzeba czegoś więcej. I nie obroni jej inna Matka Boska, którą postawiono niedaleko Torunia właśnie. Ta figura pokazuje, że tu nadal obowiązuje logika podwórkowa: jak dawna szlachta fundowała w ramach podziękowań Bogu kościoły, dziś lokalni bogacze, państwo Karkosikowie, w podzięce Bogu właśnie postawili tę monstrualną figurę Maryi o białych, pustych oczach, obojętnej twarzy i stojącej na koronie, która przypomina raczej odnóża steampunkowego pająka z „Wild Wild West". Idziemy jednak w rozwojową stronę: fortuny nie trzeba dziedziczyć, można zdobyć ją handlem.

Nigdy jednak bardziej nie czułem nieobecności Boga niż tu.

Konotopie. Nie patrz w górę

Przerażająca była ta Maryja. Mór-baba, górujący-nad-polami-kukurydzy-potwór-o-obojętnej-twarzy. Córa Godzilli i południcy. Blady megademon ziejący kosmiczną pustką.

Tym bardziej że w porównaniu do Jezusa ze Świebodzina wykonana o wiele bardziej profesjonalnie. Żaden siatkobeton: żelbet. Można, jak do wnętrza Jezusa, wejść i do środka Matki Boskiej. Tylko że w Maryi nie ma żadnych worków z cementem czy kiepów: Maryja w środku wygląda jak hall w drogim biurze. Brakuje tylko recepcji, za to jest winda.

Trzecie piętro – głowa – jeszcze nie działa. Można dojechać tylko do drugiego, wyjść na taras i patrzeć na kukurydziane pola i łany zbóż ścielące się u jej stóp. Przypominające Midwest i wszystkie te opowieści o kosmitach lądujących w zbożu.

I lepiej nie patrzeć w górę, na obojętnie sterczącą w górę Maryję, to beznamiętne monstrum, wielkie i puste jak Neptun czy Uran, bo przechodzą ciarki. Monstrum postawione na bojowym kroczącym podeście. Kiedyś w końcu bowiem dorobią jej wjazd do głowy, na trzecie piętro, i okaże się, że tam jest centrum nawigacyjne.

Będzie można nacisnąć przycisk, poruszyć wajchą i żelbetowa Madonna ruszy z miejsca, poruszając pajęczymi odnóżami, i wszystko dookoła spali laserami z oczu. Jeśli jednak to jest kolejny pomysł Polski na obronę, to nie jest najlepiej.

Co jednak z polską formą? Siatkobeton już niemodny. Żelbet? Przerażający. Jechałem w stronę Lichenia i widziałem coraz bogatszą Polskę, widziałem kościoły z gotyku bałkańsko-wiślanego, widziałem te przypominające kury, widziałem dożynkowe figury z bel słomy, będące emanacją polskiej wyobraźni: ustylizowane na policjanta, na chłopa i babę, na pijoka, na księdza.

Mijałem coraz bardziej wypacykowane polskie domy uciekające kolorystycznie w beże (Niemcy malują na biało, Austria na cytrynowo; okazuje się, że naszą formą, która jakoś sama z siebie wychodzi, po epoce pastelozy, jest beż), mijałem zielone, przystrzyżone, tujowate ogródki przy nich i rozmyślałem o twórczości Marka Rachwalika, podczęstochowskiego artysty, który swoje instalacje fotografuje właśnie w ogródku, w ogóle jego sztuka dobrze pasuje do Polski przydomowej, jednorodzinnej, z tą zielenią tła i intensywnymi barwami, kojarzy się z ogródkową rzeźbą.

Pytałem go o to wszystko, o polską formę, i proszę bardzo: znów pojawiły się Niemcy. Gdzie się w Polsce nie odwrócisz – tam między tujami siedzi Niemiec i się szczerzy.

– Wyjechałem na praktyki do Zagłębia Ruhry – opowiadał – i gdy wróciłem do siebie, pod Częstochowę, miałem kilka miesięcy dołа. U nas to wszystko było niedorobione, chaotyczne, niedociągnięte. Jeden dom z tej parafii, inny – z innej. Chaos płotów. U Niemców w ogóle płotów nie widziałem.

– Teraz – mówię mu – jest już inaczej, to „niemieckie" wchodzi do Polski bardziej, zaspokojone są już podstawowe potrzeby, możemy przejść od kwestii związanych z funkcjonalnością do potrzeb estetycznych, ale co? – pytałem. – W Niemczech, gdy się po-



• Rycerze Chrystusa Króla podczas poświęcenia 36-metrowej figury pomnika Chrystusa Króla. Świebodzin, 21 listopada 2010 r.

FOT. RENATA DĄBROWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

sprząta, wychodzi stara firna. U nas jest jej mniej. Co więc nam zostanie? Mamy stać się po prostu wystawą Ikei i Castoramy? Wszystko ma być poprawne, podokręcane, otoczone tujami i tyle? A gdzie jakaś oddolna manifestacja?

– Nie wiem – powiedział Rachwalik. – Też się zastanawiam.

– A co jeśli to, co w nas oryginalne, to po prostu burdel? – martwiłem się.

– Większość tej oddolnej twórczości to tandeta – mówił Rachwalik. – Ale są wyjątki. Widziałem kiedyś jakiegoś fana husarii, który sobie bramę kazał zrobić w formie rycerskiego hełmu, nawet nieźle to wyglądało. Albo bramę, naprawdę pięknie, psychodelicznie rzeźbioną. Może coś takiego? Oddolnie, ale jakościowo?

Agata Kus, malarka, która w oniryczne, surrealistyczne kadry ładuje realizm ciągnięty prosto z otaczającej ją, nas, rzeczywistości i właśnie, jak mówi, przeczuwa, że zaczyna się u niej „okres ludowy", trochę w tę oddolną jakość jednak nie wierzy: nie ma u nas edukacji plastycznej.

– Moja prababcia – mówi – chodziła już w szkole na plenery malarskie. Inspiruje mnie to, co mnie otacza w Polsce, ale to są raczej jakieś momenty, kadry. Ktoś, powiedzmy, nalewa kieliszek wódki i przyjmuje przez sekundę jakąś demoniczną pozę. Ale w polskiej przestrzeni jednak widzę dużo brzydoty.

Ach, nasz wiejski krajobrazie kulturowy, wyzerowany kilkadziesiąt lat temu, bo nasze drewniane domy zburzyliśmy do zera, bowiem wstydziliśmy się ich, bo takie były biedne, ciasne, prostackie i prześmierdłe. Jestem przecież pierwszym pokoleniem od tysiąca lat, które nie poznało drewnianej Polski.

Ach, nasze miasta, w których zabrakło dawnych mieszczan, w tym Żydów, więc w których łączność z dawnym światem również się przerwała. Ach, nasze miasta, których tkankę przeorała wojna i które komuna – co by nie mówić – cudownie i ze smakiem odbudowała (ach, te cudowne sgraffita z lat 50., które czynią odbudowane kamienice często piękniejszymi od tych, które się zachowały; kto nie wierzy, niech idzie na warszawską Starówkę albo niech pochodzi po Olsztynie, Białymstoku, Lublinie, Poznaniu), a potem obsadziła blokowiskami, które dodają krajobrazowi dramatyzmu, ale nie zawsze ukojenia. Ach, nasz krajobrazie naturalny, który kojarzy się z łachą piachu, w którym zabrakło efekciarstwa skalnych uskoków Dalmacji czy choćby rzecznych kanionów Bośni.

Ten Jezus jest wzruszającą, a zarazem – co by nie mówić – wulgarną i desperacką próbą objęcia tych poniemieckich ziem w posiadanie

Licheń. Boskie Matki-Polki z białymi orłami

Więc Polacy efekt muszą zrobić sobie sami. Ach, Licheń. Golgota usypana tam, gdzie nigdy nie było góry, w tej Golgocie – groty, w grotach – figury niby koślawe, niby naiwne, ale to przecież nasza oddolna naiwność, którą musimy zaakceptować, jak Meksykanie zaakceptowali estetykę dia de los Muertos, i teraz kombinują z tymi swoimi malowanymi czaszkami i szkieletami takie cuda, że się w głowie nie mieści.

O tym rozmyślałem, chodząc po licheńskiej Golgocie, wchodząc między świętych, anioły i całe Jerozolimy. Między Boskie Matki-Polki z białymi orłami u stóp albo trzymanymi na rękach i wyglądającymi jak kury w złotych koronach. Jeśli krajobraz nie chce być metafizyczny, można mu przecież pomóc.

Trzeba postawić czasem coś, co robi wrażenie. Na przykład takiego Jezusa w Świebodzinie. Albo bazylikę w Licheniu, choć tu, szczerze mówiąc, powinien naprawdę wjechać nadzór budowlany i dostać krwotoku z oczu.

Golgota jest zarazem i kiczowata, i perwersyjnie piękna jako oddolna manifestacja, ale bazylika to po prostu estetyczna zbrodnia dokonana na narodzie polskim, bo przecież nadzorowała to wszystko architektka z papierami.

Ale co z tego, że ma toto kształt Bazyliki św. Piotra, jeśli wygląda, jakby ta bazylika była zbudowana z materiałów z osiedlowego marketu budowlanego. No, ale robi wrażenie. Po to przecież zbudowano Hagię Sofię. Gdy wchodzili do niej słowiańscy barbarzyńcy, świeżo ochrzczeni, to padali na kolana, patrząc na to cudo, w jakie człowiekowi udało się wygiąć rzeczywistość. W tamtym dawnym świecie niewiele rzeczy mogło robić tak wielkie wrażenie jak ta gigantyczna kopuła Hagii Sofii, mozaiki, teatralna atmosfera.

Mamidło, jasne, ale jakie! Wszystko na świecie, w końcu, jest mamidłem. Poszukiwanie metafizyki to jakiś rozpaczliwy gest ludzi, którzy potrzebują, jak to mówią, „sensu w życiu". Boże, który nie istniejesz, jakież to życie byłoby męczące i niewolnicze, gdyby posiadało jakiś narzucony z góry „sens".

Tupolew pod pełnym księżycem

Jechałem na południe, objeżdżałem od zachodu Warszawę, żeby nie wpaść w centrum jej pajęczej sieci, przecinałem więc Otchłań Środkowopolską z jej płaskotą i pozornym banałem.

Puszczałem sobie raz Szopena, który jest właśnie o tej Środkowopolskiej Otchłani i pasuje do niej wykwintnie, jak oliwka do martini, a raz – żydowskich klezmerów. Również pasowali idealnie. Przy obu tych muzykach krajobraz za oknem wyglądał nieco inaczej.

Wstawały wieczorne mgły i czuć już było nadchodzącą jesień, i rozmyślałem o tym, że my, sprzedając Polskę innym jako kraj słomy i bocianów, a sobie – wiecznego cierpienia, błota, deszczu, szarości i wódki, popełniamy błąd. Mój Boże, przecież Polska okej, może i to kraj wiecznej jesieni, ale to również kraj demonicznych mgieł, konturów drzew w nich widocznych, w których mieszkają grające na piszczałkach diabły, bagien i ruczajów, w których żyją jeszcze echa starych bogów przerabianych przez katolicyzm na demony.

Weźmy takich Brytyjczyków: niby narzekają na pogodę, ale ironicznie, nie batożą się nią, nie katują. Jeśli im źle, to wyjeżdżają do Hiszpanii czy na Jamajkę, jak śpiewała Amy Whitehouse, ale nie płaczą jak mazgaje. Jak my.

Jak inaczej niż my można, na przykład, postrzegać polską jesień? Nasz kod jest taki: szaro, zimno, mokro, błoto, ciemno o czwartej, gołe krzaki. Ale spróbujmy przepuścić dokładnie ten sam pejzaż przez różne kulturowe filtry. Anglik, gdyby miał nasze cuda u siebie, zobaczyłby w nich mgłę i tajemnicę, mokradła i legendę, ruiny starego dworu uromantyczniłby przez ghost story, na wrzosowisku poczułby samotność i wolność, w deszczu – klimat, w zarośniętej drodze – przygodę.

Dziewięćdziesiątka czwórka na wschód od Olkusza mogłaby dostać nazwę The Old Kraków Road, obok stałaby tablica, że tędy według miejscowej legendy przechodził nocą Czarny Rycerz, a listopadowa mgła byłaby najlepszą porą na przyjazd na „tajemniczą i mistyczną Jurę Krakowsko-Częstochowską", a nie chwilą, w której trzeba stąd spieprzać.

Przydałaby się co prawda do tego stara i klimatyczna architektura, ale akurat na Jurze, z jej wapienną zabudową, tego jest mnóstwo. Trzeba tylko trochę więcej konsekwencji w prawie krajobrazowym. I tego, co mówiła Agata Kus: nauki estetyki już od podstawówki.

Gdy dojechałem do Kałkowa, pod Sanktuarium Matki Bożej Bolesnej Królowej Polski, Pani Ziemi Świętokrzyskiej, miejsca, w którym znajduje się kolejna polska Golgota, był już wieczór. Wierzcie lub nie, na niebie wisiał pomarańczowy, wielki księżyc.

Było pusto i cicho, a pod sanktuarium nikogo nie było. Trochę się bałem, co by nie mówić. Szedłem w końcu sam, pod pełnym księżycem, pomiędzy majaczące w mroku figury Jezusów i Matek Boskich z kuro-orłami w koronach. Od świętości do strachu tylko krok. Bóg, jak wiemy, jest miłosierny, ale pamiętamy, co potrafił nawywijać w Starym Testamencie. Chrześcijaństwo to niby zbawienie, ale jakoś szatan opętuje tylko wierzących.

Ale widok konturu Polski oplecionego świecącym, elektrycznym różańcem dodał mi trochę otuchy. Szybko zgasła, bo wszedłem w mroczną drogę krzyżową, pomiędzy tuje. W grotach odbywały się straszne sceny Męki Pańskiej. Gdy zabeczało jakieś zwierzę, koza, owca albo diabli wiedzą co – podskoczyłem ze strachu. Do tego zakrakał jakiś ptak. No tak. Księża urządzili sobie tu, przy drodze krzyżowej, minizoo, a ja zapomniałem o tym i pobudziłem układające się do snu zwierzęta.

Na końcu drogi krzyżowej stał Tupolew z betonu. Ten Tupolew. W drzwi wklejono fotografię tragicznie zmarłej pary prezydenckiej. Niezdarny kształt, naiwna sztuka. Dla nas, ludzi pierwszych dekad XXI wieku – albo zabawna polityczna deklaracja, albo wzruszający ludowy hołd. Kto co woli. Dla przyszłych badaczy i etnologów – cudo.

Nad tym wszystkim wyrastała Golgota. Zbudowano ją trochę na kształt zamku, a trochę – zigguratu, wyszła więc im z tego Wieża Babel. Ach, Polsko, kraju wiecznej ironii. Wieża zwieńczona była wielkim, czerwono świecącym krzyżem. Po jej ciemnych zakamarkach strach było chodzić. W grotach czaiły się Jezusy, polscy męczennicy, orły i Maryje. Wchodziłem coraz wyżej i wyżej, świecąc sobie komórką. Pośród wotów znalazłem tablicę z napisem: „Światło Chrystusa naszym światłem – Energetyka Polska".

Już było wiadomo, kto ma nas wszystkich obronić. I jaki mamy plan B, jeśli Putin zbombarduje nam infrastrukturę energetyczną – pomyślałem.

Wracałem pod wielkim pomarańczowym księżycem, ścigany przez krakanie ptactwa.

Gdy przechodziłem obok świecącego konturu Polski – Polska nagle zgasła.

Przyspieszyłem kroku. ●

eprasa.pl 7e1750f966

Świat nie jest tak zły

Jedno miasto, dwie gazety i dwa nagłówki. Ten z „New York Post" pamiętają wszyscy, ten z „New York Timesa" nikt.



Marcin Matczak

Jeden z polityków koalicji uznał ostatnio, że porównuję KO do Chaveza, bo w nagłówku mojego felietonu stoi, że w sprawie Trybunału Konstytucyjnego realizują scenariusz wenezuelski. „Nie wiem, czemu Matczak się ogranicza. Można nazwać wszystkie podjęte próby przywrócenia kondycji TK przez obecną ekipę bolszewicką, faszystowską czy właśnie autorstwa Hugo Chaveza... ale coś przynajmniej powinno się zgadzać! Zamordowani, przynajmniej uwięzieni, torturowani, zaginieni... a tu ni... Na marginesie Berek też nie wygląda ani na Stalina, ani Hitlera, ani Chaveza".

W tekście chodziło o scenariusz realizowany przez przeciwników Chaveza, którzy siłowo rozwiązali sąd najwyższy Wenezueli, co za moment doprowadziło nie do jego wyrwania spod kontroli politycznej, ale do całkowitego upolitycznienia.

Ale kto by dzisiaj czytał coś więcej niż nagłówki, zwłaszcza jeśli potwierdzają zdanie, które już sobie na jakiś temat wyrobiliśmy. Satyryczny „The Onion" już w 2010 roku donosił: „Naród wzdryga się na widok dużego bloku nieprzerwanego tekstu".

Dzisiaj czytamy bez głowy, ewentualnie po łebkach. W 2024 zbadano ponad 35 mln postów z Facebooka. Okazało się, że około 75 procent przekazanych linków udostępniono bez kliknięcia. Według autorów badania emocjonalność treści politycznych powoduje, że ludzie bardzo powierzchownie analizują nagłówki i zajawki, nie czytając samej treści.

Można więc powiedzieć, że nagłówek przestał zapraszać do tekstu, ale sam stał się tekstem. Być może zakrzykniecie, że tak nie jest. Ale uważajcie, bo ktoś was może sprawdzić. W 2014 roku w prima aprilis radio NPR wrzuciło na Facebook nagłówek artykułu „Dlaczego Ameryka już nie czyta?". Po kliknięciu linku pojawiał się tylko akapit, który gratulował „prawdziwym czytelnikom" i prosił ich, by polubili post, ale go nie komentowali. Ci, którzy nie kliknęli i nie zobaczyli, że to żart, energicznie komentowali nagłówek: był to ocean komentarzy w obronie własnego czytelnictwa, pisanych przez ludzi, którzy tekstu nie przeczytali.

Podobnie w 2016 roku satyryczny portal opublikował tekst pod nagłówkiem mówiącym, że 70 procent użytkowników Facebooka czyta tylko tytuły artykułów naukowych przed skomentowaniem. Pod linkiem był wyłącznie tekst z wypełniaczem „lorem ipsum". Mimo to udostępniły go blisko 46 tysiące osób.

Nagłówki powodują więc, że działamy bez głowy. A dodatkowym problemem jest to, że nagłówki stają się coraz bardziej ponure, bo negatywność lepiej się klika i udostępnia. Badacze przeanalizowali 23 mln nagłówków z 47 amerykańskich mediów z lat 2000–19. Stwierdzili wzrost negatywności, rosnący udział gniewu, strachu, wstrętu i smutku oraz spadek nagłówków neutralnych. Nagłówków wyrażających gniew przybyło o 104 procent, a strach o 150 procent.

Kto by dzisiaj czytał coś więcej niż hedlajny, zwłaszcza jeśli potwierdzają zdanie, które już sobie na jakiś temat wyrobiliśmy. Satyryczny „The Onion" już w 2010 roku donosił: „Naród wzdryga się na widok dużego bloku nieprzerwanego tekstu"

Próbowano też eksperymentu odwrotnego. W grudniu 2014 roku rosyjski portal City Reporter przez jeden dzień publikował wyłącznie dobre wiadomości. Czytelnicy zagłosowali nogami, a raczej kciukami: ruch na stronie wyraźnie spadł, a nazajutrz portal wrócił do zwykłych newsów.

Dlaczego tak się dzieje? Bo złe emocje niosą temat. Według badania z roku 2023 każde dodatkowe negatywne słowo w nagłówku podnosiło współczynnik klikalności o 2,3 procent. A już czyste szaleństwo klikalności daje zaatakowanie w nagłówku „obcej grupy" – innych, wrogów, zdrajców czy agentów. W badaniu z 2021 roku, w którym analizowano około 2,7 mln postów mediów i kongresmenów, wyszło, że każde słowo odnoszące się do politycznej „obcej grupy" zwiększało szansę udostępnienia o 67 procent.

Najlepszy nagłówek, który czyni czytanie tekstu całkowicie zbędnym, to nagłówek wyrażający oburzenie. Jeżeli jest sprytnie skierowane, całkowicie wyłącza weryfikację. Ludzie częściej udostępniają oburzające informacje bez czytania, bo chcą zasygnalizować swoje stanowisko moralne albo lojalność wobec grupy.

Jedną z niewielu pozytywnych emocji, która czyni nagłówek nośniejszym, jest podziw. Okazuje się bowiem, że aby nagłówek angażował, musi silnie pobudzać. A to podziw robi równie dobrze, jak gniew czy niepokój. Co ciekawe, gdy zestawić różne odczucia, podziw wygrywa raczej w udostępnianiu, a te negatywne w klikaniu. Słabo za to w udostępnianiu sprawdza się smutek – pewnie dlatego informacje o porażkach polskich sportowców tak szybko znikają z serwisów informacyjnych.

Można widzieć czytanie tylko nagłówków jako dekapitację treści. Nagłówek jest głową odciętą od ciała tekstu, a czytelnik, który reaguje na sam nagłówek, jest jak ciało bez głowy, które odpowiada trzewiami. A rynek nagradza tych, którzy odcinają głowy.

Czasem dosłownie. Jednym z najsłynniejszych nagłówków w historii amerykańskiej prasy jest „Headless Body in Topless Bar" – „Ciało bez głowy w barze topless" – z tabloidowego „New York Post". Tę samą zbrodnię szacowny „New York Times" zatytułował „Właściciel baru zastrzelony; podejrzany zatrzymany", a o odciętej głowie wspomniał dopiero w trzecim akapicie. Pierwszy nagłówek pamiętają wszyscy, a drugiego nikt.

Ostatecznie głowę traci nie tylko czytelnik – autor uczy się ją tracić, bo za to dostaje lajki. W jeszcze innym badaniu przebadano 12,7 mln tweetów i stwierdzono, że kiedy ludzie pozytywnie reagują na oburzenie, zwiększa się chęć piszących, by oburzenie coraz częściej wyrażać. Algorytm tresuje więc także autorów.

Skutek tego wszystkiego jest opłakany. Coraz częściej czytamy tylko nagłówki, które z roku na rok stają się coraz bardziej ponure, pełne strachu, oburzenia i wrogości. To powoduje, że coraz więcej ludzi takich nagłówków używa. W efekcie otrzymujemy wizję świata, która jest o wiele gorsza niż w rzeczywistości i wzmacnia się w nas przekonanie o moralnym upadku świata.

Lekarstwo jest banalne: kliknąć i przeczytać, czyli przyszyć głowę z powrotem do ciała tekstu.

Twitter próbował w tym pomóc. W 2020 roku zaczął wyświetlać okienko osobom, które chciały podać dalej link, choć go nie otworzyły: „Nagłówki nie opowiadają całej historii" – komunikowano – „artykuł warto przeczytać, zanim się go udostępni". W efekcie ludzie otwierali artykuły o 40 procent częściej. Ale akcji zaprzestano – może po prostu gorzej się klikała.

Narażeni

Zbigniew Ziobro był kuszony, by wziąć pół miliona złotych, i tej pokusie uległ. Jest po prostu ofiarą kuszenia, a więc właściwie jest niewinny.



Michał Rusinek

W Radiu Zet, w rozmowie z Andrzejem Stankiewiczem, pani europosłanka i była ministra edukacji Anna Zalewska, komentując aferę Zondacrypto, powiedziała zdanie, które mogło ujść naszej uwadze, a przecież nie powinno.

Kiedy Stankiewicz zapytał: „Czy pani się podoba, że pani koledzy jeździli na spotkania, zgłaszali potem poprawki i brali kasę?", Zalewska odpowiedziała: „Ja uważam, że nikt, nikt absolutnie, nie powinien być narażany na to, żeby brać pieniądze od złodziei, o których wiedział polski rząd".

●

Wyraz „narażać" – pochodzący od prasłowiańskiego „raziti", czyli zadawać razy lub ciosy – oznacza, jak czytamy w słownikach, wystawić kogoś na niebezpieczeństwo, na działanie czegoś szkodliwego lub sprawić, żeby doznał nieprzyjemności, albo też powodować, że ktoś lub coś może zacząć znajdować się w niekorzystnym stanie wyrażonym za pomocą następującego wyrażenia przyimkowego.

Owszem, bywamy narażani na coś, co nam szkodzi. Branie pieniędzy samo w sobie nie jest raczej szkodliwe, ale konsekwencje brania pieniędzy od złodziei zwykle są dla biorącego rzeczywiście niekorzystne.

Logika i składnia podpowiadają jednak, że narazić kogoś można nie na branie pieniędzy od złodziei, ale raczej na konieczność lub pokusę brania pieniędzy od złodziei. Tyle że wówczas można się samemu – a w tym przypadku samej – narazić na sprzeniewierzenie się partyjnemu przekazowi. Lepiej więc poświęcić zasady składni i logiki, bo ani jedna, ani druga konsekwencji z tego nie wyciągnie.

●

Mimo trudności składniowo-logicznych spróbujmy odtworzyć sens wypowiedzi europosłanki. Rząd albo nie poinformował jej kolegów, że pieniądze są trefne, albo podłożył im te pieniądze, albo też nie dał im wyboru, a więc tym samym zmusił ich do wzięcia trefnych pieniędzy.

Jeśli prawdziwe jest powiedzenie, że okazja czyni złodzieja, to prawdziwe może być w tym przypadku także inne: że okazja czyni wspólnika złodziei.

Sytuacja oglądana oczami Zalewskiej wyglądała więc zapewne tak, że na przykład Zbigniew Ziobro był kuszony, by wziąć pół miliona złotych, i tej pokusie uległ. Jeśli on był kuszony, to oznacza, że ktoś go kusił.

Zdaniem europosłanki osoba kuszona, jeśli dała się skusić, jest po prostu ofiarą kuszenia, a więc właściwie jest niewinna, bo to ktoś inny sprowadził ją na złą drogę. Winna jest wyłącznie osoba kusząca.

Przypomina to do złudzenia tłumaczenie się gwałcicieli: owszem, ulegli pokusie, ale dlatego, że byli narażeni na widok krótkich spódniczek lub wyciętych dekoltów. A więc wina leży po stronie wyzywająco, ich zdaniem, ubranych kobiet.

Natomiast kiedy wąż skusił biblijną Ewę, by zerwała i skosztowała owoc z drzewa poznania dobra i zła, i gdy potem „dała swemu mężowi, który był z nią: a on zjadł", to wtedy zarówno kusiciel poniósł karę, bo został przeklęty, jak i skuszeni zostali wygnani z rajskiego ogrodu oraz skazani na zestaw innych nieprzyjemności, których skutki odczuwają ich zstępni do dziś.

Zastanawiające, że europosłance Zalewskiej bliższa wydaje się logika gwałcicieli niż etyka biblijna.

●

Nie wiemy, czy śmiać się, czy płakać, ale Seneka Młodszy w dialogu „O niezłomności mędrca" podpowiada nam, że „nemo risum praebuit qui ex se cepit", czyli że nie narazi się na cudzy śmiech ten, kto sam zaczął od siebie.

Nie zauważyliśmy jednak, by Zalewska się z siebie śmiała. Nie dostrzegliśmy także, by śmiał się z siebie ktokolwiek ze wspomnianych jej kolegów, w tym Zbigniew Ziobro. Być może narażenie się na śmieszność nie wydaje im się takie straszne.

Nie jest jednak wykluczone, że Ziobro jest po prostu wiernym czytelnikiem prozy Oscara Wilde'a, ze szczególnym uwzględnieniem „Portretu Doriana Graya", gdzie pojawia się słynne zdanie, że „jedynym sposobem zwalczenia pokusy jest poddanie się jej", a więc narażenie go na konieczność wzięcia pieniędzy od złodziei musiało się skończyć tak, jak się skończyło.

Nieco wcześniej lord Henryk tłumaczy, że „każde dążenie, które staramy się unicestwić, trawi naszego ducha i zatruwa nas" – a Zbigniew Ziobro dba o swojego ducha i wystrzega się wszystkiego, co toksyczne.

„Gdy się opieramy – mówi dalej hrabia – nasza dusza chorobliwie pożąda tego, czego jej odmówiono, potęgując swą żądzę pragnienia tego, co potworne prawa uczyniły potwornym i bezprawnym".

Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby Ziobro nie uległ pokusie wzięcia pół miliona od złodziei, bo nie tylko by jej nie zwalczył, ale i ją spotęgował, a wtedy lepiej sobie nie wyobrażać, ile i od kogo mógłby wziąć albo czego jeszcze mógłby się dopuścić. Wszystko przez to potworne prawo, na którego przestrzeganie jesteśmy narażeni. A tak było dobrze, jak nie byliśmy. I komu to przeszkadzało?

eprasa.pl 7e1750f966

ŚWIAT

We don't speak Russian here

Ukraińcy negocjują ambitnie, czasami asertywnością przypominają polskich negocjatorów sprzed ćwierć wieku.

Maciej Popowski

Retiarius to typ gladiatora, który walczył trójzębem i siecią rybacką. Zazwyczaj stawał w szranki z ciężkozbrojnym *secutorem*. Trójząb widnieje w herbie Ukrainy i na szewronach ukraińskich mundurów, jest symbolem walki i oporu, choć w Polsce budzi kontrowersje.

A sieci? Tych Ukraińcy, jak rzymski *retiarius*, używają głównie do obrony. Ukraińska służba ratownicza DSNS rozpina rybackie sieci nad drogami, schronami czy stacjami kolejowymi, bo zapewniają prostą i skuteczną ochronę przed mniejszymi dronami.

Straże przybrzeżne różnych krajów europejskich co roku konfiskują duże ilości sieci używanych do nielegalnych połowów. Francuzi, Włosi i Finowie zaoferowali Ukraińcom prawie 130 ton sieci – skonfiskowanych lub przekazanych przez rybaków – które za pośrednictwem Unijnego Mechanizmu Ochrony Ludności trafiły do ratowników z DSNS.

Przewagą *retiariusa* nad *secutorem* były zwinność i spryt. Jak widać, to przymioty przydatne nie tylko na arenie rzymskiego amfiteatru.

Ukraińcy potrzebują oczywiście broni. W obszernym hallu ukraińskiego MSZ znajduje się ekspozycja dronów trzech zasadniczych typów: powietrznych, morskich i naziemnych. Można tu zobaczyć egzemplarze Vampira, Horneta czy Buntara, drony przechwytujące P1-SUN i Octopus, a także roboty naziemne Ratel, Lyut i TerMIT. Jest też pocisk przeciwokrętowy Neptun, którym Ukraińcy w kwietniu 2022 zatopili na Morzu Czarnym krążownik Moskwa.

Drony wywołały na polu walki rewolucję tej rangi jak wcześniej czołgi, samoloty oraz internet. Wojna w Ukrainie nie jest pierwszą, w której drony odgrywają kluczową rolę, by wspomnieć konflikt Arabii Saudyjskiej z jemeńskimi Huti, ale wszystkie inne przewyższa skalą zastosowania bezzałogowców i tempem innowacji. Ukraina stała się laboratorium nowych technologii. Na początku wojny w powietrzu dominowały tureckie Bayraktary, teraz ukraińscy żołnierze używają przede wszystkim dronów rodzimej produkcji. Powstają kolejne start-upy, podpisywane są umowy o współpracy z czołowymi firmami europejskiej zbrojeniówki, a Komisja Europejska we wrześniu 2024 r. otworzyła w Kijowie biuro innowacji obronnych, żeby obserwować najnowsze trendy tam, gdzie one powstają.

W ostatnich miesiącach ukraińskie drony dolatują do Moskwy, Petersburga czy Jekaterynburga atakując rafinerie i centra logistyczne przeciwnika. Lecz Rosjanie nie zasypują gruszek w popiele, to oni na dużą skalę zaczęli produkować maszyny prowadzone na przewodach z włókien optycznych bardzo trudne do wykrycia przez systemy obrony przeciwlotniczej. Stale zwiększają też produkcję – w tym roku rosyjska armia pozyska ponad 7 milionów nowych dronów.

Wnioski z wojny w Ukrainie będą przez lata przedmiotem studiów w akademiach wojskowych na całym świecie i, jak mówi Radek Sikorski, kolejną wojnę wygra ten, kto wdroży je w życie.

●

Patrona znają wszyscy, ma nawet swoje konto na X i Instagramie. Patron, czyli Nabój, ma 7 lat i mieszka w Czernihowie. Jest terierem odmiany Jack Russell i specjalizuje się w wykrywaniu ładunków wybuchowych. Stał się maskotką ukraińskich strażaków, fotografują się z nim wielcy tego świata, choćby sekretarz generalny NATO Mark Rutte.

Niektórzy twierdzą, że jest po prostu zwierzakiem domowym sapera z Czernihowa, a cała reszta to legenda, ale to nie ma znaczenia, liczy się przekaz. Ukraińcy wyznaczają trendy w wojnie narracyjnej i do perfekcji opanowali sztukę komunikacji politycznej. Wszyscy pamiętają jedno z pierwszych nagrań wideo Wołodymyra Zełenskiego z lutego 2022 r., na którym na propozycję ewakuacji rzekomo złożoną mu przez Amerykanów odpowiada, że nie potrzeba mu podwózki, tylko amunicji.

Żołnierzy śpiewali piosenkę o dronach Bayraktar, Andrij Chływniuk z zespołu Boombox najpierw zaśpiewał „Czerwoną kalinę", stojąc w mundurze przed Soborem Sofijskim w Kijowie, a potem nagrał z Davidem Gilmourem i Nickiem Masonem z Pink Floyd piosenkę „Hey, Hey, Rise Up!". Sylwetka obrońcy Wyspy Wężowej pokazującego rosyjskiemu okrętowi środkowy palec i wysyłającego go na... powiedzmy, że na dno, gdzie też później trafił, widnieje na znaczkach pocztowych i butelkach wódki Nepoborna.

Pod koniec rozmowy z gubernatorem Odessy mówię, że chcę się wybrać pod pomnik Izaaka Babla, którego jestem wielkim miłośnikiem. „Już go tam chyba nie ma, znacjonalizowany"

W tej wojnie liczą się nie tylko drony, ale siła ducha, a tą wzmacniają historie o oporze i niezłomności. Nie da się jednak ukryć, że ludzie są zmęczeni, bo zwykła codzienność wymaga od nich ogromnego wysiłku, chociaż łatwego życia nie mieli tak naprawdę nigdy...

●

O strażakach była już mowa – kochają ich wszyscy na całym świecie, bo i pożar ugaszą, i wypompują wodę z piwnicy, i zdejmą kotka z drzewa. W większości krajów to właśnie straż pożarna cieszy się najwyższym zaufaniem społecznym. W Ukrainie – zaraz po armii.

Szef DSNS Andrij Danyk wygląda trochę jak młody Kazik Staszewski, nie licząc krótkiej regulaminowej fryzury przystającej szefowi służby mundurowej. Widujemy się dość regularnie, Państwowa Służba Ukrainy do spraw. Sytuacji Nadzwyczajnych koordynuje udział Ukrainy w Unijnym Mechanizmie Ochrony Ludności (UCPM) – to właśnie ratownicy odbierają wysyłane do Kijowa czy Odessy generatory albo środki ochrony przed skażeniami.

Współpraca układa się znakomicie, mamy dużo kontaktów, niestety oznacza to także przykre obowiązki. Co kilkanaście tygodni wysyłam do Andrija listy kondolencyjne po śmierci strażaków, którzy zginęli podczas akcji ratunkowych. Od początku wojny życie straciło ponad 120 ratowników z DSNS, ponad 650 zostało rannych. Nie były to ofiary przypadkowe. Rosjanie systematycznie stosują taktykę podwójnego uderzenia, *double tap*, po ataku dronowym lub rakietowym biorą na cel przybywające na miejsce ekipy ratunkowe. To bez wątpienia zbrodnia wojenna. Ukraińcy strażacy nie bez powodu mówią o sobie „bohaterowie bez broni", a ich unikalne doświadczenie z działań w strefie czynnego konfliktu jest już przedmiotem analiz europejskich służb obrony cywilnej.

DSNS pomaga zresztą nie tylko u siebie. 70 strażaków z Ukrainy pod koniec lipca tego roku pojechało do Francji, żeby wraz europejskimi kolegami walczyć z pożarami lasów niszczącymi okolice Bordeaux. Europejska solidarność działa w obie strony.

●

Marianna, drobna Włoszka z burzą czarnych loków i szerokim uśmiechem, jest szefową unijnego biura do spraw pomocy humanitarnej w Kijowie. Przed przyjazdem do Ukrainy Marianna pracowała w Kabulu, mieszkała w przypominającym westernowy fort budynku. Po ogrodzie na podwórzu fortu przechadzały się pawie, co jakiś czas płoszone przez poszukujące ładunków wybuchowych spaniele. Za wysokim murem mieściła się siedziba talibskiej bezpieki.

Osobom pracującym w warunkach podwyższonego ryzyka przysługuje dodatkowy urlop na regenerację. „Myślałam, że po przenosinach do Kijowa będę częściej jeździć do Włoch, a tu okazało się, że mimo ciągłych alarmów przeciwlotniczych życie toczy się zupełnie normalnie" śmieje się Marianna. „Czasami w ogóle nie chce mi się stąd ruszać, bo mam tu wszystko, czego mi potrzeba".

Marianna od dziecka lubiła tańczyć. W Kijowie zapisała się do Mary Ballet, szkoły baletowej dla dorosłych. W maju na jej siedzibę spadł rosyjski dron, ale już tydzień później Marianna wystąpiła w premierowym przedstawieniu „Retour à soi" do muzyki Linking Park.

W czerwcu kijowska opera wystawiła „Matki Chersonia", rzecz o ukraińskich dzieciach uprowadzonych przez Rosjan, ale można tam zobaczyć też „Cyrulika Sewilskiego" albo „Fausta". W przypadku nalotu muzycy i publiczność schodzą do schronu. Kiedy nalot się skończy, aplikacja, którą każdy ma w telefonie, zmienia kolor na zielony, a urządzenie głosem Marka Hamilla mówi „May the Force be with you". Muzycy wracają na scenę, publiczność na widownię. *The show must go on.*

●

Koniec września 2022, prezydencka rezydencja w Domu Horodeckiego, wspaniały przykład kijowskiego *art nouveau*. Ze ścian i sufitu spoglądają na nas fantazyjne zwierzęta, którymi architekt porównywany do Gaudiego, Polak z pochodzenia, ozdobił wnętrza i fasadę budynku. Kończy się roboczy obiad prezydenta Zełenskiego i przewodniczącej Komisji Europejskiej. Kelnerzy w mundurach wnoszą talerzyki ze świeżymi melonami,

eprasa.pl 7e1750f966



FOT. CHRISTOPH SOEDER/PAP/DPA

• **Ursula von der Leyen w siedzibie ukraińskiej Państwowej Służby ds. sytuacji nadzwyczajnych. Przewodnicząca Komisji Europejskiej karmi Patrona, psa wyszkolonego do wykrywania min. Kijów, 20 września 2024 r.**

z których słynie odbity właśnie przez Ukraińców Chersoń. Ursula von der Leyen pije kawę z dużą ilością mleka i pyta gospodarza, czy zamiast kondensatu w plastikowej kapsułce może dostać prawdziwe mleko. Zełenski odpowiada z uśmiechem: „Bardzo proszę, mleka jeszcze nie zreformowaliśmy". Kelner podaje pani przewodniczącej mały dzbanuszek z mlekiem.

Reformowanie mleka nie jest łatwe. Po zmianie rządu na Węgrzech negocjacje w sprawie przystąpienia Ukrainy do Unii Europejskiej ruszyły z miejsca, ale na najtrudniejsze rozdziały negocjacyjne dopiero przyjdzie czas. Wspólna polityka rolna jest niewątpliwie jednym z nich.

Jak mówi Jerzy Plewa, wybitny znawca tej tematyki, były polski negocjator, a potem dyrektor generalny do spraw rolnictwa w Komisji Europejskiej, Ukraińcy skupiają się wyłącznie na kwestii dostępu do rynku. A konkurencyjność ukraińskiego rolnictwa polscy, węgierscy czy rumuńscy farmerzy odczuli na własnej skórze po zawieszeniu w połowie 2022 r. stawek celnych na ukraińskie produkty. Doszło do protestów, konieczna była interwencja Komisji Europejskiej zezwalająca na wprowadzenie ograniczeń w dostępie do unijnego rynku pszenicy, malin, kurczaków czy oleju słonecznikowego.

Ale w negocjacjach akcesyjnych nie chodzi tylko o ilość, także o jakość. Kraj kandydujący musi spełnić wyśrubowane standardy weterynaryjne i fitosanitarne, podczas polskich negocjacji akcesyjnych Warszawa musiała na przykład zobowiązać się, że wszystkie ubojnie będą miały wyoblenia, czyli zostaną wyłożone kafelkami o zaokrąglonych krawędziach, na których nie gromadzą się bakterie. Lista wymagań jest długa i negocjacje w tym obszarze zapewne będą trwać do samego końca. Jerzy Plewa jeszcze po szczycie w Kopenhadze w grudniu 2002 r., podczas którego zamknięto negocjacje w sprawie przystąpienia Polski i pozostałych 9 kandydatów, próbował wynegocjować dodatkowe kwoty mleczne. Nie udało się.

Pomijając kwestie rolne, trudnych pertraktacji spodziewać się należy w dziedzinach pomocy państwa dla przedsiębiorstw, ochrony środowiska, transportu, obrotu ziemią i nieruchomościami.

Negocjacje akcesyjne Ukrainy mają oczywiście wymiar historyczny i polityczny, ale wymogi prawa europejskiego są nieubłagane. Ukraińcy negocjują ambitnie, czasami asertywnością przypominają polskich negocjatorów sprzed ćwierć wieku. Nie wszystko da się jednak przyspieszyć, nawet jeśli 4 lata temu Komisja Europejska przygotowała dokument pozytywnie opiniujący ukraiński wniosek o członkostwo w ciągu 6 tygodni, podczas gdy w przeszłości zajmowało to średnio półtora roku.

Nie odbiło się to na rzetelności przedstawionej analizy. Ukraina chce być gotowa do członkostwa w roku 2028, Unia unika podawania docelowej daty. Tą określić można będzie dopiero z chwilą podpisania traktatu akcesyjnego, jego ratyfikacja zajmie co najmniej rok a w niektórych państwach UE może poddana pod referendum.

●

Zimą jest trudniej. Jak bezwzględny i skuteczny jest generał Mróz, przekonali się podczas kampanii rosyjskiej i Napoleon, i Hitler. Do zimy Ukraińcy są przyzwyczajeni, chociaż ta ostatnia była wyjątkowo ciężka, a Rosjanie systematycznie atakowali elektrownie i sieci przesyłowe.

Od początku wojny Unia Europejska przekazała Ukrainie prawie 12 tysięcy generatorów prądu, które wykorzystywane są między innymi do zasilania „punktów niezłomności". Można się tam ogrzać, napić herbaty, podładować telefon i skorzystać z internetu. Główny magazyn generatorów znajduje się koło Lublina i w imieniu Unii zarządza nim Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych.



Maciej Popowski

• Rocznik 1964 r., dyplomata i urzędnik europejski. Brał udział w negocjacjach akcesyjnych. Był szefem gabinetu Jerzego Buzka kiedy był przewodniczącym PE, zastępcą szefowej unijnej dyplomacji i dyrektorem gen. ds. rozszerzenia UE. Obecnie dyrektor generalny ds. pomocy humanitarnej i ochrony ludności w KE. Autor książek „Alfabet brukselski", „Płonące lustra" i „Trudnopis".

W bajce „Wdzięczność szczupaka" Aleksego Tołstoja leniwy Miszka każe się wieźć do cara na kaflowym piecu, z którego nie chciało mu się wstać. Logistycy Unijnego Mechanizmu Ochrony Ludności (UCPM) przeprowadzili podobną, choć znacznie większą operację i to bez udziału złotej rybki i leniwego mużyka.

W 2024 r. rząd litewski zaoferował Ukrainie... całą elektrociepłownię ogrzewającą kiedyś aglomerację wileńską. Zbudowano ją w czasach sowieckich, wyłączono w 2016. W ciągu 11 miesięcy elektrociepłownia została rozłożona na części pierwsze i przewieziona do Ukrainy. W 149 transportach dostarczono 2400 ton sprzętu – w tym masywne, ważące po 170 ton każdy, transformatory. Kluczową rolę w tej operacji odegrał polski RARS.

Ukraińcy nie złożyli elektrociepłowni z powrotem, tylko wykorzystują jej elementy do bieżących napraw zniszczonych przez Rosjan obiektów, na przykład elektrowni trypilskiej pod Kijowem. Kiedy zwiedzałem ją przed rokiem, strażacy dogaszali właśnie pożary po nocnym nalocie. Masywny transformator z Wilna pozostał nienaruszony i czekał na podłączenie do sieci.

Do walki z generałem Mrozem przydają się nie tylko prąd i ciepła woda, ale i sól drogowa, w warunkach wschodnioeuropejskiej zimy artykuł pierwszej potrzeby. Przez UCPM trafiło do Ukrainy 45 tysięcy ton soli zakupionej w Egipcie za pieniądze rządu holenderskiego i przewiezionej statkami z Port Saidu do rumuńskiej Konstancy i portu Izmaił w delcie Dunaju.

●

Gubernator obwodu mikołajewskiego Witalij Kim jest miejscową legendą. Sympatyczny czterdziestoparolatek o koreańskich korzeniach był kiedyś biznesmenem. Podczas rosyjskiej ofensywy wiosną 2022 nie wyjechał z Mikołajewa i codziennie wysyłał komunikaty wideo do mieszkańców miasta i obwodu. Wszyscy wiedzieli, że nie zostawi ich w potrzebie.

eprasa.pl 7e1750f966

Gubernator Kim i ja wróciliśmy właśnie z inauguracji budynku szkoły mistrzostwa sportowego w Mikołajewie, poważnie uszkodzonej przez Rosjan i odbudowanej przez oenzetowską agencję rozwoju UNDP. Szkołę tę skończyła większość ukraińskich olimpijczyków, w tym szablistka Olha Charłan, która na mistrzostwach świata w Mediolanie w 2023 r. odmówiła podania ręki rosyjskiej przeciwniczce. Jest koniec lipca, wyposażona w obowiązkowy schron przeciwlotniczy z zapasami wody i jedzenia szkoła gotowa jest na przyjęcie młodzieży.

My tymczasem chronimy się przed upałem w chłodnym wnętrzu piwiarni Heinrich Schulz. Pijemy warzone na miejscu piwo, jemy precle i *Kartoffelsalat*. Gubernator Kim nie przestaje być dobrym gospodarzem regionu, pyta, jak mógłby zdobyć fundusze na zakup opału, choć zimą 2026/2027 zajmie się już jego następcą. Kim wyjechał ze swojego Mikołajewa w lipcu, żeby objąć tekę ministra do spraw weteranów. Obecnie około 2 milionów, ale to liczba trudna do weryfikacji. Tylu może być w Ukrainie weteranów wojennych, przecież dla Ukraińców wojna zaczęła się w 2014 roku.

Jak ciężki i kosztowny jest grzech zaniechania opieki nad powracającymi z wojny, najlepiej wiedzą Rosjanie. Na przełomie lat 80. i 90. „Afgancy" stali się obciążeniem społecznym i zagrożeniem porządku i bezpieczeństwa. Ukraińcy to rozumieją. Żołnierze wracający z frontu często cierpią na zespół stresu pourazowego, popadają w uzależnienia, już w pierwszym roku wojny wystrzeliła w górę liczba przypadków przemocy domowej, do tego dochodzi łatwa dostępność do broni i umiejętność posługiwania się nią. Skutki zaniedbań będą odczuwalne daleko poza granicami Ukrainy, sfrustrowani frontowcy mogą trafić w szeregi organizacji przestępczych i są łatwym celem rekrutacji ze strony wrogich wywiadów.

Marianna, szefowa unijnego biura ds. pomocy humanitarnej: Myślałam, że po przenosinach do Kijowa będę częściej jeździć do Włoch, a mimo ciągłych alarmów przeciwlotniczych nie chce mi się stąd ruszać

Weterani potrzebują specjalistycznej opieki, w tym psychologicznej, rehabilitacji, endoprotez, szkoleń zawodowych i pomocy w powrocie do cywilnego życia. Takie właśnie zadania stoją przed ukraińskim ministerstwem do spraw weteranów. Które na szczęście może liczyć na wsparcie Komisji Europejskiej – w tym roku rusza wdrażany przez Czerwony Krzyż program pilotażowy z budżetem 10 milionów euro.

Jednym z celów programu jest pomoc w wyszkoleniu weteranów jako strażaków ochotników – w Ukrainie ma powstać prawie 2000 oddziałów ochotniczej straży pożarnej.

Jak mówi pułkownik Piotr Łukasiewicz, polski ambasador w Kijowie i weteran z Afganistanu, za 10 lat krajem będą rządzić weterani, więc pomagając im, inwestujemy w przyszłość.

Żołnierze i byli żołnierze już dziś zresztą odgrywają kluczową rolę w instytucjach rządowych, żeby wspomnieć byłego szefa wywiadu wojskowego a obecnie szefa prezydenckiej administracji generała Kyryła Budanowa czy jego zastępczynię Irynę Wereszczuk, byłą pułkownik wojska ukraińskiego, mówiącą piękną polszczyzną absolwentkę Krajowej Szkoły Administracji Publicznej. No i oczywiście generała Wałerija Załużnego, głównodowodzącego w pierwszych latach wojny, dziś potencjalnego kontrkandydata Zełenskiego w wyborach prezydenckich.

Dopóki trwa wojna, dopóty armia musi szczególnie dbać o żołnierzy. Ukraińskim dowódcom a w każdym razie zdecydowanej ich większości, zależy na ludziach, czego nie można powiedzieć o dowódcach rosyjskich, dla których żołnierz to mięso armatnie.

•

Ranni trafiają czasami do szpitali za granicą, podobnie zresztą jak cywile, których leczenie w kraju jest z jakichś powodów trudne lub niemożliwe. Żeby sprawnie przetransportować ich do jednego z krajów europejskich, potrzebny jest system ewakuacji medycznej.

Najczęściej zaczyna się od długiej jazdy pociągiem. Wrześniowy wieczór 2025. Na dworzec główny w Kijowie wjeżdża skład wiozący pacjentów z południa Ukrainy. Do wagonu intensywnej opieki medycznej wchodzę razem z głównym anestezjologiem ukraińskiej armii pułkownikiem Oleksandrem Buhajem i unijną ambasador Katariną Mathernową. Większość pacjentów zostanie w stolicy, dla pozostałych do dopiero pierwszy etap podróży. Tych ministerstwo zdrowia kieruje do centrum ewakuacji medycznej przy lotnisku w Jasionce w Rzeszowie. Centrum powstało w maju 2022, jest finansowane przez Komisję Europejską, a prowadzi je Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej. Przez ostatnie 4 lata przewinęło się przezeń 5 tysięcy osób.

Państwa członkowskie UE zgłaszają Komisji dostępne miejsca w klinikach, pacjenci odbywają podróż z Rzeszowa karetkami albo specjalistycznym norweskim – a w przyszłości polskim – samolotem ewakuacyjnym, spoglądając przy starcie na baterie Patriotów rozmieszczonych wokół lotniska.

Ewakuacja ludności cywilnej, a w szczególności chorych i rannych, to nie tylko wymóg chwili z uwagą na toczącą się wojnę. To również ważna lekcja dla innych krajów europejskich. W przypadku kolejnego konfliktu zbrojnego niezbędne będą akcje ewakuacyjne na dużą skalę. Nad takimi scenariuszami pracują wojskowi i cywilni. Umiejętności nabyte przez podmioty zaangażowane w ewakuację ukraińskich pacjentów koleją i dalej drogą lotniczą mogą okazać się bezcenne. Obyśmy nie musieli stosować ich w praktyce.

•

Ostatnie protesty w Kijowie zyskały miano „kartonowego Majdanu", bo protestujący wypisywali swoje hasła na kawałkach tektury.

Protesty antyrządowe nie są niczym nadzwyczajnym, ale ten wyróżnia się na tle innych: demonstranci nie domagali się dymisji rządu czy szefa jakiegoś resortu, a wręcz przeciwnie – wyszli na ulice w proteście przeciwko odwołaniu młodego i popularnego ministra obrony Mychajło Fedorowa.

Fedorow, któremu zasłużenie przypisuje się zasługi w cyfryzacji kraju – to dzięki niemu powstała aplikacja Diia, odpowiednik polskiego mObywatela, tylko dużo bardziej zaawansowany – popadł w konflikt z szefem sztabu generałem Ołeksandrem Syrskim. Zderzyły się dwie wizje wojennej strategii – nowoczesna, oparta na najnowszych technologiach, minimalizująca straty w ludziach Fedorowa i tradycyjna, a nawet trochę postsowiecka „mięsnych szturmów" Syrskiego, która przyniosła mu mało pochlebny przydomek „Rzeźnik".

Prezydent Zełenski odwołał ministra obrony – a kilka dni później również szefa sztabu. Opinia publiczna domagała się powrotu Fedorowa, prezydent zaoferował mu inne stanowisko rządowe, którego ten jednak nie przyjął.

To już drugi raz w ciągu roku, kiedy obywatelski sprzeciw skłonił prezydenta Ukrainy do zmiany zdania. W lipcu 2025 ludzie zaprotestowali przeciwko zmianom prawnym podporządkowującym rządowi instytucje powołane do walki z korupcją – specjalnego prokuratora i NABU, Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy, służbę dochodzeniową wzorowaną na polskim CBA. Protestowała też Komisja Europejska, wskazując na fakt, że niezależność instytucji antykorupcyjnych jest wymogiem tak zwanego klastra praw podstawowych. Według obowiązującej metodologii negocjacje akcesyjne rozpoczynają się właśnie od kwestii związanych z praworządnością i można je zakończyć dopiero wtedy, gdy Komisja dojdzie do wniosku, że nie budzą już one żadnych wątpliwości.

Zełenski wycofał się, ale społeczeństwo obywatelskie nadal patrzy rządowi na ręce. Jest aktywne i dobrze zorganizowane, tradycje samoorganizacji społecznej sięgają w Ukrainie czasów kozaczyzny. Liderzy tacy jak Serhij Prytuła, prezes fundacji własnego imienia kupującej sprzęt dla ukraińskiej armii czy laureatka pokojowej nagrody Nobla Ołeksandra Matwijczuk z Centrum Wolności Obywatelskich, cieszą się dużym zaufaniem i poparciem. Siła instytucji publicznych i organizacji pozarządowych była kluczowym czynnikiem przetrwania ukraińskiej państwowości w pierwszych miesiącach rosyjskiej agresji.

To kolejny dowód na prawdziwość tezy Jeana Monneta, jednego z ojców założycieli UE, że nic nie jest możliwe bez ludzi, ale nic nie trwa bez instytucji.

Okrzepła też ukraińska tożsamość, to z punktu widzenia Putina chyba najbardziej niepożądany skutek uboczny „operacji specjalnej".

•

Po pomniku carycy Katarzyny w centrum Odessy został tylko osłonięty workami z piaskiem cokół, na którym zatknięta jest ukraińska flaga. Usuwanie śladów rosyjskiej dominacji Ukraińcy nazywają „nacjonalizacją".

Jestem na spotkaniu z gubernatorem Olehem Kiperem. Rozmawiamy o sytuacji humanitarnej, odbudowie zniszczonych budynków, przygotowaniach do kolejnej zimy. Pod koniec rozmowy mówię, że chcę się wybrać pod pomnik Izaaka Babla, którego jestem wielkim miłośnikiem. „Już go tam chyba nie ma, znacjonalizowany" skrzywił się gubernator, najwyraźniej moje literackie gusta nie zrobiły na nim wrażenia.

Wracając do zabytkowego hotelu Bristol, na który parę miesięcy później spadła rosyjska rakieta, przechodzę koło pomnika Babla. Siedział rozparty w brązowym fotelu, jak gdyby nigdy nic i ironicznie spoglądał na świat zza okrągłych okularów. Jedni bohaterowie strącani są z pomników, inni zajmują ich miejsce. Ten urbanistyczny aspekt polityki historycznej budzi emocje nie tylko w Ukrainie.

Stoję na peronie kijowskiego dworca, nocny pociąg z Przemyśla przywiózł właśnie delegację z Brukseli. Rozmawiam z Matti Maasikasem, ówczesnym ambasadorem UE, Estończykiem. Jesteśmy prawie rówieśnikami, łączy nas doświadczenie dorastania po złej stronie żelazna kurtyny, tyle że w przypadku Mattiego pogłębione dwuletnią służbą w Armii Czerwonej na Syberii.

Poczucie humoru też mamy podobne, więc opowiadam po rosyjsku stary kawał o Stirlitzu, radzieckim odpowiedniku Hansa Klossa, ten o tym, jak Stirlitz w samo południe przeczołguje się przez Alexanderplatz w Berlinie, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Podchodzi do nas wicepremier Olha Stefaniszyna, pochodząca z Odessy, rosyjskojęzyczna, do niedawna ambasador Ukrainy w Waszyngtonie. *„We are in Ukraine, we don't speak Russian here"*, zwraca nam uwagę grzecznie, ale stanowczo. Kurtyna.

P.S. Mam ukraiński Order Zasługi III klasy, zasłużony bądź nie, ale taki sam dostali Bono i The Edge za koncert w kijowskim metrze w maju 2022 r. Dobra liga. Nie odeślę.

• Tekst wyraża osobiste poglądy autora. Powstał w oparciu o dziesiątki spotkań i rozmów w trakcie 6 wizyt w Ukrainie od początku rosyjskiej agresji.



• **Pożegnanie na dworcu głównym w Odessie. Ewakuacja kobiet i dzieci po rosyjskiej agresji na Ukrainę, 6 marca 2022 r.**

FOT. BULENT KILIC/AFP/EAST NEWS

Pomagamy, tylko się nie chwalimy

12 tys.
• generatorów przekazała Ukrainie od początku wojny Unia Europejska

70 strażaków
• z Ukrainy walczyło latem z pożarami lasów pod Bordeaux we Francji

45 tys. ton soli
• niezbędnej zimą w ukraińskich warunkach drogowych, podarował Ukrainie rząd Holandii

5 tys. pacjentów
• wojskowych i cywilów – których z różnych przyczyn nie można leczyć w Ukrainie, już przewinęło się przez unijne centrum ewakuacji medycznej w Jasionce

2 mln weteranów
• może być w Ukrainie – wojna z Rosją trwa od 2014 roku

10 mln euro
• wyłożyła Komisja Europejska na program, który ma ułatwiać weteranom powrót do cywilnego życia

2 tys. oddziałów
• ochotniczej straży pożarnej mają sformować weterani korzystając z pomocy instytucji unijnych

130 ton sieci
• skonfiskowanych podczas nielegalnych połowów lub podarowanych przez europejskich rybaków – przekazali Ukraińcom Włosi, Francuzi i Finowie. Służą one do zabezpieczania dróg czy stacji kolejowych przed rosyjskimi dronami

eprasa.pl 7e1750f966



• Alek Korab, autor książki „Chory (k)raj. Jak naprawdę żyje się w Ameryce”, mieszka z rodziną na Brooklynie w Nowym Jorku. W listopadzie 2024 r. otrzymał amerykańskie obywatelstwo

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

MACIERZYŃSKI DLA PSÓW, NIE DLA AMERYKANEK

Czy utrzymam się tutaj na starość? Nie wiem. Czy przyjechałbym tutaj za pracą i karierą jeszcze raz? Tak

Z **ALEKIEM KORABEM***, DZIENNIKARZEM I PRZEDSIĘBIORCĄ MEDIALNYM, ROZMAWIA **RADOSŁAW KORZYCKI**

Jesteś imigrantem chyba nietypowym – przyjechałeś do Stanów po trzydziestce, zrobiłeś tam karierę, zostałeś obywatelem. Gdybyś dzisiaj miał tyle lat, co wtedy, jeszcze raz wybrałbyś Amerykę?

– Od pewnego czasu w rozmowach z innymi Amerykanami imigrantami – krewnymi, przyjaciółmi, ludźmi, z którymi współpracuję zawodowo – zadajemy sobie kilka pytań, z których wzięła się moja książka. Czy możemy sobie w Ameryce pozwolić na jeden nieszczęśliwy wypadek? Czy jeden rachunek medyczny, jeden pobyt w szpitalu, którego nie obejmie ubezpieczenie, może nas zbankrutować? Czy utrzymamy się tutaj na starość?

Czy jeszcze raz bym pojechał? Tak. Całe życie podejmowałem ryzyko. Ale przyjechałem w uprzywilejowanej sytuacji. Miałem podpisany kontrakt, dobrą pracę i ubezpieczenie zdrowotne. Pracowałem po 14 godzin dziennie, 6 dni w tygodniu, ale nie zaczynałem od zera. No i jestem biały. To też nie przeszkadzało.

Dzisiaj znacznie trudniej byłoby mi przejść tę samą drogę: dostać zieloną kartę, obywatelstwo, zrobić podobną karierę.

Zaczynasz książkę od dwóch rodzin niemieckich imigrantów: Heinzów i Trumpów. Obie wykorzystują możliwości, które daje Ameryka, obie budują fortuny. Wyrastają z nich jednak zupełnie różne opowieści o państwie, imigracji i odpowiedzialności wobec innych. Co zobaczyłeś w tych dwóch rodzinach? Dwie wersje amerykańskiego snu?

– Bardzo dobrze pokazują schematy Ameryki. Obaj przypływają bez grosza przy duszy i zaczynają budować dynastie i fortuny.

Syn Heinza jest kapitalistą, i to bardzo twardym. Wprowadza na rynek najpopularniejszy keczup na świecie i potrafi wpływać na prawo w taki sposób, żeby wycinać konkurencję. A jednocześnie, choć nie jest socjalistą ani przeciwnikiem kapitalizmu, bardzo dobrze traktuje pracowników, funduje im bezpłatne stołówki, basen i opiekę medyczną.

Drugi przykład to rodzina Trumpów. Dziadek Donalda przyjeżdża do Ameryki, robi pieniądze podczas gorączki złota, wraca do Niemiec, a później nie może tam zostać z powodu unikania służby wojskowej. Ameryka przyjmuje go ponownie. Jest w tym oczywista ironia: nie wiem, czy jego wnuk przyjąłby dzisiaj własnego dziadka. W każdym razie jego syn i wnuk uchodzili za fatalnych pracodawców, jeszcze gorszych partnerów biznesowych, z zasady niepłacących podwykonawcom i naciągających publiczną kiesę.

Ameryka dała obu rodzinom drabinę, po której mogły się wspinać: pierwsze pokolenie, drugie, trzecie. Ale później pojawia się mechanizm wciągania tej drabiny na górę, żeby następnym było już trudniej. Rozbierania maszyny, która wcześniej pomogła tobie samemu osiągnąć sukces.

Kiedy idę do lekarza, nie wiem, czy zapłacę 50 dolarów, czy kilkaset, czy kilka tysięcy. Dzwonię do recepcji i pytam, czy lekarz przyjmuje moje ubezpieczenie. Recepcjonista czasem wie, czasem nie

Przez lata dotyczyło to również Polaków. Polscy imigranci korzystali z tego, że byli postrzegani jako biali. Można było mówić z akcentem, czasem nie mieć papierów, a jednak pozostawać dla aparatu państwa mniej widocznym niż Meksykanin czy Haitańczyk. Dzisiaj słyszymy o Polakach zatrzymywanych przez ICE. Czy Polonia jest dobrym przykładem tego, jak zmienia się amerykańska obietnica?

– Bardzo dobrym. Mieszkam niedaleko Greenpointu. Wielu Polaków przyjeżdżało tam bez wielkiego kapitału, czasem bez uregulowanego statusu, a jednak byli w stanie pracować, oszczędzać, w końcu kupić dom. Polsko-Słowiańska Federalna Unia Kredytowa dawała im kredyty. Ten dom przecież nie wyjedzie ze Stanów. Pieniądze tu zostawały. Ci ludzie nawet bez uregulowanego statusu płacili podatki, robili prawa jazdy, funkcjonowali w gospodarce. Ameryka rozumiała, że w ten sposób buduje swoją klasę średnią.

Oczywiście nie wszystkim się udawało, niektórzy wracali do Polski w trumnach. Nie-

eprasa.pl 7e1750f966

mniej imigranci z Podkarpacia czy Podlasia, którzy wcześniej nie widzieli dużego miasta w Polsce, po kilkunastu-kilkudziesięciu latach na Brooklynie mogli pozwolić sobie na kupno kamienicy. Za 60 tys. dol. rozpadającej się, w dzielnicy zamieszkanej głównie przez emigrantów – ale jednak.

Dziś ta dzielnica jest zgentryfikowana, a te budynki chodzą od 3 mln dol.

A potem sami zaczęli wciągać drabinę?
– Kiedy człowiek już wejdzie wyżej, zaczyna inaczej patrzeć na tych, którzy dopiero próbują. Wielu Polonusów i Latynosów głosowało na Trumpa obiecującego zastopowanie nielegalnej imigracji z tego właśnie powodu.

Jedna z najbardziej kafkowskich historii w książce dotyczy twojej znajomej, która wygrywa nowojorską loterię mieszkaniową, po czym okazuje się, że jest za biedna na tanie mieszkanie. Musi dostać podwyżkę, żeby się zakwalifikować. Do jakiego poziomu absurdu doszedł dzisiaj kryzys kosztów życia w Ameryce?
– Ludzie nie mają pieniędzy na zmianę mieszkania, na paliwo, czasem nawet na zwykłe zakupy – więc przez cały czas się zadłużają. Nie mówię nawet o prawdziwej katastrofie w rodzaju niespodziewanego rachunku ze szpitala. Mówię o normalnym życiu na kartę kredytową. To powoduje ogromną frustrację i jest bardzo stresujące.

W Stanach mamy dziś gospodarkę w kształcie litery K. Patrzysz na giełdę i wszystko wygląda wspaniale, indeksy biją rekordy. To ta górna ukośna kreska litery K, która dotyczy 5 procent. Dolna to 95 procent Amerykanów, którzy zgadzają się co do tego, że życie jest za drogie. Pionowej kreski oznaczającej awans już nie ma. Sondaże pokazują, że 19 na 20 Amerykanów nie stać na życie w Ameryce!

W Nowym Jorku szczególnie dobrze widać to po mieszkaniach. Mediana czynszu na Manhattanie to już ponad 5 tysięcy dolarów miesięcznie, na Brooklynie, gdzie mieszkam, niewiele mniej. Trzeba zarabiać blisko 200 tysięcy dolarów brutto rocznie – około 66 tysięcy złotych brutto miesięcznie!, 2,5 razy więcej niż przeciętny nowojorczyk – żeby właściciel w ogóle chciał z tobą podpisać umowę. Mówię o przeciętnym mieszkaniu, nie żadnym penthousie. Przeciętnego Amerykanina nie stać na wynajęcie przeciętnego mieszkania.

Niech zgadnę, problem z mieszkaniami zaczyna ograniczać słynną mobilność, która pozwalała Amerykanom radzić sobie z kryzysami indywidualnie, bez wsparcia państwa, bo zaczynali od nowa gdzieś, gdzie sprawy mają się lepiej?
– Tak. Ludzie często nie przyjmują nowej pracy, bo musieliby się przeprowadzić. Nie sprzedają domów kupionych wcześniej na tani kredyt, choć na drugim krańcu kraju zarobiliby połowę więcej, bo kolejny byłby znacznie droższy. Rynek się blokuje.

I stąd bierze się polityczny sukces hasła *affordability*. „Przystępność" to nie jest abstrakcyjny wskaźnik ekonomiczny. Ludzie czują to codziennie i są wściekli. Ten gniew będzie widać w wyborach.

J.D. Vance, który sam wyszedł z prowincjonalnych „bidoków", właśnie został ojcem czwartego dziecka i namawia Amerykanów, żeby mieli ich więcej. Jak wygląda urodzenie i wychowanie dziecka dla przeciętnej amerykańskiej rodziny?
– Ale dziś J.D. Vance jest milionerem. Pracował w branży technologicznej, napisał bestseller. Jego stać na czworo dzieci. Przeciętnego Amerykanina nie. Szczególnie w dużych miastach. I tutaj dobrze widać oderwanie polityków od codziennej rzeczywistości. Nie tylko republikańskich.

Jeżeli politykowi rzeczywiście zależy na większej liczbie dzieci, pierwszym pytaniem powinno być: co robimy, żeby rodzina mogła sobie na nie pozwolić? Stany Zjednoczone nadal nie gwarantują na poziomie federalnym płatnego urlopu rodzicielskiego – dla matek, o ojcach już nie wspominając.

Pracowałem z kobietami, które wracały do redakcji dwa tygodnie po porodzie. Opisuję kobietę, która po trzech tygodniach po urodzeniu dziecka wróciła do fabryki i odciągała mleko w samochodzie. Nigdy go nie widzi, bo wstaje rano do pracy i wraca do domu, kiedy ono śpi. Jej dziecko nie mówi na nią „mama". Owszem, w 30 stanach jest zakaz oddzielania dziecka od matki, zanim nie skończy 8 tygodni. Ale ten przepis odnosi się do potomstwa... psów.

Czyli państwo mówi: rodźcie dzieci dla Ameryki, ale później radźcie sobie sami?
– Owszem. Jeśli politykom – nie tylko republikańskim, jak Vance, bo Demokraci też się martwią demografią – naprawdę zależy na dzietności, powinni zacząć od podstawowych spraw, jak płatny urlop macierzyński. Ale to się nie stanie, bo to przecież „socjalizm".

Jeszcze niedawno jednym z fundamentów amerykańskiego snu był własny dom. Dzisiaj pierwszy dom kupuje się mniej więcej koło czterdziestki, coraz częściej z pomocą rodziców. Amerykański sen zaczyna być dziedziczny?
– Własność była podstawą budowy amerykańskiej klasy średniej – a Ameryka robiła to za pomocą państwa. Franklin Delano Roosevelt swoim Nowym Ładem stworzył mechanizmy, dzięki którym kolejne pokolenia rzeczywiście mogły żyć lepiej od poprzednich. W dużym uproszczeniu właśnie tak definiowano amerykański sen: twoje dzieci będą miały lepiej niż ty.

Człowiek urodzony w latach 40. miał 90-procentowe prawdopodobieństwo, że będzie żył lepiej niż rodzice – będzie miał lepszy dom i większy majątek. W przypadku ludzi urodzonych około 1980 roku ta szansa spadła mniej do połowy, czyli do rzutu monetą. Pokolenie Z ma jeszcze gorzej. Młodzi zaczynają życie z wielkim kredytem studenckim, nie stać ich na dom. Coraz częściej do zrealizowania amerykańskiego snu potrzebują pieniędzy rodziców. Ale ci rodzice często pieniędzy już nie mają, bo koszty życia poszły do góry, emerytury w dół. Wtedy mobilność społeczna zaczyna zależeć od tego, w jakiej rodzinie się urodziłeś.

I pojawia się paradoks: młodzi Amerykanie zaczynają szukać amerykańskiego snu poza Ameryką?
– Nasza córka niedawno wybierała college na studia. Bardzo poważnie zastanawiała się, czy nie ma większego sensu wyjechać z Ameryki. Jej znajomi wybierają Irlandię, Czechy, inne kraje. Córka mojej kuzynki z Chicago studiuje w Chinach.

Dla mojego pokolenia Ameryka była miejscem, do którego jechało się po lepszą przyszłość. Dzisiaj część amerykańskich dzieci zastanawia się, czy po lepszą przyszłość nie trzeba z niej wyjechać.

To czemu Amerykanie tak znielubili Joego Bidena? Odchodził z Białego Domu z bardzo złym wizerunkiem, choć to jego administracja jako pierwsza po dekadach deregulacji lub bezradności próbowała obniżać koszty leków, pomagać zadłużonym studentom, inwestować publiczne pieniądze, rozkręcać przemysł.
– Są dwie wersje Bidena. Jego administracja robiła sporo dobrych rzeczy. Byli w niej młodzi ludzie, powstawały sensowne programy społeczno-gospodarcze, próbowano ulżyć ludziom w niektórych kosztach. Ale twarzą tego rządu był Biden, który nie potrafił tych osiągnięć sprzedać. Ludzie widzieli starszego człowieka, modelowego przedstawiciela waszyngtońskiej elity, przedstawiciela oderwanego od życia establishmentu, od zawsze polityka z zawodu.

Czyli problemem nie był brak osiągnięć, ale to, że Amerykanie o nich nie wiedzieli?
– Trump jest pod tym względem geniuszem marketingu. Teraz wskutek wojny z Iranem ta jego supermoc słabnie, ale przez długi czas świetnie wyczuwał opinię publiczną.

W Ameryce wszystko trzeba sprzedać. Nie wystarczy coś zrobić. Najlepszy pomysł, najbardziej przemyślany produkt, autentyczne, potrzebne osiągnięcie trzeba jeszcze sprzedać. Biden tego nie potrafił.

W twojej opowieści pojawia się Luigi Mangione. Po zabójstwie szefa firmy ubezpieczeniowej UnitedHealthcare Briana Thompsona zamiast współczucia dla ofiary pojawiły się memy, żarty, tysiące historii o ubezpieczycielach, nawet sympatia dla zabójcy. Co trzeba zrobić społeczeństwu, żeby doprowadzić do takiej reakcji?
– Ta historia pokazuje skalę wściekłości Amerykanów na sytuację, w której się znaleźli.

Kiedy idę do lekarza, nie wiem, czy zapłacę 50 dolarów, czy kilkaset, czy kilka tysięcy. Dzwonię do recepcji i pytam, czy lekarz przyjmuje moje ubezpieczenie. Recepcjonista czasem wie, czasem nie. Może mi powiedzieć, że wszystko jest w porządku, a kilka tygodni później dostaję rachunek i zaczynam się z nimi szarpać.

Ludzie bankrutują z powodu długów medycznych. I bardzo często to nie są osoby pozbawione ubezpieczenia, ale z klasy średniej, którzy co miesiąc płacą składki za polisę. Ja na przykład płacę ponad 1500 dolarów miesięcznie – a i tak moja polisa daje mi pewną ochronę, ale dopiero po tym, jak wydam 7 tysięcy dolarów rocznie na koszty medyczne. Potem łaskawie zaczyna działać ubezpieczenie. Ale nie do końca, bo wciąż płacę pewien procent od rachunków za leczenie. I jeżeli z rachunku na 100 tysięcy dolarów za wizytę w szpitalu – przy czym mówimy o szybkim rutynowym zabiegu, nie o jakieś nowatorskiej niszowej terapii – zostanie mi do zapłacenia 20 procent, to nadal jest 20 tysięcy.

Wielu Amerykanów żyje od wypłaty do wypłaty. Dla ogromnej liczby ludzi te 20 tysięcy to więcej niż ich całe wieloletnie rodzinne oszczędności.

I dlatego ludzie boją się już samego kontaktu z medycyną? Albo szukają terapii alternatywnych.
– 9 na 10 Amerykanów odkładają wizyty u lekarza z powodów finansowych. Znam osoby, które podejrzewając zawał, próbowały jechać do szpitala taksówką, bo bały się rachunku za karetkę.

Jeden z twoich bohaterów, Zachary Schulz, ląduje nieprzytomny w szpitalu i później pokazuje studentom swój niebotyczny rachunek.
– Smaczek polega na tym, że jest historykiem zdrowia publicznego. Zna ten system zawodowo. Uczy ochronie zdrowia w USA, a potem sam trafia do szpitala jako nieprzytomny pacjent. I się zaczyna. Nie może wybrać anestezjologa. Nie może sprawdzić, czy lekarz jest w sieci jego ubezpieczyciela. Nie może zdecydować o transporcie. Decyzje podejmują inni. Dostaje rachunek na ponad 300 tysięcy dolarów. Pokazuje go studentom i rozbierają go punkt po punkcie: ile kosztowała każda rzecz, skąd wzięła się cena, jak powinien działać rynek i dlaczego w tym przypadku właściwie żadnego rynku nie ma.

Jeżeli leżysz nieprzytomny na stole operacyjnym, nie możesz sprawdzić, czy anestezjolog jest w sieci twojej firmy ubezpieczeniowej.

A jednocześnie nie twierdzisz przecież, że amerykańska medycyna jest zła.
– Ameryka ma część najlepszych lekarzy i szpitali na świecie. Problemem nie jest brak kompetencji medycznych. Problemem jest sposób finansowania i ubezpieczeń, zbudowany przede wszystkim tak, żeby chronić interesy firm ubezpieczeniowych, a nie pacjenta.

Rozmawiałem również z lekarzami. Oni też są pod ogromną presją ubezpieczycieli i pracodawców, którzy w pogoni za zyskami dokładają im biurokratycznych formalności i ograniczają czas z pacjentem. Tyle że pacjent widzi rachunek od lekarza, który spędził z nim 30 sekund, więc jest wściekły na lekarza.

Cała konstrukcja jest celowo bardzo skomplikowana, żeby pacjentom trudno było się w niej poruszać i metodycznie rok po roku pozbawia kolejnych praw zarówno pacjentów i lekarzy. Podczas procesu Mangione opowiedział, jak przez wiele lat bezskutecznie walczył z biurokracją ubezpieczeń zdrowotnych, po urazie kręgosłupa nieustannie odbijając się od ściany. Ale kiedy wysłał e-mail do UnitedHealthcare, podszywając się pod inwestora z 50 miliardami dolarów do wydania, otrzymał odpowiedź w ciągu godziny.

Każdy, kto próbował cokolwiek załatwić w Stanach z firmą ubezpieczeniową, rozumie bezsilność pacjenta w porównaniu z systemem. To dlatego wielu Amerykanów traktuje Mangione niczym bohatera narodowego.

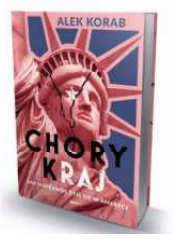
Trzymasz kciuki za Abdula El-Sayeda, epidemiologa i okrzykniętego nadzieją Demokratów kandydata do Senatu z Michigan, który mówi o Medicare for All. A jednocześnie wyraźnie dystansujesz się od amerykańskiej młodej lewicy zapatrzonej w socjalizm.
– Ja się wychowałem w komunistycznej Polsce. Dziękuję, nie wracam. Ale dopłaty do ubezpieczeń zdrowotnych to prosta rzecz, dzięki której miliony rodzin przestałyby żyć w strachu. Zwyczajnie zdroworozsądkowa: ludzie mieliby mniej stresu, byliby zdrowsi, państwo, pracodawcy, biznes też by na tym skorzystali. Są rzeczy, na których nie wolno zarabiać bez ograniczeń – zdrowie obywateli jest pierwszą z nich. A tak się składa, że akurat jedynymi politykami mówiącymi to głośno są amerykańscy socjaliści, jak El-Sayed czy Zohran Mamdani.

Wierzysz, że coś takiego może przejść przez Kongres?
– Nie przez najbliższe dwadzieścia lat.

Amerykanie potrafią się zgodzić, że ochrona zdrowia powinna być tańsza i dostępniejsza. Problem zaczyna się, kiedy pytasz, czy ktoś inny też ma ją dostać. W debacie natychmiast pojawiają się imigranci, czarni, bezrobotni, osoby transpłciowe: „ktoś będzie korzystał z naszych pieniędzy!". Obywatelom to wmówiono, a tymczasem ogromne pieniądze

*Alek Korab

• Przedsiębiorca medialny, dziennikarz, redaktor. Urodził się w Rzeszowie. Współtworzył polski dziennik „Metropol", był redaktorem naczelnym „Metra" – jednej z największych gazet codziennych w USA. Kierował jej redakcjami w Nowym Jorku, Bostonie i Filadelfii. Prowadził lub uruchamiał projekty medialne w 14 krajach (m.in. w Hiszpanii, Szwecji, Czechach, Francji, Brazylii, Chile), współpracując z Lady Gagą, Richardem Bransonem i Karlem Lagerfeldem. Mieszka na Brooklynie w Nowym Jorku z partnerką Magdą, córką Stefanią i suczką Prymuską. W listopadzie 2024 r. po otrzymaniu amerykańskiego obywatelstwa wraz z Magdą po raz pierwszy brali udział w wyborach prezydenckich.



• Nakładem Wydawnictwa Znak Literanova właśnie ukazała się jego książka **„Chory (k)raj. Jak naprawdę żyje się w Ameryce".** Dostępna w księgarniach i na stronie wydawnictwa oraz jako audiobook na Publio.pl.

eprasa.pl 7e1750f966

płyną do akcjonariuszy firm ubezpieczeniowych i na bonusy ich kierownictwa.

Mamy kobiety wracające do pracy kilka tygodni po porodzie, mamy twoje własne lata pracy po kilkanaście godzin dziennie. Czy to tylko chory, nieludzki system, czy również w jakimś stopniu protestancki etos? Amerykanie nadal wierzą, że ciężka praca musi się skończyć sukcesem?
– Przez pokolenia wpajano im, że jedno gwarantuje drugie. Ciężko pracujesz, fortuna w końcu ci sprzyja. Jeśli nie zostajesz milionerem, to chociaż masz dom, dwa samochody, dzieci. A jeśli nie osiągasz amerykańskiego snu, to wyłącznie twoja wina, bo nie pracowałeś wystarczająco ciężko.

Ta wiara jest bardzo ważna, bo dzięki niej ludzie zgadzają się pracować naprawdę dużo. Nie domagają się nawet części rzeczy, które w Europie uważa się za oczywiste. Płatny urlop wypoczynkowy nie jest zagwarantowany, dostajesz go z łaski od pracodawcy i zaledwie 10 dni w roku. Dzisiaj coraz więcej ludzi przestaje wierzyć, że ciężka praca wystarczy. Widzą, że gra jest ustawiona na ich niekorzyść.

Dlatego wyborcy co kilka lat próbują wszystkiego od nowa? Obama, Trump, Biden, znowu Trump?
– Tak. Za każdym razem próbują przewrócić stolik, bo liczą, że tym razem coś się zmieni.

W Europie dużo łatwiej mówi się o klasach społecznych. W Wielkiej Brytanii ktoś może z dumą powiedzieć, że pochodzi z rodziny robotniczej. W Stanach prawie każdy przedstawia się jako klasa średnia albo jako ktoś, kto właśnie zmierza do bogactwa. Może ta wiara, że kiedyś będę bogaty, że akurat mi się uda, blokowała przez lata świadomość klasową, a więc i wspólne działania?
– Niewykluczone. I ta wiara jest bardzo głęboka. Amerykanie oceniają siebie nawzajem pod względem zasobności. Osoby zamożne są tutaj zawsze dobrze traktowane, niezależnie, jak te pieniądze zarobiły. To spadek po protestanckich osadnikach. Katolicki Bóg, jeśli da bogatemu przejść do raju, to co najwyżej przez ucho igielne. Protestancki nagradza ciężko pracujących bogactwem. Dlatego ktoś, kto pracuje na dwie zmiany i nie stać go na ubezpieczenie zdrowotne, zgadza się na obniżanie podatków najbogatszym, bo w głowie ma myśl: pracuję ciężko, więc ja też kiedyś będę jednym z nich. Nadal gra na tej loterii.

W Stanach podziały etniczne bywają silniejsze od klasowych – ale one też potrafią znikać wraz z awansem. Polak przylatuje do Stanów, osiedla się w Queens, dorabia się i przenosi do Connecticut czy na Florydę. Nagle przestaje być przede wszystkim polskim imigrantem. Staje się zamożnym Amerykaninem.

Kolejny bohater książki, Jackie Summers, to właściwie skondensowany amerykański mit: rak, odejście z korporacji, własny biznes, sukces, huragan, sto godzin pracy tygodniowo, załamanie, bezdomność i kolejny powrót. Bardzo łatwo zrobić z niego reklamę amerykańskiej „drugiej szansy". Ty zachowujesz dystans.
– Bo ta historia nie kończy się jednym pięknym powrotem. Życie Jackiego przypomina rollercoaster – dostaje pierwszą szansę, później drugą, następną i jeszcze jedną. Musi zaczynać raz za razem.

Ale jest w tym też coś, co bardzo w Ameryce lubię. Te szanse rzeczywiście wracają. Jeżeli raz zbankrutujesz, to nie znaczy automatycznie, że nikt już nigdy nie będzie chciał z tobą rozmawiać ani dać ci pracy czy zainwestować pieniędzy.

Czyli tutaj jednak Ameryka wygrywa z Europą?

Nasza córka niedawno wybierała college. Bardzo poważnie zastanawiała się, czy nie wyjechać z Ameryki. Jej znajomi wybierają Irlandię, Czechy, córka mojej kuzynki z Chicago studiuje w Chinach

– W Europie porażka potrafi człowieka naznaczyć. Zbankrutowałeś, wyrzucili cię z pracy, coś ci nie wyszło i ludzie zaczynają trzymać się od ciebie z daleka. Amerykanin znacznie częściej zapyta: co poszło źle? Czego się nauczyłeś? Czego ja mogę nauczyć się od ciebie? jedna z rzeczy w amerykańskiej kulturze, które naprawdę uważam za dobre.

Rozumiem, dlaczego biedni ludzie, którzy sami bardzo niewiele dostali od państwa, głosują na bogatych ludzi, którzy chcą obniżyć podatki jeszcze bogatszym ludziom. Ale dlaczego działa na nich hasło odbierania „nienależnych przywilejów" innym biednym ludziom? Raczej powinni się z nimi skrzyknąć przeciwko odbierającym.
– Bo żyjemy w ekonomii gniewu, a w niej potrzebny jest wróg. Trump jest genialny w jego dostarczaniu. Nie dostałeś pracy? To przez DEI, te wszystkie równościowe akcje afirmatywne. Twoje dziecko nie dostało się na dobrą uczelnię? Ktoś „wskoczył przed nie w kolejkę". Wszystkie twoje porażki można wyjaśnić tym, że coś dostał ktoś inny.

To jest bardzo skuteczne politycznie, szczególnie kiedy media również zarabiają na gniewie i są zainteresowane w podgrzewaniu tych tematów. Im bardziej ludzie są wściekli, tym więcej oglądają, klikają, komentują.

Twoja opowieść ma leitmotiv – rozbieranie państwa na części. Nie w jednym wielkim zamachu, ale małymi decyzjami: deregulacją, cięciem nadzoru, oddawaniem kolejnych obszarów biznesowi.
– Paradoks polega na tym, że Ameryka zbudowała ogromną część swojego bogactwa dzięki programom państwowym wprowadzanym od czasów Nowego Ładu. FDR, jak mówiono na Roosevelta, swoje najlepsze pomysły podebrał amerykańskim socjalistom. Ale mniej więcej od Reagana zaczyna się powolne rozmontowywanie regulacji. Najpierw po cichu: tu się przytnie liczbę inspektorów, tam wprowadzi ustawę napisaną przez monopolistę regulującą jego branżę. Trump tylko wcisnął pedał gazu.

Wielki biznes oczywiście nie lubi regulacji. Ma 15 tysięcy zarejestrowanych organizacji lobbingowych w Waszyngtonie, które w 2025 roku wydały na to rekordowe 5,3 miliarda dolarów – najwięcej, odkąd w ogóle prowadzi się takie statystyki.

Ostatnio mieliśmy bardzo przyziemny przykład, czym to się kończy: skażoną sałatę.
– Jeżeli państwo nie ma ludzi i pieniędzy, żeby skutecznie kontrolować na przykład bezpieczeństwo żywności, koszty oszczędności wracają do zwykłego człowieka. Biznes dostaje swobodę, akcjonariusze dostają zysk, prezesi premie. A konsument może dostać biegunki. To nie jest metafora. Tego lata 17 tysięcy Amerykanów zakaziło się pasożytem Cyclospora po zjedzeniu sałaty, która trafiła między innymi do sieci fast foodów Taco Bell i do sklepów Walmart.

Rok wcześniej Food and Drug Administration, czyli agencja żywności i leków, zwolniła prawie 4 tysiące ludzi. Centers for Disease Control and Prevention zajmujące się epidemiologią i prewencją chorób – 2500. Latem FDA musiała zawiesić część kontroli jakości żywności, bo nie miała kim ich robić.

Nikt nie podpisał ustawy „zatruwającej Amerykę". Podpisano dziesiątki mniejszych decyzji „uwalniających wielki biznes" – o budżetach, o etatach, o priorytetach. W efekcie tysiące Amerykanów ciężko zachorowało. Dwie osoby umarły. Sam zatrułem się niedawno salmonellą po zjedzeniu czerwonej cebuli w sałatce. Nie życzę tego nawet wrogom.

Powiedziałeś, że Trump jest pedałem gazu, a nie źródłem tych problemów. Co w takim razie stałoby się, gdyby jutro zniknął z amerykańskiej polityki? Da się wrócić do poprzednich reguł?
– Naprawdę nie wiem. Trump naruszył tak wiele norm i instytucji, że trudno przewidzieć, czy fundamenty się jeszcze trzymają.

Mam nadzieję, że Amerykanie w końcu zgodzą się na ich odbudowę. Tak bywało już wcześniej. Po Wielkim Kryzysie czy krachu finansowym w 2008 roku pojawiało się społeczne przyzwolenie, żeby naprawiać państwo.

Liczę na jakąś detrumpifikację. Ale równie możliwe, że zaszliśmy za daleko. Że te mechanizmy zostaną. Że jakiś oligarcha będzie w stanie wydać gigantyczne pieniądze na wybory w kilku stanach i mieć realny wpływ na to, kto kontroluje państwo.

Powiedziałeś „oligarcha". W naszej części świata to słowo ma dość konkretne skojarzenie. Czy Ameryka pod rządami Trumpa się rusyfikuje?
– Absolutnie. Wystarczy popatrzeć na drugą inaugurację Trumpa i tych wszystkich miliarderów z Doliny Krzemowej stojących w pierwszym rzędzie. To wyglądało jak koronacja. Potem każdy kłaniał się w pas i wręczył mu jakiś prezent – najczęściej ze złota. Jak bojar carowi. Oni zrozumieli, że Trump jest dla nich użyteczny. Jego administracja może dalej deregulować gospodarkę, przyznawać kontrakty i ograniczać kontrolę nad biznesem.

Przecież wielki biznes zawsze finansował politykę i zawsze w tych celach. Na czym polega różnica?
– Kiedyś wielcy przedsiębiorcy finansowali obie partie. Dawali pieniądze Demokratom i Republikanom, zabezpieczali się z obu stron. Dzisiaj to zaczyna przypominać oligarchię. Pieniądz nie służy wyłącznie temu, żeby wpływać na politykę. Zaczyna kupować bezpośredni dostęp do władzy.

Ale dlaczego wyborcy to tolerują?
– W Ameryce mamy CVS, mniej więcej odpowiednik polskiego Rossmanna. Wchodzisz dzisiaj do CVS na Manhattanie i bardzo wiele produktów jest zamkniętych za pleksi. Chcesz kupić zwykłą rzecz, musisz nacisnąć przycisk i czekać na pracownika, który przyjdzie z kluczem. Nie możesz spokojnie porównać produktów, zaczynasz się wściekać. Więc wychodzisz z CVS i zamawiasz to samo na Amazonie albo Ebayu. Sklepy zamykają towary, bo boją się kradzieży. A ludzie kradną, bo hurtownicy skupują to od nich i sprzedają to w internecie, czasami nawet na Amazonie. Powstaje absurdalne koło: stacjonarny sklep również za sprawą platform staje się coraz gorszym doświadczeniem, a platformy na tym zyskują.

Ale klient tego nie wie. Jemu media wmawiają, że to przez imigrantów, którzy rzekomo kradną. Dodatkowo część tej paniki wokół „epidemii kradzieży" napędza samo lobby biznesowe. Bo uzasadnia to zamknięcie sklepów, zwalnianie ludzi, podwyżkę cen.

W lecie byliśmy z rodziną w Kolbuszowej. Wchodzimy do Rossmanna, a tam wszystko stoi na półkach. Można spokojnie chodzić, porównywać, czytać etykiety, bez czekania na pracownika. Nawet półka z soczewkami kontaktowymi nie jest zamknięta, a soczewki dostępne bez recepty od okulisty. Okazuje się, że doświadczenie zakupów w Kolbuszowej jest przyjemniejsze, bardziej normalne i bardziej kapitalistyczne niż na Manhattanie.

Jest jeszcze coś, co z Europy wygląda szczególnie dziwnie: kapitulacja państwa wobec katastrof. Pożarów, powodzi, huraganów. Pokazujesz, że nawet bezpieczeństwo przed żywiołem zaczyna się prywatyzować. Że można sobie wynająć straż pożarną.
– Ameryka jest tak ogromna, że na jednym terytorium widzimy prawie pełną skalę zmian klimatycznych. Kalifornia płonie, Teksas ma susze, wielkie ulewy, powodzie i burze śnieżne, wybrzeża są atakowane przez huragany, i podnoszące się oceany.

Tyle że katastrofa naturalna bardzo szybko okazuje się również katastrofą ludzką. Lecz zamiast wzmacniać możliwość reagowania, część polityków chce ją osłabiać. FEMA, Federal Emergency Management Agency, bywa przedstawiana jak kolejny przejaw socjalizmu: dlaczego moje pieniądze mają pomagać komuś, kto stracił dom?

Czyli po raz kolejny wracamy do bardzo amerykańskiego pytania: dlaczego mam płacić za cudze nieszczęście?
– Spotkał cię huragan? Spalił ci się dom? Radź sobie. Ja nie chcę za to płacić. Znika pojęcie wspólnego ryzyka. Tego, że jeżeli dzisiaj pomoc dostaje człowiek na Florydzie po huraganie, jutro ja mogę jej potrzebować w Kalifornii po pożarze. ●

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 7e1750f966

„BÓG DAŁ CZŁOWIEKOWI ZIEMIĘ, A CHORWATOM MORZE”



Chorwacja jest położona niezwykle pięknie. Długie wybrzeże, mnóstwo wysp i bogactwo kultury antycznej robi oszałamiające wrażenie. Ale masowa turystyka odmienia kraj i jego mieszkańców.

Z **PROF. MACIEJEM CZERWIŃSKIM***, FILOLOGIEM SLAWISTĄ Z UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
ROZMAWIA **ALICJA DĄBROWSKA**

Jak się ma Dalmacja względem Chorwacji? Bo chyba nazbyt często utożsamiamy ten kraj jedynie z regionem nad Adriatykiem.
– Dalmacja to tylko część Chorwacji. Ale tę nazwę nadali Rzymianie, prawdopodobnie w I wieku n.e, tworząc jednostkę administracyjną. Dalmacja z owych czasów obejmowała również znaczącą część (o ile nie całą) obecnej Bośni i Hercegowiny, Czarnogóry, oraz Istrię. Zaś ta dzisiejsza zaczyna się w Zadarze i kończy nieco za Dubrownikiem, tworząc pas o szerokości do 50 km i długości ok. 400 km.

Z kolei termin „Chorwaci” pojawił się po raz pierwszy jako imię ludu w dokumentach z IX wieku, dotyczących jednego z ówczesnych książąt, Trpimira, określanego mianem księcia („Dux Chroatorum”). Zdaniem historyków wtedy zaczęła się powolna konsolidacja państwa i kształtowanie się etnosu chorwackiego.

Dziś patrzymy na Chorwację okiem turysty, z perspektywy obszaru nadmorskiego, dalmatyńskiego czy istryjskiego. A to kraj dużo bogatszy, tyle że pozostała jego część jest o mniej znana. Myślę o terenach północnych, równinnych, zielonych, z żyzną glebą, w starożytności zwanych Panonią (później użyto tej nazwy na określenie Kotliny Panońskiej). Ich mieszkańcy dość wcześnie zaczęli się stykać z ludnością węgierską i ziemie te przez wieki rozwijały się w ścisłym kontakcie ze środkowoeuropejskim modelem społecznym. W rezultacie wykształciła się tam inna kultura i obyczajowość.

Zarazem mamy do czynienia z fragmentem Bałkanów...
– To dość nowy termin na określenie półwyspu, pojawił się dopiero w XIX wieku. Obecnie, z rozmaitych powodów, ma na ogół złe konotacje, a w każdym razie w debacie publicznej bywa używany w negatywnym kontekście.

Zauważmy jednak, że obszar, który nazywamy teraz bałkańskim, znajduje się między Rzymem a Konstantynopolem. Jest głęboko zakorzeniony w tradycji antycznej, najpierw greckiej – choć objęła tylko pewne jego tereny graniczne, w tym chorwackie wyspy – a później rzymskiej i bizantyjskiej. Ale przed nimi była jeszcze iliryjska i inne, tyle że nie zostawiły po sobie wielu artefaktów. Pobudzają jednak wyobraźnię do dzisiaj.

W książce „Chorwacja. Dzieje, kultura, idee” napisał pan: „To jedyne miejsce, gdzie kultura słowiańska wchłonęła rodzimą tradycję romańską i antyczną, gdzie zetknęły się trzy wielkie ludy europejskie: romańskie, germańskie i słowiańskie i gdzie łacina była językiem urzędowym aż do połowy XIX w. Chorwacka kultura jest więc nadzwyczaj różnorodna. Wyrasta z trzech wielkich idiomów cywilizacyjnych: śródziemnomorskiego, środkowoeuropejskiego i bałkańskiego”.

Wkrótce w wydawnictwie Austeria ukaże się pańska proza – tym razem to fikcja literacka – „Dalmacja. Palimpsest”. Wydaje mi się, że słowo „palimpsest” (z greckiego: „ponownie zeskrobany”, starożytny lub średniowieczny rękopis pisany na pergaminie, z którego wytarto tekst pierwotny) doskonale pasuje do całej Chorwacji, której dzieje to niesamowity przekładaniec.
– Wszystko się tam nawarstwiało. W procesach asymilacji doszły do głosu niezwykle interesujące zjawiska. Niestety wiele śladów zniknęło bądź też zostały przejęte przez kolejnych przybyszy. Ostatecznie jednak to słowiańscy Chorwaci stali się depozytariuszami długowiecznej tradycji tego regionu. Dla nich antyk nie był tłem ani kulisami, jak można by sądzić dzisiaj – bywając tam turystycznie, oglądając Koloseum w Puli na półwyspie Istria, pałac cesarza Dioklecjana w Splicie czy rzymskie wille w pobliżu miasta Stari Grad na wyspie Hvar – lecz wielką sceną, na której tworzyli swoją historię.

▲ **Widok na otoczone murami stare miasto w Dubrowniku – chyba najsłynniejsze miasto Dalmacji oraz kolej linową na górze Srđ**

Polacy na świat antyczny siłą rzeczy patrzyli z dystansu, tymczasem kultura chorwacka, u podstaw słowiańska, weszła w kompleksowe procesy asymilacji z dawnymi ludami. I, co ciekawe, będąc na niższym poziomie cywilizacyjnym, o czym zaświadczają dokumenty pisarzy i cesarzy bizantyjskich, zdołała im narzucić swój język.

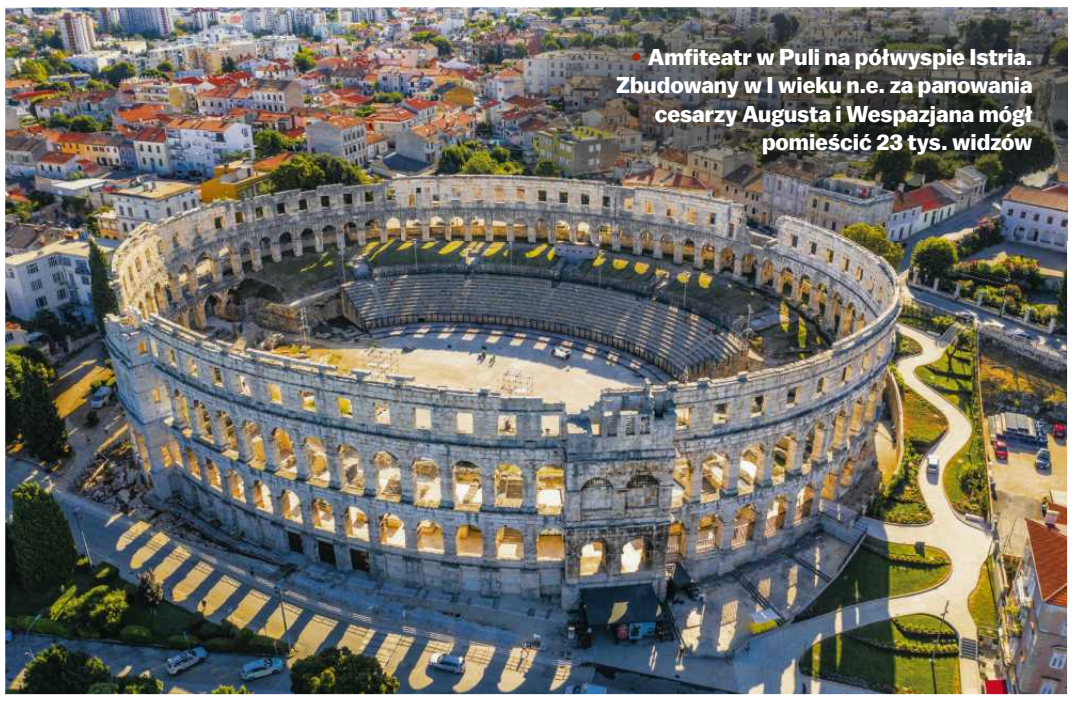
Zwróćmy uwagę na wyjątkowy kształt kraju: wąski półksiężyc wzdłuż Morza Adriatyckiego i, równolegle, mnóstwo wysp. Podobno jest ich ponad 1240, ale zaledwie ok. 50 zamieszkałych.
– Wschodnie wybrzeże Adriatyku jest spektakularne z uwagi na ukształtowanie terenu, linia brzegowa jest nad wyraz długa. Kiedyś stwierdziłem, że – gdyby uwzględnić wszystkie wyspy i zatoki – uzyskalibyśmy odległość jak z Nowego Jorku do Londynu.

Wedle obliczeń chorwackie wybrzeże ma prawie 6 tys. km, z czego blisko 4 tys. przypada właśnie na brzegi wysp.
– Ponadto zachowały się tam liczne zabytki, w niektórych miejscach wyglądają oszałamiająco. Oczywiście po drugiej stronie morza, we Włoszech, jest ich nawet więcej, ale być może to właśnie masa wysp i obecność w owym dziewiczym krajobrazie bogactwa antyku, wraz z całą infrastrukturą (proszę sobie wyobrazić, że w Chorwacji większość dróg, może poza autostradami, została wytyczona jeszcze przez Rzymian!), robi wielkie wrażenie.

Zachwyceni są nawet autorzy poważnych opracowań – nie mówiąc już o przewodnikach i blogach. Niekiedy wygląda to mocno cukierkowo, ale trudno nie przyznać im racji. Aleksandra Wojtaszek w reporterskiej książce „Fjaka. Sezon na Chorwację” napisała, że kraj „Ma w sobie pokłady skomasowanego piękna. Pierwszy zawrót głowy gwarantuje zwykle natura: równiny Slawonii i wyrastające wprost z morza szczyty Biokova, zalesiona wyspa Lastovo i kamienisty Pag, zlewające się błękity i soczyste zielenie, bezkresne plaże i przejrzyste jeziora...”.
– Chorwacja ma to szczęście, że jest wspaniale położona. Na tym małym skrawku ziemi [jest pięć i pół raza mniejsza od Polski] znajdziemy niemal każdy typ krajobrazu. Wystarczy przejechać kilkanaście czy kilkadziesiąt kilometrów, a ujrzymy inny pejzaż, spotkamy ludzi mówiących innymi dialektami, jedzących inne potrawy. Są nawet miejsca absolutnie nadzwyczajne, gdzie patrząc w jedną stronę, widzi się inną roślinność niż kiedy spojrzeć w drugą. Zdarzyło mi się obserwować to m.in. w miasteczku Beram w środkowej Istrii, które u schyłku lata przybrało w połowie kolory jesieni, a w połowie zostawało soczyście zielone. I można by to potraktować jako metaforę Chorwacji: niezwykła mozaika i bogactwo.

Ponadto kraj jest rzadko zaludniony [na 1 km kw. powierzchni przypada 68 osób, w Polsce 124], zatem dla eksploracji podróżniczych

eprasa.pl 7e1750f966



• Amfiteatr w Puli na półwyspie Istria. Zbudowany w I wieku n.e. za panowania cesarzy Augusta i Wespazjana mógł pomieścić 23 tys. widzów



• Komiža. Malownicze miasteczko rybackie na zachodnim wybrzeżu wyspy Vis. Stąd najłatwiej dostać się do Błękitnej Jaskini na wysepce Biševo

jest to z pewnością jeden z najwspanialszych regionów w Europie.

Adriatyk jest od zawsze mocno obecny w życiu, historii i literaturze. Pisarz Vladimir Nazor ujął to tak: „Bóg dał człowiekowi w posiadanie ziemię, a Chorwatom morze”.
– To jeden z najważniejszych chorwackich mitów: że są oni posiadaczami morza i odpowiadają za nie przed historią.

Brzmi pompatycznie, ale jakoś pasuje...

W swojej książce napisał pan: „Z morzem wiąże się charakterystyczny dla Śródziemnomorza sposób życia, który Fernand Braudel sprowadził do trzech komponentów: żyta, wina i oliwy. Ale są też niezbywalne pejzaże – błękit toni morskiej, palmy, figowce, cyprysy i rybołówstwo, lawenda i cykady. Adriatyk stał się dobrem wspólnym – wręcz trofeum – wszystkich Chorwatów, nie tylko Dalmatyńczyków i Istryjczyków. Wszedł głęboko do wyobraźni zbiorowej i do kultury ogólnonarodowej”.
– Nowoczesna tożsamość narodu kształtowała się w XIX wieku i na początku XX, kiedy tworzył Vladimir Nazor. Wtedy właśnie powstało tam wiele dzieł określających tożsamość Chorwatów w ścisłej relacji do morza. Namalowano też mnóstwo obrazów w duchu historyzującym, przedstawiających rycerzy z VII-VIII wieku zdobywających Dalmację i spoglądających gniewnie w odmęty Adriatyku.

Niezwykle istotne są też wyspy. Powstał nawet gatunek prozy nazywanej „insularną”.
– Z wysp pochodzi wielu znakomitych autorów, jak właśnie Nazor (urodzony w 1876 r. na wyspie Brač), których można wpisać we wszystkie współczesne nurty literackie i przełomy – modernistyczne, egzystencjalistyczne, postmodernistyczne.Wyspy są obecne nie tylko jako regionalny odłam, ale też istotny element, który kształtuje wyobraźnię całego narodu. Powstały liczne filmy, w których są kulisami dla ważnych zdarzeń, wojen partyzanckich czy trudnych przeżyć bohaterów.

Brač, Cres, Hvar, Krk, Korčula, Mljet, Pag, Rab... – że przywołam jedynie kilka nazw – są też niezwykle różnorodne. Ich mikrokosmos przybliżył mi w rewelacyjnym „Przewodniku po wyspie” Senko Karuza. To pisarz urodzony w Splicie w 1957 r., który dzieciństwo i młodość spędził na wyspie Vis a teraz ponownie tam zamieszkał. Oczywiście to nie przewodnik turystyczny, tylko cykl opowiadań-przypowiastek, czułych i ironicznych, pełnych smaków i smaczków.
– Przełożyła je na polski Barbara Kramer. Zadanie nie było łatwe, ponieważ Karuza brawurowo posługuje się rozmaitymi językami czy idiomami, które wciąż są tam w użyciu. Patrzy krytycznym (ale i wyrozumiałym) okiem wyspiarza na Dalmatyńczyków ze stałego lądu oraz na cudzoziemskich turystów. Obserwacje te przybrały ciekawy literacko kształt. Można by odnieść wrażenie, że mamy do czynienia ze scenerią do jakiegoś spektaklu...



• Hvar to „lawendowa wyspa” Chorwacji. Jej mieszkańcy żyli głównie z uprawy lawendy, dopóki nie zaczęli żyć z turystyki

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

Mnie zafascynował też dodany przez tłumaczkę słowniczek terminów, które tak wiele mówią o stylu życia i obyczajowości: bevanda, gustirna, konoba, redikul, veja...
– Przy okazji warto zaznaczyć, że Chorwacja jest w światowej czołówce, jeśli chodzi o liczbę zjawisk kulturowych ulokowanych na Liście Niematerialnego Dziedzictwa Ludzkości UNESCO, ma ich 15 [Polska – 7]. To m.in. koronkarstwo, zabawkarstwo, tańce i śpiewy. Jak choćby klapa – wielogłosowy męski śpiew a cappella, rodem z liturgicznych pieśni religijnych.

Na liście oczekującej jest też ojkanje, gardłowy śpiew z południowej Dalmacji, który wywodzi się z archaicznych form bytowania.
– Etnomuzykologia próbuje łączyć go z pasterskim ludem Ilirów, pierwotnymi mieszkańcami regionu. Zresztą kultura pasterska ma bogate i wciąż żywe tradycje, to silny element tożsamości. To nie tylko wypas owiec, ale i sposoby wyrobu sera, a nawet organizacja przestrzeni.



• Pakleni Otoci (Wyspy Paklińskie). Archipelag składa się z kilkunastu małych, porośniętych sosnami wysepek rozciągających się tuż na południowy zachód od wyspy Hvar

Chodzi o słynne „muri a secco” – murki z lokalnego kamienia układane na sucho...
– ...czyli bez zaprawy. I te kamienie się trzymają już ile stuleci! Oddzielające pastwiska i zapobiegające erozji gleby murki są rozsiane po całej Dalmacji, ciągną się przez dziesiątki tysięcy kilometrów. Sposób ich wytwarzania Chorwacja wraz z innymi państwami [Cyprem, Francją, Grecją, Hiszpanią, Słowenią, Szwajcarią i Włochami] też wpisała na Listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego.

Współtworzą wprost niebywały krajobraz, na mnie robi on nawet większe wrażenie od morskiego. Co niezwykłe, archeolodzy nie są w stanie odróżnić murów, które liczą 100 lat, od tych, które mają ich kilkaset, a może i więcej. Nie ma zaprawy, kamienie się nie starzeją, więc nie można ustalić ich proweniencji. Być może tworzyły je całe pokolenia. Wiemy jednak z całą pewnością, że np. te na Hvarze mają 2,5 tys. lat.

Od kilku lat Hvar organizuje wiosną rodzaj festiwalu połączonego z wystawami i konferencjami naukowymi, by opowiadać o murach i jak najlepiej się o nie zatroszczyć.
– Z kolei na Liście Światowego Dziedzictwa Ludzkości UNESCO znalazło się 10 miejsc i obiektów: od Parku Narodowego Jezior Plitwickich, po miasta z antycznym rodowodem, jak Split, Dubrownik czy Trogir.

Mając tyle wszelakich skarbów, Chorwacja, która lubi reklamować się hasłem „Mały kraj na wielkie wakacje”, przyciąga coraz więcej turystów.
– W ostatnich dekadach turystyka stała się główną siłą napędową gospodarki. Jednym z problemów Chorwacji jest właśnie to, że przytłoczyła inne dziedziny.

Według szacunków odpowiada za 25 proc. Produktu Krajowego Brutto (PKB), kiedy średnia w Unii Europejskiej to ok. 4,5 proc.
– Ja słyszałem nawet o jednej trzeciej PKB, ale pewnie wiele zależy od metodologii liczenia. Tak czy inaczej, jest to ogromne uzależnienie.

Według źródeł branżowych, rok 2025 był rekordowy: 21 mln 800 tys. przyjezdnych, czyli ponad pięć razy więcej niż kraj liczy obywateli (jak podaje Worldometer, jest ich 3,815 mln). W czołówce, obok Niemców, Austriaków i Słoweńców, są Polacy – 1,24 mln.
– Istotnie, od lat zasilamy chorwacki budżet, i to znacznie. Tendencja jest rosnąca. Dziś Polacy stali się elementem turystycznego pejzażu, dostaniemy nawet menu po polsku.

Czujemy się w Chorwacji dobrze, powodów jest wiele, pewną rolę odgrywa też bliskość języka słowiańskiego. Zdaniem niektórych mamy nawet podobną mentalność.

Polacy to chojracy. Przeczytałam gdzieś, że podejmują wyprawy w góry nie zawsze przygotowani, a te, choć niezwykle widokowe, są też niebezpieczne, strome i trudne. Bywa więc, że z nich nie wracają...
– Zdarzają się też wypadki podczas nurkowania. Kiedy mam w ręku chorwacką gazetę, zazwyczaj jest w niej mowa o Polakach albo o Czechach, że podejmują zbyt duże ryzyko, co niestety dość często kończy się tragicznie.

Jakie skutki przynosi faworyzowanie tego sektora gospodarki?
– Dominująca obecnie turystyka masowa – i nie dotyczy to jedynie Chorwacji – w straszliwy sposób dewastuje przestrzeń i ekosystem, zmienia obyczajowość mieszkańców, a pewnie również ich tożsamość.

Współczesny turysta, docierając gdzieś, nie poznaje okolic własnymi oczami, lecz szuka miejsc wykreowanych przez media i specjalistów od wyjazdów komercyjnych. Zalicza je i odhacza. Wynika to zapewne i z tego, że południe zostało odkryte przez ludzi północy i w jakimś sensie wyraża ich fantazje. Jawi się jako miejsce hedonizmu i wyidealizowanego piękna; istnieje jako arkadia, ogród rajskich rozkoszy, w którym zaspokaja się pragnienia, żywi

FOT. GETTY IMAGES (5), SHUTTERSTOCK (4)

eprasa.pl 7e1750f966

się dietą śródziemnomorską, spotyka się z gospodarzem, który zawsze musi być radosny i gościnny, popija się rakiję lub lokalne wino.

Na wybrzeżu prawie wszystko podporządkowano sezonowym gościom, ich obsługa pochłania energię mieszkańców. W miastach dudnią basy z dyskotek, wsie urbanizują się w niekontrolowany sposób, a ziemie, które od pokoleń były w rękach tych samych rodzin, gdzie kultywowano lokalny styl życia, są sprzedawane, powstają na nich hotele i bungalowy. Fakt, iż owa arkadia stała się towarem na sprzedaż, odmienił i samych Chorwatów, zwłaszcza pracujących w sektorze turystycznym.

W dodatku poza sezonem kraj zamiera, wiele miejsc pustoszeje. Ponieważ jeżdżę tam w różnych porach roku, liczne miasteczka, z których ludzie się wyprowadzili lub zamienili je w apartamenty na wynajem, wyglądają dość ponuro.

Ciemnych stron masowej turystyki doświadczają również Włochy, Hiszpania i inne kraje nad Morzem Śródziemnym.

Z badań wynika, że tak duża liczba urlopowiczów wpływa na całe społeczeństwo, także na perspektywy młodych, którzy mogą liczyć głównie na prace dorywcze. Stąd też duża emigracja, wyludnianie się prowincji, a nawet mniejsza liczba chętnych na studia...
– Pisarz ze Splitu Jurica Pavičić, który zajmuje się tymi zjawiskami, wiąże je z ogólnymi przełomami, które dokonały się w cywilizacji europejskiej, od kiedy południe nie uczestniczy już w tworzeniu wartości cywilizacyjnych. Napisał kiedyś, że gdyby Steve Jobs żył w czasach renesansu, mieszkałby we Florencji, ale dziś żaden Jobs nie mieszka tam, bo ani Florencja, ani Dubrownik, ani Wenecja nie są obecnie miejscami, gdzie powstawałyby przełomowe odkrycia. I jest to frapująca konstatacja.

Mamy do czynienia z wielkim problemem społecznym, o którym się dyskutuje. Wydaje się nawet, że – co do oceny zagrożenia – wszystkie strony sporu politycznego są zgodne: jest źle, trzeba coś zrobić. Pojawiają się pomysły, by np. uczynić z Chorwacji destynację (przepraszam za to straszne słowo) elitarną, czyli miejsce wypoczynku elit. Jednak biorąc pod uwagę infrastrukturę i to, w jak niekontrolowany sposób się rozwija, gdy dziesiątki tysięcy obywateli mających dom w Dalmacji są w stanie utrzymać się z wynajmu, nie da się tego po prostu zastopować. No i trzeba rozumieć także przeciętnego obywatela, że chce zobaczyć Chorwację, bo jest tam nadzwyczaj pięknie.

Już kilka dekad temu kraj był zorientowany na turystykę.
– Ten proces zaczął się już w latach 20. XX wieku. Natomiast rozkwit można datować na lata 60. i 70., kiedy w Dalmacji powstała infrastruktura, wyrosły hotele, głównie dla klasy robotniczej. I już wówczas zaczęła się powolna „apartamentyzacja" regionu. Przede wszystkim zaś zbudowano dalmatyńską magistralę łączącą północ z południem. To malownicza trasa, którą dzisiaj już się nie jeździ choćby do Splitu, bo zabiera dwa razy więcej czasu niż autostrada. Ale proszę sobie wyobrazić, że do lat 50. tamtejsze miejscowości były od siebie odcięte. Przedostawano się do nich krętymi drogami, czasem nawet udając się w interior, by powrócić od innej strony.

Proces „uturystowienia" zaczął się więc w momencie, w którym komunistyczna Jugosławia, wydobywając się z sowieckiego kieratu, zaczęła tworzyć komercyjny model życia codziennego. I turystyka była jednym z jego elementów. Niektórzy badacze zwracają uwagę, że to właśnie wtedy Chorwaci, ale pewnie i pozostali obywatele Jugosławii, odkryli morze jako miejsce wypoczynku.

A z czego kraj żył wcześniej?
– Istniał przemysł, były stocznie nad Adriatykiem. Wiele fabryk ulokowano w Dalmacji zapewne dlatego, że w XIX wieku jako część państwa Habsburgów była jednym z najbiedniejszych regionów, biedniejszym nawet od Galicji! Fabryki miały zaktywizować ludność, która nie mogła wyżyć z rolnictwa, bo ziemie nie są tam żyzne. Ale powstawały także w Slawonii, wokół Zagrzebia, niektóre stały się światowymi markami, jak Podravka ze słynną przyprawą Vegetą, czy produkująca leki Pliva (z czasem sprzedana obcym koncernom).

Wiele zmienił proces transformacji w latach 90., kiedy nastąpiła dzika prywatyzacja. A wybuchła po rozpadzie federacyjnej Jugosławii wojna domowa [1991-95] dodatkowo sprzyjała niekontrolowanemu przepływowi kapitału i przejmowaniu fabryk. Wiele z nich upadło, tysiące ludzi straciło pracę. Myślę, że skala problemu oraz rozmaitych defraudacji była znacznie większa niż w Polsce.

Mieszkańcy nie zapominają o fabrykach, organizują wystawy, tworzą muzea, by pokazać, w jaki sposób sprzyjały one lokalnemu rozwojowi, jak bardzo wpłynęły na zmianę ich sposobu życia.

Wróćmy na chwilę do odleglejszej historii. Skąd się wzięli Chorwaci? Napisał pan: „Tym, czym dla Wszechświata jest Wielki Wybuch, tym dla Chorwatów jest ich przybycie nad Adriatyk i zaślubiny z morzem. Jest VI wiek, wędrówki ludów. Niektóre plemiona słowiańskie wyruszają z bliżej nieokreślonej północy na południe...".
– W mojej książce świadomie starałem się wpisać w opowieści o Chorwacji rozpoznawalne narracje dotyczące tego, co historycy nazywają legendą etnogenetyczną. Zresztą słowa „legenda" używam nieprzypadkowo, ponieważ tak mało wiemy o wielu ludach. A Słowianie do IX wieku nie mieli pisma, co jeszcze bardziej utrudnia eksplorację.

Historycznie rzecz biorąc, były dwie konkurencyjne legendy etnogenetyczne. Wedle jednej Słowianie przyszli z północy, być może z Małopolski, i zasiedlili cały obszar, który nazywamy dziś Półwyspem Bałkańskim. Wedle drugiej, wykluczonej przez naukę, wywodzili się z południa i udali na północ.

Nie wiadomo, czy szli razem, czy się rozdzielili. I w jak licznych grupach? Czy to się działo stopniowo? Brakuje dowodów, by ustalić dokładny przebieg owych migracji.

Co istotne, Słowianie, którzy – z perspektywy wyrobionych elit Cesarstwa Rzymskiego, już podzielonego na część wschodnią i zachodnią [w 395 r. dokonał tego ostatecznie cesarz Teodozjusz I Wielki] – byli barbarzyńcami, nomadami, nagle przekraczają limes [granica między cywilizacją a barbarią, wyznaczona mniej więcej na linii Dunaju] i zasiedlają terytoria, na których są kościoły, wczesnochrześcijańskie biskupstwa, drogi, wille, kamienne kolosy, a ludzie ubierają się w togi. I – co niezwykłe – wchodząc w rozmaite procesy asymilacji, narzucają im swój język.



• Park Narodowy Jezior Plitwickich to najstarszy i największy park narodowy Chorwacji. Składa się z 16 jezior połączonych setkami wodospadów i kaskad. Od 1979 r. na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO



• Most Krk. Od 1980 r. łączy wyspę Krk z lądem w pobliżu miasta Kraljevica. Dwa łukowate przęsła przechodzą przez wysepkę Sveti Marko

Można powiedzieć, że asymilacja się powiodła.
– Tak. Co prawda niektóre źródła mówią o konfliktach, być może nawet potyczkach i wojnach, natomiast współczesne ujęcia mediewistyczne bardziej akcentują jakąś formę koegzystencji. A my możemy sobie tylko wyobrażać, jak mogła wyglądać.

W IX wieku do władzy dochodzi Trpimir I, zdobywa tytuł księcia Chorwatów. I tak powstaje państwo chorwackie, 100 lat przed polskim.

Jak duży był to obszar? Czy da się określić jego granice?
– Z trudem. Przebiegi granic były dość umowne, często się zmieniały. Natomiast możemy zidentyfikować konkretne miejsca w owym państwie, jak choćby nadmorski Nin, w interiorze Knin, twierdzę Klis na zapleczu Splitu i wiele innych, głównie w Dalmacji kontynentalnej.

Chorwaccy władcy nie od razu byli w stanie kontrolować dawne miasta antyczne, jak Zadar czy Trogir, w których panował lokalny patrycjat (nawiasem mówiąc, na mocy umów z państwem Franków władzę nad Dalmacją sprawowało Bizancjum). Ale widać, że z czasem radzą sobie coraz śmielej. I ostatecznie struktura etniczna tych miast zaczyna się zmieniać, w dokumentach z XI i XII wieku dominują już imiona i nazwiska słowiańskie.

A co działo się z Ilirami?
– Był to lud indoeuropejski, o którym cokolwiek wiemy na podstawie tego, że został skolonizowany przez Rzym. Rzymianie nazwę „Iliricum", bo tak określali ten obszar administracyjny, wzięli od Greków, którzy użyli jej wcześniej. Nie wiemy natomiast, jakim mianem określali siebie Ilirowie ani co się stało z ich językiem. Dawniej przyjmowano – i chyba wciąż twierdzi się – że jedynym jego dziedzicem jest albański.

Słowiańscy przybysze przyjęli lokalny sposób życia. Ci, którzy osiedli nad Adriatykiem, uczyli się połowu ryb i żeglugi, a ci w interiorze – wypasu owiec i układania murków z kamieni. W tym więc sensie Ilirowie z całą pewnością przyczynili się do rozwoju chorwackiej kultury. Są ich duchowymi, a w pewnym sensie również rzeczywistymi przodkami.

Królestwo Chorwacji po 200 latach utraciło niezależność na blisko 800 lat. I – jak pan napisał – „chorwackie imię jakby przepadło w mrokach dziejów. Najpierw rozpłynęło się w morzu węgierskim, następnie habsburskim, a na końcu w jugosłowiańskim".
– W 1102 r. Koloman z dynastii Arpadów (z którymi ostatni król chorwacki był spokrewniony) zaanektował je, ale raczej doszło do jakiegoś porozumienia (nosi miano pacta conventa). Mimo iż Chorwacja zachowała autonomię i przez 8 wieków będzie jej bronić, to silniejszy partner, czyli Królestwo Węgier, będzie ją wielokrotnie gwałcić. Na linii Węgrzy–Chorwaci zawsze iskrzyło.

W czym przejawiała się owa autonomia?
– W obecności urzędów stanowych, jak odrębny sejm. Była też instytucja bana – dokumenty łacińskie określały go mianem pro-rex (wicekról).

eprasa.pl 7e1750f966



Republika Chorwacji

Zajmuje ok. 56 tys. km, liczy ok. 3,815 mln mieszkańców. W 2009 r. weszła do NATO, a w 2013 r. do UE. 1 stycznia 2023 r. znalazła się w strefie euro i w tym samym roku wstąpiła do strefy Schengen.





• **Trogir. Stare miasto jest uznawane za jeden z najlepiej zachowanych zespołów urbanistycznych epoki romańskiej i gotyckiej w Europie. Od 1997 r. na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO**

Na Bałkanach odcisnęli też swoje piętno Turcy Osmańscy.
– Przez 450 lat panowali nad większą częścią półwyspu – w Bośni, Serbii, Bułgarii, Grecji. W XV/XVI wieku zajęli dużą część Chorwacji, zwłaszcza Slawonii i Dalmacji, ale nie Zagrzeb; i tam już od XV wieku zaczyna się kształtować chorwackie życie polityczne. Z kolei położone nad Adriatykiem miasta Dalmacji pozostawały w rękach Wenecji [od XV wieku, aż do likwidacji Republiki Weneckiej przez Napoleona pod koniec XVIII wieku]. Zatem na tym obszarze Turcy osmańscy byli „ledwie" 150 lat.

W którym momencie kraj odzyskał na dobre niepodległość?
– W roku 1990, kiedy Republika Chorwacji wystąpiła z federacji jugosłowiańskiej [ale w czasie II wojny światowej, w latach 1941-45, był też epizod faszystowski, z marionetkowym Niepodległym Państwem Chorwackim]. Na przełomie 1990/91 dokonywały się zmiany legislacyjne, a w 1992 r. została członkiem ONZ.

W ostatniej dekadzie XX wieku przez pięć lat w byłej Socjalistycznej Federacyjnej Republice Jugosławii (SFRJ) trwała krwawa wojna [100 tys. ofiar, ponad 2 mln straciły dach nad głową], która objęła jedną trzecią ziem chorwackich. Powstały nielegalne jednostki administracyjne, stworzone przez zamieszkujących te tereny chorwackich Serbów, pod auspicjami (nie do końca formalnymi i ewidentnymi) Belgradu i Jugosłowiańskiej Armii Ludowej, próbujących wystąpienie Chorwacji z Jugosławii powstrzymać. Serbowie kontrolowali te ziemie przez cztery lata, większość ludności chorwackiej została wygnana.

Na początku wojny został zbombardowany Dubrownik, a Vukovar zrównany z ziemią, przez chwilę był nawet bombardowany Zagrzeb. Wojna przeniosła się też do Bośni, gdzie, jak wiadomo, jej przebieg był jeszcze bardziej tragiczny...

Ostatecznie w 1995 r. Chorwaci przeprowadzili kilka akcji wyzwoleńczych. Najsłynniejsze – Błysk, a potem Burza – doprowadziły do opuszczenia ich terytoriów przez siły serbskie. W tle rozgrywały się dramaty żyjących tam od wieków serbskich rodzin, zmuszonych uciekać do Bośni, a później do Serbii.

To wciąż otwarta rana w relacjach serbsko-chorwackich.

Mamy różne interpretacje owych wydarzeń. Z perspektywy chorwackiej są przedstawiane jako akcje mające na celu odzyskanie kontroli nad własnym terytorium i wynikające wprost z zapisów konstytucji.

Źródła mówią o „wojnie niepodległościowej", a niektóre o „ojczyźnianej".
– Po chorwacku „domovinski rat". Nie da się tego prosto przetłumaczyć, ale słowo „domovina" oznacza ojczyznę.

O wojnie na Bałkanach powiedziano i napisano wiele. Tadeusz Mazowiecki, nasz pierwszy demokratyczny premier, przez trzy lata był specjalnym wysłannikiem-sprawozdawcą ONZ ds. przestrzegania praw człowieka w byłej Jugosławii. W ub. r. syn Wojciech, który opracowuje jego spuściznę, opublikował III tom archiwów zawierający jego raporty z Jugosławii z lat 1992-95 (wydaje je Uniwersytet Warszawski). Zaś mając w pamięci niedawną śmierć w haskim więzieniu serbskiego generała Ratko Mladicia, zwanego „Rzeźnikiem Bośni" czy „Rzeźnikiem Bałkanów", sięgnęłam po książkę chorwackiej pisarki Slavenki Drakulić „Oni nie skrzywdziliby nawet muchy. Zbrodniarze wojenni przed trybunałem w Hadze" (powstała w 2003 r., w Polsce ukazała się w 2010 r.).
– To znakomita książka, w moim przekonaniu najlepsza tej autorki. Nie straciła nic na aktualności. Do dziś dyskutuje się, kto bardziej zawinił: Serbowie czy Chorwaci? Kto zaczął? I kto za co odpowiada?



• **W tradycyjnych tawernach często obowiązuje zasada: „to, co rybak złowił rano, trafia na talerz tego samego dnia". Dzięki temu owoce morza są tu wyjątkowo świeże**

*Prof. dr hab. Maciej Czerwiński



• filolog slawista, literaturoznawca i językoznawca, tłumacz, krytyk literacki, pisarz, promotor kultury. Zajmuje się językami, kulturami i literaturami byłej Jugosławii, szczególnie Chorwacji, a także pograniczem teorii języka i literatury oraz semiotyką kultury. Obecnie dyrektor Szkoły Doktorskiej Nauk Humanistycznych oraz Instytutu Filologii Słowiańskiej UJ. Jest autorem m.in. opracowania „Chorwacja. Dzieje, kultura, idee", które ukazało się w 2020 r. nakładem Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie. Niebawem Kolegium Europy Wschodniej wyda zbiór jego esejów poświęconych Czarnogórze, a Austeria opowieść „Dalmacja. Palimpsest"

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

A dlaczego istniejąca blisko pół wieku SFRJ się rozpadła?
– Widzę ją jako pole boju, na którym ścierały się dwie koncepcje: Serbowie byli zwolennikami kraju scentralizowanego, w którym mieliby większą władzę nad całością, zaś Chorwaci – głównym podmiotem, który walczył o decentralizację. Koncepcja Serbów musiała upaść, m.in. dlatego, że większość innych narodów nie chciała ich dominacji. Ale szkoda, że stało się to w tak straszliwy sposób.

Jak jest dziś z jugonostalgią?
– To trudne pytanie. Kwestia jest złożona, a opinie zróżnicowane. Nie da się pogrupować ludzi jedynie na zwolenników i przeciwników Jugosławii, podziały się komplikują.

Według Chorwatów w SFRJ dominował największy naród, czyli Serbowie. Nie ma wątpliwości, że większość z nich jest zadowolona, iż ma niepodległe, demokratyczne państwo; było ono wielkim marzeniem od pokoleń (a byli i tacy, i to pośród Chorwatów, którzy już w XIX wieku marzyli o Jugosławii).

Komunistyczna SFRJ była organizmem totalitarnym, jednopartyjnym, w którym władza ewoluowała jedynie w ramach zmian frakcji, przez kilka dekad wszystkie karty rozdawał zmarły w 1980 r. Josip Broz „Tito". Ludzie siedzieli w więzieniach, a służby bezpieczeństwa były zupełnie wyjęte spod kontroli obywateli i demokratycznych procedur.

Ale nawet wielcy przeciwnicy Jugosławii są w stanie docenić niektóre zjawiska, ot choćby charakter państwa opiekuńczego, rozwój infrastruktury, dobra publicznego.

Część obywateli trzymających się z dala od polityki, których nie dotykały żadne sankcje, a ich bliscy nie siedzieli za kratkami, żyła spokojnie, więc byli zadowoleni. Mogli jechać na zakupy do włoskiego Triestu, wypoczywać na którejś z wysp i pracować w pięciodniowym trybie, zupełnie inaczej niż ich dziadkowie. W ich mniemaniu dokonała się pewna modernizacja i emancypacja. Im Jugosławia być może nie przeszkadzała.

O stosunku do jugosłowiańskiej przeszłości ciekawie piszą m.in. Karl Markus Gauss w zbiorze reportaży „20 lewów albo śmierć. Cztery podróże" i Aleksandra Wojtaszek we wspomnianej „Fjace...". A skoro pada słowo „fjaka" (coś jakby włoskie „dolce far niente", zachwyt nad chwilą, bycie tu i teraz), to może przybliżmy przy okazji chorwacki styl życia.
– Przewodniki, rzecz jasna, sięgają po klisze i stereotypy: wąskie uliczki, długie, słoneczne dni, mało deszczu, figi, palmy. Zaś postacie, które się tam spotyka, najczęściej grają w spektaklu „Szalone, piękne wakacje w Chorwacji", gdzie wszyscy bohaterowie są ładni, uśmiechnięci, niemal nie pracują, za to piją dużo kawy, wina i rakii, jedzą pyszne ryby z rusztu (najlepiej złowione osobiście), kąpią się w słońcu i w morzu, pływają na jachtach.

Muszę przyznać, że i ja doświadczyłem tam podobnych odczuć, ale znam też inne oblicza Chorwatów...

Dodam, że są wielce gościnni. Otwierają przy nas lodówkę i wyciągają wszystko, co mają, nie dbając, co będzie następnego dnia. Gdy zaproszą kogoś do kawiarni, nie zgodzą się, żeby płacił. Lubią też opowiadać o swoim kraju, bo go bardzo kochają. Większość ma bardzo pozytywny, niemal apologetyczny stosunek do ojczyzny, i nic dziwnego.

No i, wbrew pozorom, są pracowici. Przede wszystkim w sezonie. Wtedy pracują bardzo dużo i bardzo ciężko. Później zaś skupiają się na pracach domowych: naprawa okiennic, malowanie fasad, montaż klimatyzacji. Jesienią i zimą we wszystkich turystycznych miejscowościach słychać odgłosy młotków i wiertarek.

Jakie postacie, z historii bądź współczesności, są dla pana wyjątkowo ważne?
– Najbliższy jest mi Ivan Meštrović [1883-1962], rzeźbiarz i architekt rodem ze Splitu, jeden z najwspanialszych artystów XX wieku, nie tylko w Chorwacji, zyskał popularność na całym świecie. Tworzył rzeźby przejmujące, niezwykle intymne, w poetycki sposób opowiadające historię człowieka na Ziemi. W 2017 r. Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie zorganizowało wystawę jego dzieł pt. „Adriatycka epopeja".

Jest też mnóstwo pisarzy, których cenię (niektórych tłumaczę). Należy do nich Antun Šoljan [1932-93], poeta i prozaik rodem z Dalmacji, jego powieści mówią o człowieku w czasach powojennych, a bohaterowie nie tylko zmagają się z rzeczywistością, ale też dzielą się pogłębioną refleksją o świecie. No i Ivo Andrić [1892-1975], urodzony w Bośni, w katolickiej chorwackiej rodzinie, ale, ponieważ mieszkał w Belgradzie, kojarzony z kulturą serbską, laureat literackiego Nobla w 1961 r. Przygotowuję właśnie nowy przekład jego powieści z 1945 r. „Most na Drinie".

Jak napisał pan w swojej książce, „dzisiejsza Chorwacja odpowiada krainom historycznym, które nie tylko przez wieki były częścią różnych organizmów politycznych, ale podlegały wpływom różnych cywilizacji. W jednych regionach zegary wybijały renesans i barok, w drugich czas płynął zgodnie z rytmem średniowiecza. W jednych językiem urzędowym był niemiecki, w innych węgierski, a jeszcze w innych – włoski i turecki. Ale we wszystkich posługiwano się w piśmiennictwie jednocześnie językiem chorwackim – w jednym z kilku jego wariantów. Niektóre regiony łączyła siłą rzymskiego autorytetu łacina...".
– Istotnie, niezwykłość Chorwacji polega na jej autentycznej wielokulturowości i różnorodności, które trwają i są jej bogactwem, jej nadzwyczajną wartością. A piękno to tylko kulisy tego wielkiego spektaklu. ●

Rozmawiała Alicja Dąbrowska

eprasa.pl 7e1750f966

KULTURA OBYCZAJE

Typowo polskie spojrzenie na wszechświat

Profesor Victor Ambros, nowy polski noblista: „Nikt w domu nie mówił: musisz zostać lekarzem, inżynierem albo pisarzem. **Dzięki Bogu.**”

Z **VICTOREM AMBROSEM**
ROZMAWIA **PIOTR CIEŚLIŃSKI**



eprasa.pl 7e1750f966

Jest pan już oficjalnie polskim obywatelem. Muszę więc zadać oczywiste pytanie: mówi pan po polsku?
– Nie. Mój tata był Polakiem, ale kiedy dorastałem, był jedyną osobą mówiącą po polsku w Vermont. To były Stany Zjednoczone lat 50. i wśród imigrantów panowało wtedy silne przekonanie, że dzieci powinny się zasymilować.

Podobnie było w rodzinie żony. Jej rodzice przyjechali z Chin do Kansas, wokół nie było innych Chińczyków.

Ale ciekawe, że nigdy z tatą o tym nie rozmawiałem. Żałuję. Chciałbym wiedzieć, co wtedy myślał.

W domu w ogóle nie mówiło się po polsku?
– Nie. Ale w 1960 roku do USA wyemigrowała siostra ojca z rodziną. Od tej pory zacząłem słyszeć polski. Miałem już siedem lat, ale najwyraźniej nie byłem szczególnie uzdolniony językowo.

No dobrze, muszę przyznać, że nie starałem się nauczyć polskiego. Człowiek patrzy na swoją młodość i myśli: dlaczego nie wykorzystałeś takiej okazji?

Czy dorastając w Vermont, czuł pan, że Polska jest częścią pana własnej tożsamości?
– To akurat tak. Bardzo podziwiałem tatę. Część tego obrazu brała się z historii jego życia. Jedną z najwcześniejszych rzeczy, o jakich się dowiedziałem, było to, że jako bardzo młody człowiek uciekał najpierw przed Sowietami, potem przed Niemcami. Wiedziałem, że jako siedemnastolatek był robotnikiem przymusowym w Trzeciej Rzeszy. I że do szkoły średniej chodził tylko około dwóch lat. Był bardzo inteligentny, ale historia zgasiła jego szanse na edukację.

Od najmłodszych lat opowiadał nam tę historię po kawałku, między innymi po to, żeby uświadomić nam, dzieciom, jak uprzywilejowani jesteśmy.

Mój tata także jako nastolatek został wywieziony do Niemiec na roboty i też wyzwolili go Amerykanie. Różnica jest taka, że mój ojciec ostatecznie wrócił do Polski. Czy pański mówił kiedyś, dlaczego zdecydował się nie wracać? Czy w ogóle to rozważał?
– Rozmawialiśmy o tym. Nie brał powrotu pod uwagę, bo pochodził ze wschodniej Polski, a po wojnie ten region stał się częścią ZSRR. Nie miał dokąd wracać.

Jego doświadczenia były bardzo traumatyczne. W 1939 roku uczył się w Wilnie, a potem przez jakieś dwa i pół roku nie miał stałego domu. Mieszkał u różnych krewnych, którzy dawali mu dach nad głową i opiekowali się nim, ale z jego opowieści wynikało, że nigdzie nie czuł się u siebie. Przeżył bardzo ciężki czas, zanim schwytali go Niemcy.

Wkrótce po wyzwoleniu dostał pracę przy okupacyjnych wojskach amerykańskich. Poznał ludzi, nauczył się angielskiego, został kimś w rodzaju adiutanta podpułkownika. Płynnie mówił po niemiecku, więc pomagał jako tłumacz. Stali się sobie bliscy i zaprzyjaźnili się. Wtedy wspólnie ułożyli plan, by oficer pomógł mu wyemigrować do USA.

Ale mówił pan o swoim ojcu. Jeszcze żyje? Czy przypadkiem nie był na robotach w Dudenhofen?

Niestety, zmarł podczas pandemii. A jeśli chodzi o Dudenhofen, nie jestem pewien. Miał wtedy 16 lat, pracował w Niemczech na wsi u jakiegoś gospodarza.
– Tata urodził się w 1923 roku, więc miał wtedy około 18-19 lat. Opowiadał, że większość robotników przymusowych wokół niego to byli bardzo młodzi ludzie, głównie Polacy. On należał do starszych i jako jedyny płynnie mówił po niemiecku, więc został kimś w rodzaju pośrednika. Pracował w fabryce, która przygotowywała drewniany granulat do zasilania kryzysowych samochodów z gazogeneratorami.

Czego pana ojciec nauczył dzieci?
– Był niezwykle zaradny i bystry. Potrafił budować i naprawiać różne rzeczy. Był farmerem, więc pomagaliśmy mu w gospodarstwie – część tych prac była obowiązkowa, część wykonywaliśmy dobrowolnie.

Był też bardzo oczytany. Kochał książki, więc patrzyliśmy na niego trochę jak na uczonego. Przychodzili do nas jego przyjaciele, sąsiedzi. Jako małe dzieci obserwowaliśmy dorosłych siedzących po kolacji i rozmawiających o literaturze, bieżących wydarzeniach, historii. Podziwialiśmy go jako człowieka ogromnej wiedzy.

Wiele lat później przeczytałem „Annę Kareninę", „Wojnę i pokój" i zachwyciły mnie powieści Tołstoja. Oczywiście czytałem go po angielsku i pomyślałem, że przekład musi być znakomity. Rozmawiałem o tym z tatą, kiedy był już starszym człowiekiem. Powiedziałem, że zdumiewa mnie, jak Tołstoj potrafi wprowadzić bohatera do pokoju pełnego ludzi, a potem w jednym akapicie sprawić, że widzimy, co się tam dzieje – najdrobniejsze niuanse, czyjś ruch oczu, urywki rozmów. W głowie robi się z tego niemal film.

Tata od razu wiedział, o czym mówię i zaczął podawać własne przykłady. Pamiętał na przykład scenę, w której punkt widzenia przechodzi z człowieka na jego psa, a potem z powrotem. Wspólnie odtwarzaliśmy te rzeczy z pamięci. W końcu go zapytałem: kiedy ostatnio czytałeś te książki? Odpowiedział, że w szkole i po rosyjsku. Czyli około 2010 roku rozmawialiśmy o książkach, które przeczytał w latach 30. w innym języku.

Musiał mieć fotograficzną pamięć.
– Kiedy opowiadał historie, pamiętał nazwiska ludzi i mnóstwo szczegółów.

I był zabawny. Powiedziałbym, że miał typowo polskie spojrzenie na życie i wszechświat.

A na czym polegało to polskie spojrzenie?
– Jedno z powiedzeń, które powtarzał, brzmiało mniej więcej: „Odpoczniemy, jak umrzemy".

Był katolikiem, ale w pewnym momencie został ateistą. To ciekawe, bo jego siostra pozostała głęboko wierząca przez całe życie. Sama przeżyła ogromną traumę. Była w Warszawie podczas bombardowań i pracowała w klasztorze, gdzie zakonnice opiekowały się nią. Opowiadała, jak chowała się pod ich habitami. Była niezwykle silną osobowością, gdy tata był bardzo cichy. Mieliśmy więc tego cichego mężczyznę, który został ateistą, i potężną kobietę, która pozostała głęboko wierzącą katoliczką. To było fascynujące.

Powiedział pan kiedyś, że ponieważ pana ojcu odebrano jego szanse, czuł pan, że musi dobrze wykorzystać te, które dostał. Czy jako dziecko czuł pan z tego powodu pewien obowiązek – że musi pan coś osiągnąć, dobrze wykorzystać swoją edukację?
– Naprawdę czułem, że tego się ode mnie oczekuje, ale wcale mi to nie przeszkadzało, bo chciałem odnieść sukces.

Tata też potrafił mnie bezpośrednio zachęcić. Do dziś pamiętam, jak kiedyś razem wkładaliśmy naczynia do zmywarki i powiedział: „Daleko zajdziesz". Bardzo mnie to poruszyło. Pomyślałem: wow, on naprawdę uważa, że coś we mnie jest. Trzymałem się tego.

Zawsze chciałem mu sprawić przyjemność. Oczywiście oznaczało to też ukrywanie rzeczy, których się wstydziłem, i robienie takich, które mogłyby mu zaimponować. Tak bardzo zależało mi na jego uznaniu, że nigdy nie chciałem pokazać, że z czymś sobie nie radzę. Błędnie wyobrażałem sobie, że on sam nie ma żadnych wad. Dzieci czasem tak myślą. Kiedy zrobiłem coś niewłaściwego, myślałem: po co to zrobiłeś? Tata nigdy by tak nie postąpił.

Wydawało mi się, że oczekuje ode mnie doskonałości, co oczywiście było absurdalne. Skutek był taki, że tak naprawdę nie rozmawialiśmy ze sobą z prawdziwą bliskością i otwartością. Bałem się odsłonić własną niedoskonałość, a jednocześnie sam nie próbowałem dostrzec jego ograniczeń.

Był człowiekiem, którego ogromnie podziwiałem, ale pod pewnymi względami właściwie nie znałem.

Dawał panu wolność, czy próbował pchać w konkretnym kierunku – na przykład ku nauce?
– Po prostu wspierał to, czym akurat się interesowałem. Gdy coś mnie fascynowało, kupował mi książkę na ten temat. W pewnym momencie dostałem obsesji na punkcie zbudowania teleskopu i własnoręcznego wyszlifowania lustra. Pożyczył mi na to pieniądze.

Mieliśmy rodzinną krowę, którą doiłem za około dziesięć dolarów tygodniowo, więc czasem na większe wydatki musiałem pożyczyć. Prosiłem tatę na przykład o zaliczkę za cztery tygodnie dojenia krowy. Zabawne było to, że tak bardzo mnie onieśmielał, iż czasem zbierałem się przez kilka tygodni, żeby poprosić.

Był w moim życiu kimś przytłaczająco ważnym.

Pana dzieciństwo to podręcznikowy przykład tego, jak rozwija się talent: dom pełen książek, ojciec, który potrafił zrobić niemal wszystko, matka pisarka, duża rodzina, mnóstwo rozmów. Co z tego było najważniejsze? Co najbardziej sprzyjało rozwijaniu talentu?
– Wspomniał pan o wolności i myślę, że była bardzo ważna. Nikt w domu nie mówił: musisz zostać lekarzem, inżynierem albo pisarzem. Dzięki Bogu.

Nie dorastaliśmy z przekonaniem, że skoro w rodzinie są już na przykład dwaj lekarze, to my też musimy zostać lekarzami albo prawnikami. Za to bardzo wyraźnie czuliśmy, że powinniśmy podążać za własnymi zainteresowaniami.

Wokół nas byli też fascynujący ludzie. Jednym z sąsiadów był George Seldes, znany pisarz i dziennikarz, który wiele podróżował i relacjonował wielkie wydarzenia, między innymi hiszpańską wojnę domową. Rozmawiał z takimi ludźmi jak Mussolini czy Hindenburg. Dożył ponad stu lat. Był bliskim przyjacielem rodziców, więc przychodził do nas na kolacje. Siedział przy stole z niezwykłą pamięcią i całym stuleciem doświadczeń.

Pamiętam, że jako mały chłopiec siedziałem i słuchałem tych rozmów z poczuciem, że dorośli mówią jakimś obcym językiem. Myślałem: jeszcze go nie rozumiem, ale kiedy podrosnę, nauczę się języka, którym mówi się przy tym stole. I rzeczywiście, z czasem zacząłem coraz więcej rozumieć, dostrzegać, jak niezwykły był świat doświadczeń George'a. Mama też trochę podróżowała po Europie, tata z Europy przyjechał. Miało się więc poczucie, że z tego domu można wyjść szeroko w świat, bo wokół byli ludzie, którzy naprawdę go poznali.

Czy w szkole szybko uznano pana za szczególnie uzdolnionego chłopca?
– Miałem opinię dobrego ucznia, ale też chodziłem do bardzo małych szkół. Od pierwszej do ósmej klasy w roczniku było raptem po 25-30 osób, więc łatwiej mogłem być pierwszy.

No dobrze, w szkole średniej mój rocznik liczył około stu uczniów, a też byłem drugi. Choć właściwie trzeci, bo na pierwszym miejscu były dwie dziewczyny, obie miały przez całą szkołę idealne wyniki. Więc tak, byłem postrzegany jako ktoś, kto dobrze sobie radzi. Ale nie byłem świetnym uczniem ze wszystkiego. Jeśli jakiś przedmiot mnie nie interesował, nie przykładałem się szczególnie.

Zdecydowanie ciągnęło mnie do nauk ścisłych i matematyki. Wiedziałem, że chcę uczyć się rachunku różniczkowego i całkowego, ale przyszedłem ze szkoły, w której nie miałem jeszcze nawet porządnej algebry, więc nadrabiałem ją po lekcjach.

Trwał wtedy wyścig kosmiczny Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego. To było jedno z najbardziej widocznych przedsięwzięć naukowych. Byliśmy z niego dumni. Wszystkie dzieciaki były nim zafascynowane. Mnie też bardzo pociągała astronomia i nauka o kosmosie, inżynieria. Myślałem, że może będę pracował nad wysyłaniem sond do innych planet, takich jak w misji Voyager.

Przez jakiś czas rozważałem medycynę, bo podziwiałem miejscowego lekarza, ale szybko porzuciłem ten pomysł.

Chciał pan patrzeć w gwiazdy, nawet zbudował własny teleskop. Jak to się więc stało, że zaczął pan zaglądać w geny?
– Dostałem się na Massachusetts Institute of Technology. Przyjechałem na MIT w 1971 roku właściwie z niemal zerową wiedzą z biologii. W mojej szkole średniej ona polegała głównie na zapamiętywaniu drzewa ewolucyjnego i różnych gałęzi życia. O tym, jak to działa na poziomie komórek i genów, praktycznie nie było mowy. A wielu studentów w moim akademiku studiowało biologię i genetykę, już prowadzili badania w laboratoriach.

MIT było miejscem, w którym bez przerwy się gadało o nauce, wszyscy byli nią zafascynowani, więc bardzo szybko usłyszałem – po raz pierwszy – o biologii molekularnej, enzymach restrykcyjnych, bakteriofagach i eksperymentach genetycznych. Bardzo ogólnie wiedziałem, że istnieje coś takiego jak wirusy, a tu nagle studenci, których podziwiałem, wprowadzali mnie w świat genów i tego, jak działają. I byli tym niesłychanie podekscytowani. To było zaraźliwe. Pomyślałem: wow, to brzmi naprawdę świetnie, chcę wiedzieć więcej.

Tak więc do biologii przekonali mnie rówieśnicy albo tylko trochę starsi, którzy już sami prowadzili badania i dzielili się tym zachwytem ze mną.

Widzę tu pewien wzór. I w dzieciństwie, i na studiach miał pan wokół siebie utalentowanych ludzi, których entuzjazm napędzał również pana.
– Może powinienem panu zapłacić za sesję terapeutyczną – dowiaduję się o sobie nowych rzeczy. Ale tak, to było dla mnie bardzo ważne i nadal jest. Jestem bardzo wyczulony na to, co inni lubią robić, czym się pasjonują, co ich interesuje. Zawsze fascynuje mnie, czym zajmują się inni i co ich ekscytuje. Ogromnie dużo dają mi rozmowy. Nie jestem szczególnie dobry, gdy siedzę sam i myślę w izolacji.

Co takiego ma amerykańska nauka, że przez dekady potrafiła przyciągać talenty i tworzyć warunki

◀ **Viktor Ambros na koferencji prasowej po otrzymaniu medycznego Nobla. Uniwersytet Massachusetts, Medical School w Worcester, 7 października 2024 r.**
FOT. JOSEPH PREZIOSO /AFP/EAST NEWS

Prof. Victor Ambros

• Rocznik 1953. Amerykański biolog molekularny z Uniwersytetu Massachusetts. W 2024 r. razem z Garym Ruvkunem, dostał Nobla za odkrycie mikroRNA i opisanie jego roli w ekspresji genów, czyli tego, co włącza lub wyłącza nasze geny. Właśnie otrzymał polskie obywatelstwo, o które sam wystąpił, by „uhonorować ojca oraz ciotki, ich rodziców i wszystkich tych ludzi, którzy walczyli i przetrwali, żebym mógł dziś istnieć".

• Prof. Ambros już ma naukowe związki z Polską – w ub. r. został przewodniczącym rady Międzynarodowego Instytutu Mechanizmów i Maszyn Molekularnych.

eprasa.pl 7e1750f966

do wybitnych odkryć? Pieniądze, wolność, konkurencja, mobilność?
– Mogę odpowiedzieć tylko na podstawie własnego doświadczenia. Studiowałem na MIT, a to niezwykły uniwersytet, gdzie wszyscy wydają się szczerze zafascynowani nauką albo inżynierią i wszyscy ze sobą rozmawiają. Tam panowała kultura wolności, świadomość wielkich możliwości i potencjału – ale też bardzo wysokie oczekiwania.

Oczywiście mówimy o latach 70. Kiedy zaczynałem doktorat, trafiłem do bardzo dobrze finansowanego laboratorium prowadzonego przez mikrobiologa noblistę Davida Baltimore'a. Na tym samym piętrze pracowało kilku innych znakomitych naukowców, między innymi genetyk, późniejszy noblista Phillip Sharp i badacz raka Bob Weinberg, którzy robili fantastyczne rzeczy.

Laboratoria były zorganizowane tak, że można było przejść bezpośrednio z jednego do drugiego, nie trzeba było wychodzić na korytarz. Czuło się, jakby to była jedna wielka wspólnota. Badacze przyjeżdżali z całego świata. Na początku kariery współpracowałem z Ralfem F. Petterssonem, który był wtedy w laboratorium Davida Baltimore'a, a później pracował w Instytucie Karolinska i przewodniczył Komitetowi Noblowskiemu w dziedzinie fizjologii oraz medycyny. Ważne było to, że miałem nie tylko okazję pracować z takimi ludźmi, ale po prostu ich poznawać.

Myślę więc, że jednym ze źródeł sukcesu amerykańskiej nauki było to, że zaczęła przyciągać badaczy z całego świata, a z czasem ten proces tylko się nasilał. W latach 70. widzieliśmy dopiero jego początek.

Drugim kluczowym elementem było finansowanie przez Narodowe Instytuty Zdrowia. David Baltimore miał granty NIH, także Bob Horvitz, u którego robiłem staż podoktorski, był świetnie finansowany przez tę instytucję. Między innymi dostawał pieniądze na badania nad nicieniem *C. elegans*, z których ja korzystałem. Potem założyłem własne laboratorium – I także mnie NIH wspiera od około 42 lat.

Całe to finansowanie dotyczyło badań podstawowych.

Czyli, jak powiedzieliby pragmatycy, bujających w chmurach, bo teoretycznych, dotyczących zjawisk, które nie dadzą się zastosować w gospodarce, a na pewno nie od razu. A więc utalentowani ludzie, dobre finansowanie, również rzeczy nieprzydatnych od ręki, i napływ badaczy z całego świata. Od niedawna przewodniczy pan Radzie Naukowej IMol w Warszawie. Czego dowiedział się pan o polskiej nauce od środka? Co pana zachwyciło, a co zaniepokoiło?
– To, co zrobiło na mnie wrażenie, nie jest zaskakujące: gdziekolwiek na świecie pojedziesz, znajdziesz niesłychanie utalentowanych ludzi. W Polsce widzę niezwykle zdolnych młodych z wielkimi ambicjami i marzeniami o prowadzeniu badań, zrobieniu czegoś ważnego.

Widzę też świetnych organizatorów nauki. Szefowa IMol Agnieszka Chacińska jest jedną z najbardziej wszechstronnie utalentowanych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem w roli lidera i mentora.

Macie tu ogrom talentu, pasji i ambicji – ale system jest niedofinansowany. Ludzie po prostu nie mają wystarczających środków. Weźmy sytuację, gdy Agnieszka rekrutuje kogoś do swojego instytutu. W Stanach możemy powiedzieć kandydatowi: przyjdź do nas, a dostaniesz dwa miliony dolarów swobodnie dysponowanych środków na start, żeby uruchomić laboratorium, zatrudnić studentów, uzyskać wyniki i opublikować je, zanim będziesz gotów skutecznie konkurować o granty NIH.

To jest inwestycja, bo w ciągu całej kariery – albo nawet tylko następnych dziesięciu lat – taki badacz może przynieść uniwersytetowi znacznie więcej niż te dwa miliony dolarów.

W IMol Agnieszka pomaga kandydatom zdobywać finansowanie zewnętrzne, ale jeśli go nie dostaną, czasem nie mogą nawet przyjechać i rozpocząć pracy. To ma jakiś zdrowy element – konkurencja jest niesłychanie ostra, więc jeśli ktoś już tu trafi, to przeszedł przez surową recenzję ekspertów. Chciałbym, żeby dało się połączyć oba podejścia. Kiedy patrzę na instytut taki jak IMol, myślę: mój Boże, gdyby mieli budżet pozwalający rekrutować ludzi z pakietem startowym rzędu dwóch milionów dolarów, mogliby prowadzić nabory globalnie. Ściągnąć praktycznie każdego, bo to świetny, atrakcyjny pod wieloma względami instytut.

Mam coraz silniejsze poczucie, że Polska już ma ośrodki i standardy doskonałości, które z amerykańskiej perspektywy wyglądają na bardzo poważne. Radzą sobie fenomenalnie mimo ograniczeń, a w skali budżetu państwa nie potrzeba byłoby gigantycznej inwestycji, żeby ten system radykalnie wzmocnić.

Informując o obywatelstwie dla pana, Donald Tusk powiedział, że pana zdaniem Polska może stać się jednym z najatrakcyjniejszych miejsc dla młodych naukowców.
– Tak, jeśli zaczniecie więcej inwestować w naukę. Wyobraźmy sobie, że Polska ogłasza bardzo ambitny, postępowy program i stawia sobie cel, by w ciągu kilku lat stać się jednym z głównych miejsc na świecie – może wręcz najważniejszym – do którego chcą przyjeżdżać młodzi badacze. Ludzie mogliby kiedyś mówić: „Polska jest niesamowita. Pamiętacie, jak było w 2025 roku? Już wtedy było bardzo dobrze, a spójrzcie, jak jest teraz!".

Tak naprawdę każdy kraj mógłby to zrobić. Niedawno byłem w Hiszpanii i zobaczyłem coś podobnego – mnóstwo talentu i pasji, fantastyczna praca, a jednocześnie poważne ograniczenia.

Gdyby jutro dostał pan władzę i pieniądze, co właściwie mógłby pan stworzyć w Polsce?
– Właśnie tutaj widać jedną z moich słabości – nie mam szczegółowego planu, jak taki program powinien wyglądać w Polsce. Za mało znam wasz kontekst polityczny i kulturowy.

Widzę jednak pewne napięcie. Jedną z rzeczy, które cenię w wielu krajach europejskich, także w Polsce, jest przekonanie, że z publicznych pieniędzy powinno korzystać możliwie szerokie grono. Niechętnie skupia się więc duże środki tylko w kilku miejscach, bo oznaczałoby to, że inne uczelnie dostaną mniej. Domyślam się, że politycznie nie jest to popularny i łatwy pomysł i rozumiem dlaczego. Niemniej budowanie kilku naprawdę silnych ośrodków badawczych wymaga właśnie takiej koncentracji.

Kiedy rozmawiałem z premierem Tuskiem, miałem dość rozsądku, żeby nie mówić mu, co powinien zrobić. Opowiedziałem tylko o własnym doświadczeniu. Kiedy zaczynałem, większość finansowania badań w USA i większość tego, co uchodziło za naukę najwyższej klasy, była skupiona w dość niewielu miejscach: Cambridge w Massachusetts, San Francisco, Los Angeles, może Chicago. Tam trafiało mnóstwo pieniędzy i ludzie wiedzieli, że chcą robić naprawdę pierwszorzędną naukę, muszą jechać właśnie tam.

Potem budżet NIH został podwojony. Po pewnym czasie zauważyłem coś ciekawego. Gdziekolwiek jechałem w kraju z wykładem, odkrywałem znakomitych naukowców. Mieli granty NIH, bardzo często byli to badacze, którzy wcześniej szkolili się w elitarnych laboratoriach Bostonu, Chicago, San Francisco i innych wielkich ośrodków. Witalność tych centrów doskonałości sprawiała, że kształciły świetnych ludzi, a oni potem wyjeżdżali i zakładali laboratoria gdzie indziej. Uniwersytety w całym kraju stawały się lepsze, bo pojawił się nadmiar dobrze wyszkolonych, utalentowanych naukowców. Ostatecznie więc skorzystali wszyscy.

Jaki z tego wniosek dla Polski?
– Nie udaję, że dokładnie wiem. Ale sądzę, że już samo zwiększenie puli konkurencyjnego publicznego finansowania badań – odpowiednika grantów NIH – mogłoby przynieść znakomite skutki w całym kraju. Może trzeba nawet myśleć o tym w skali europejskiej. Gdyby pozycja i siła nauki w Polsce rosły, część ludzi wyszkolonych tutaj znalazłaby pracę w swoich krajach. Większe finansowanie badań podstawowych w Polsce mogłoby więc przynieść korzyść nie tylko Polsce, ale całej Europie. Może potrzebna jest odpowiedź ogólnoeuropejska. Wszyscy muszą zwiększyć inwestycje w naukę.

Chciałbym zobaczyć znaczący wzrost publicznego finansowania badań podstawowych, szczególnie wsparcia młodych ludzi i młodych naukowców rozpoczynających samodzielną karierę. Jeśli to się wydarzy, wzmocni naukową pozycję Polski w Europie.

Świat jest pełen niezwykłych talentów. Tego, czego często brakuje, to szansa. Piękno systemu publicznego finansowania nauki polega na tym, że jest mechanizmem poszerzania szans, a przez to również zwiększania wpływu.

> Nie byłem świetnym uczniem ze wszystkiego. Jeśli jakiś przedmiot mnie nie interesował, nie przykładałem się szczególnie

Mówi pan o przyciąganiu do Polski świetnych młodych naukowców z zagranicy, ale na razie wielu świetnych młodych polskich naukowców myśli o wyjeździe i budowaniu kariery choćby w USA.
– Już nie, przynajmniej nie w ten sam sposób. Od początku 2025 roku nastąpiła dramatyczna zmiana. Wiele z tego, co mówiłem o sile amerykańskiej nauki, przestało być prawdą. Straciliśmy zaufanie do systemu. Jako naukowcy przeżywamy coś w rodzaju codziennej żałoby. Byliśmy z tego systemu dumni i braliśmy za pewnik, że będzie trwał.

Oczywiście zawsze narzekaliśmy na NIH: że konkurencja ogromna, że trudno dostać grant. Ale reguły były przewidywalne. Wiedziało się, że jeśli napiszesz znakomity wniosek i robisz świetną naukę, masz realną szansę na finansowanie. Dziś nie można już na tym polegać. W NIH pojawili się polityczni nominaci, którzy oceniają, czy projekty są zgodne z linią administracji. Naukowcy obawiają się, że grant może zostać anulowany z powodów politycznych, dlatego, że pracują na Harvardzie czy MIT albo że ich instytucja sprzeciwia się rządowi. Nie chodzi nawet o to, czy taki lęk się spełni. Wystarczy, że wiemy, iż może się tak stać.

Dla mnie to bezpośrednia lekcja tego, jak działa autorytaryzm. Najbardziej uderza to, że może się pojawić nawet w systemie, który wydawał się na niego odporny. Demokracja działa tylko wtedy, gdy ludzie na ogół zachowują się przyzwoicie, wierzą w instytucje, przestrzegają prawa i reguł oraz ufają, że inni robią to samo.

Przez całe życie narzekałem chyba na każdego prezydenta, może poza Obamą. Dziś łapię się na tym, że zupełnie inaczej oceniam tamte czasy

To kryzys przejściowy czy bardziej fundamentalna zmiana?
– Stawka jest zbyt wysoka, żebyśmy mogli to po prostu zaakceptować. Wśród naukowców bardzo wzrosła aktywność obywatelska. Narodowe Akademie Nauk, Inżynierii i Medycyny uświadomiły sobie, że muszą być bardziej aktywne. Jestem zaangażowany w organizację Stand Up for Science. Założyło ją w marcu 2025 roku czworo doktorantów i szybko stała się ruchem ogólnokrajowym. Mają proste przesłanie – nie godzimy się na to, co się dzieje, i chcemy to odwrócić – działają na popularnych platformach społecznościowych, zabiegają u polityków o poparcie dla nauki.

Nawet wielu republikańskich senatorów i kongresmenów wie, że część tego, co się dzieje, jest zła. Coraz bardziej wierzę, że niektórzy wykonują polecenia prezydenta ze strachu. Więc ja też zaczynam się bać, bo strach może sprawić, że ludzie czują, iż nie mają wyjścia, że nie mogą po prostu wstać i powiedzieć „dość". Czasem myślę, że łatwiej zrobić to komuś, kto nie ma rodziny i jest gotów sam ponieść konsekwencje.

W nauce rodzina z pewnością się przydaje. Na przykład żona. Pańska, Rosalind „Candy" Lee, pracowała w pana laboratorium i wykonała kluczowe eksperymenty prowadzące do odkrycia, za które wraz z Garym Ruvkunem dostał pan Nagrodę Nobla. A jednak Komitet Noblowski formalnie jej nie wyróżnił.
– Od czasu Nobla udzielaliśmy już wspólnych wywiadów, a ona rozmawiała też z dziennikarzami osobno. Oboje cieszymy się, że nasza wspólna historia została wreszcie opowiedziana.

Jak pan by ją opowiedział?
– Candy dołączyła do mojego laboratorium w 1985 roku. Razem z postdoktorantką Rhondą Feinbaum wykonała kluczową część eksperymentów, które doprowadziły do identyfikacji pierwszego mikroRNA i pokazały, jak może ono regulować aktywność genów. Była pierwszą autorką naszej przełomowej pracy z 1993 roku. To właśnie z tych badań wyrasta historia, która wiele lat później doprowadziła do Nobla.

Po pewnym czasie zaczęliśmy z Garym dostawać nagrody: Rosenstiela, potem Laskera, później Breakthrough Prize. Coraz bardziej ciążyła mi świadomość, że nagradzano mnie za pracę, którą w praktyce wykonali inni. Sam zrobiłem kilka eksperymentów do tamtej publikacji, ale to one wykonały większość kluczowych badań. Dlatego przy każdej okazji starałem się podkreślać wkład Candy, nasze partnerstwo w laboratorium i w domu oraz to, jak ważną rolę odegrała. Kiedy ktoś pytał – a nawet kiedy nie pytał – mówiłem, że bez niej po prostu by mnie tutaj nie było. Koniec.

A nagrody przychodziły dalej, uwaga i uznanie wciąż skupiały się na Garym i na mnie. Zmieniło się to dopiero po Noblu. Nagle zaczęto się interesować tym, jak ważna dla odkrycia była Candy. Zgłaszali się dziennikarze, chcieli wiedzieć więcej. Megan Molteni ze STAT po rozmowie z nami i badaczami naszego laboratorium opisała tę historię dogłębnie i o Noblu ona wreszcie przebiła się do świata. Wcześniej pozostawała właściwie prywatna, a ja czułem pewne zakłopotanie i wstyd z tego powodu. Teraz czasem mówimy: „nasz Nobel".

Tutaj, na UMass, wszyscy już wcześniej wiedzieli, że Candy pod wieloma względami była dla mojego laboratorium ważniejsza ode mnie. Zawsze mówiło się „Candy i Victor „. Cała uczelnia przyjęła tę nagrodę niezwykle ciepło. Podchodzili do nas ludzie, których w ogóle nie znałem, gratulowali i cieszyli się razem z nami. Wtedy uświadomiłem sobie, jak bardzo ludzie potrzebują świętować naukę. Kiedy pojawia się okazja, naprawdę się nią ekscytują. Koledzy z kliniki opowiadali mi, że słyszeli pielęgniarki mówiące o „naszej Nagrodzie Nobla". Czy to nie wspaniałe? ●

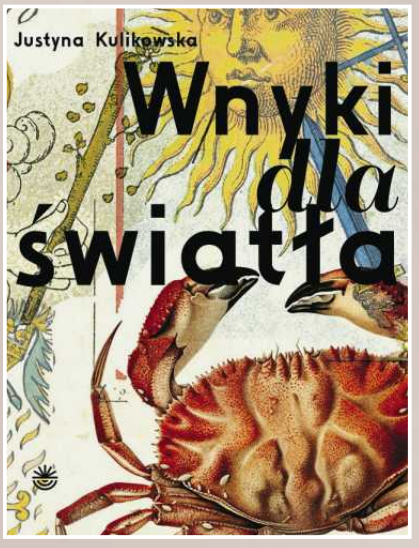
eprasa.pl 7e1750f966

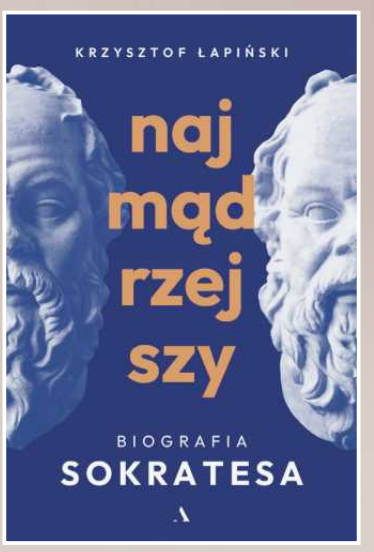
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

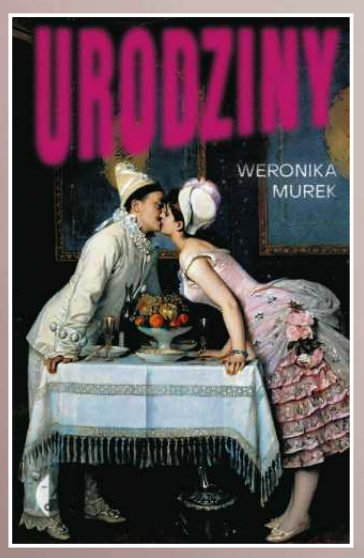
Plebiscyt Nike Czytelników

30 lat Nike
Nagroda Literacka

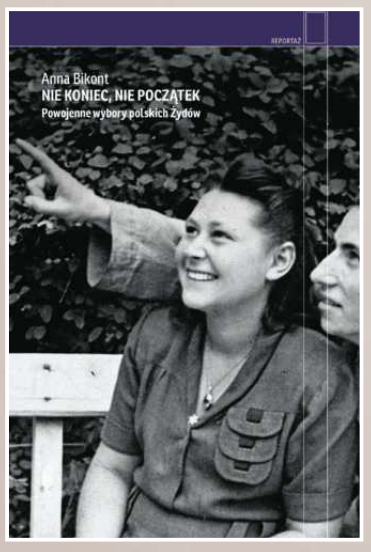


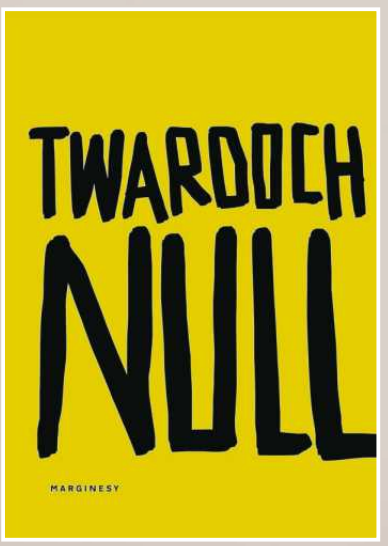












Na Wasze głosy i recenzje czekamy już tylko do niedzieli, 27 września.

Do zdobycia nagroda pieniężna o wartości 10 000 zł.

Zagłosuj na: wyborcza.pl/plebiscytnike

REKLAMA

MECENASI STRATEGICZNI: ROBERT DOBRZYCKI foundation, PANATTONI

MECENASI: ORLEN, KRUK

PARTNER GŁÓWNY
FUNDATOR NAGRODY PLEBISCYTU: TOTALIZATOR SPORTOWY, 7 LAT

WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP

eprasa.pl 7e1750f966

Kulturalne weekendy

PRZEPIS NA MUZEUM

Talerz wydobyty z gruzów, zapach pasty do podłóg, plastikowa konewka, a nawet ciemność. Z czego składa się Muzeum Warszawy?

Emilia Dłużewska

• **Wystawę „90/90. Dookoła muzeum”** przygotowały Agnieszka Dąbrowska, Monika Siwińska i Aleksandra Sołtan. Muzeum Warszawy zaprasza do 1 lutego 2027. Oprowadzania kuratorskie w urodzinowy weekend: w sobotę 26 września o godz. 12 i w niedzielę 27 września o godz. 15. Szczegóły na stronie muzeum.

Słoik jest przysadzisty, wykonany z ciemnego szkła i pusty – przynajmniej na pozór. Sedno kryje się w szklanym korku. Kiedy przytykam go do nosa, czuję specyficzny zapach: intensywny, ale przyjemny. Pachnie trochę czystością, trochę miodem, a trochę czymś, czego nie umiem nazwać. To zapach muzeum.

Konkretniej: pasty do podłóg, służącej do konserwacji drewnianych parkietów. A tych w Muzeum Warszawy nie brakuje. Tylko główna część, mieszcząca się przy Rynku Starego Miasta, zajmuje 11 połączonych ze sobą. kamienic. Do tego dochodzi 8 oddziałów ulokowanych w różnych częściach miasta.

Dziś pasty z pszczelim woskiem używa się coraz rzadziej, zastąpiły ją nowocześniejsze i łatwiejsze w użyciu produkty. Ale zapach powrócił do muzeum jako część wystawy 90/90.

Dotknąć, powąchać, pogłaskać

Z okazji swoich 90. urodzin zespół Muzeum Warszawy wybrał 90 rzeczy, miejsc, doświadczeń i stworzeń związanych ze swoim codziennym funkcjonowaniem. To nie lista eksponatów, raczej coś w rodzaju przepisu na muzeum. – Chcemy pytać o to, czym Muzeum Warszawy jest i czym może być w przyszłości – tłumaczy Agnieszka Dąbrowska, jedna z trzech kuratorek wystawy.

Jak każdy przepis, 90/90 zawiera składniki konieczne, bez których codzienne funkcjonowanie muzeum byłoby niemożliwe; takie, które można by zastąpić innymi i takie, bez których można by się obejść, ale końcowy efekt będzie o wiele mniej przyjemny.

W tej ostatniej kategorii honorowe miejsce zajmują muzealne pieski: „Chałka czuwa nad sprawami umów, a Myszek nad przebiegiem montaży. Luna z DOW-u i Bongo z Działu Badań testują, jak wygodne są dywany i podłogi ekspozycyjne, a Rosa na co dzień pracująca w Laboratorium Miasta odpowiada za program towarzyszący” – wylicza opisie Aleksandra Złotowska z Działu Organizacji Wystaw, która zasugerowała, by czworonożni współpracownicy muzealników znaleźli się na liście. W Galerii Portretów gości witają ich kartonowe podobizny, ale co szczęśliwsi zwiedzający mogą natknąć się na nie również na żywo.

Swoje typy do 90/90 mógł zgłosić każdy członek zespołu muzeum, indywidualnie lub razem ze współpracownikami. I tak zapach pasty do podłóg zgłosił Dział Administracyjno-Serwisowy w składzie: Jolanta Doroś, Jolanta Głaszczka, Ewa Kaczmarczyk, Anna Koźniewska, Wioletta Kurowska, Wanda Ludwiczak, Teresa Mac, Ewa Matej, Maria Ruszczak, Sylwia Rybarczyk i Agata Woronowicz.

Co zgłaszali inni? Ewelina Więcek-Bonowska z Działu Badań nad Historią Warszawy i Zbiorami wybrała niwelator z łatą. To przyrządy używane na budowie, ale i podczas prac archeologicznych – pozwalają odmierzać głębokość kolejnych odsłanianych warstw.

Zespół pracowni plastycznej Działu Organizacji Wystawy wytypował z kolei „niezbędnik montażowy”, czyli zestaw narzędzi i przedmiotów używanych do montażu ekspozycji. Wśród nich honorowe miejsce zajmuje wielka tubka specjalistycznego kleju. – Śmiejemy się, że całe muzeum się na nim trzyma – żartuje kuratorka Monika Siwińska.

Karolina Sawicka, koordynatorka dostępności z Działu Edukacji wybrała kopię stojaka na fajki wykonanego z gliny przez rekonstruktora Krzysztofa Dziewientkowskiego. Przypomina ulepioną niewprawną ręką choinkę albo coś ze współczesnej galerii designu. Oryginał schowany jest w gablocie w Gabinecie Archeologicznym w podziemiach muzeum. Replika pozwala sprawdzić, jak działał: na każdym z glinianych kolców można zawiesić cybuch fajki.

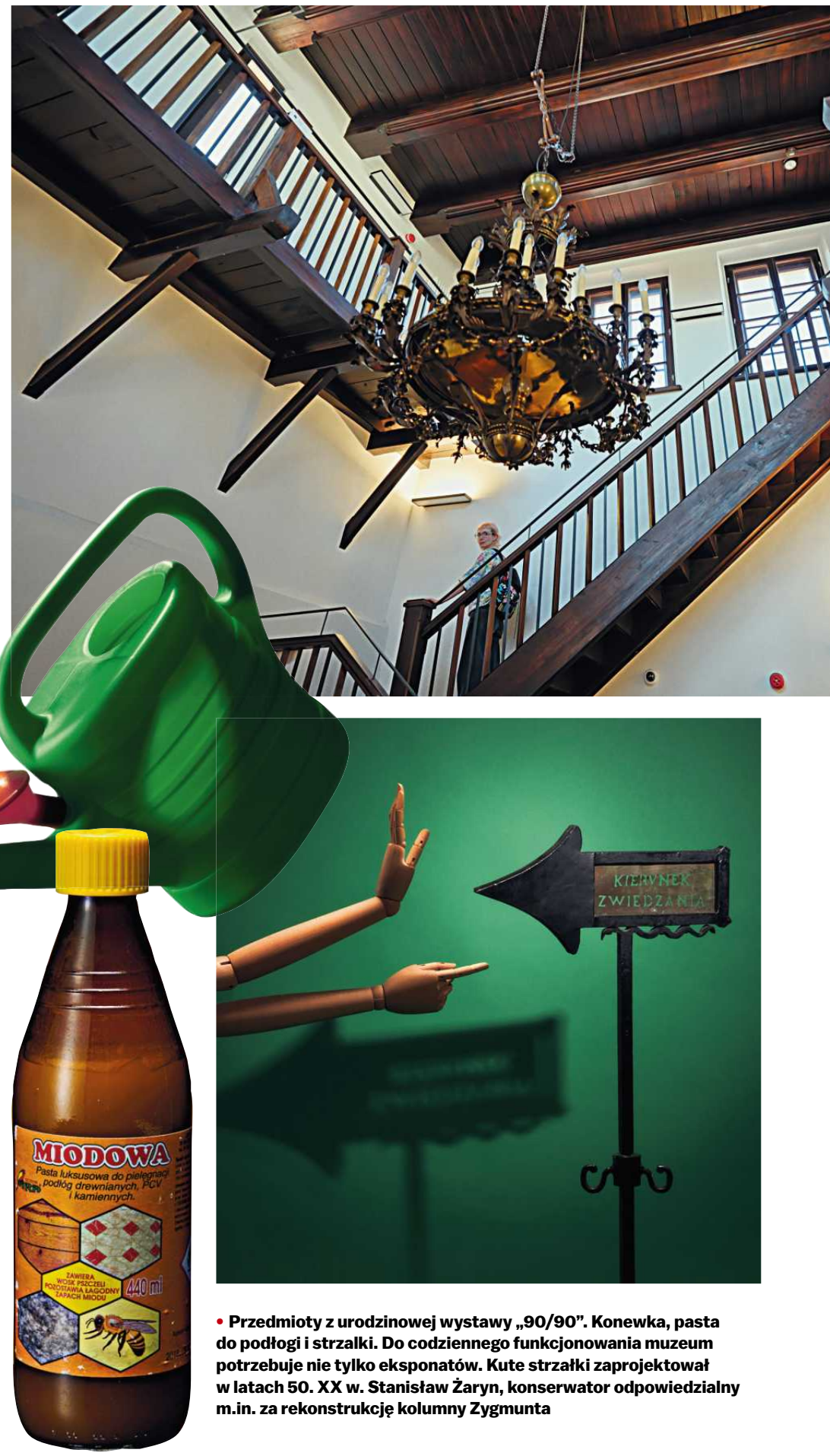
– Nasza wystawa główna zatytułowana jest „Rzeczy warszawskie”. Chcieliśmy, by zwiedzający mogli nie tylko na te rzeczy patrzyć, ale też ich dotknąć. Poczuć ich ciężar, fakturę, temperaturę – tłumaczy Siwińska.

Strzałki Żaryna

Przygodą jest samo przejście przez Muzeum Warszawy. Instytucja zajmuje całą pierzeję Rynku, między kamienicami można poruszać się przez piwnice, dziedzińce czy łączniki na piętrach. Przejście przez poszczególne gabinety jest dość dobrze oznaczone, ale im głębiej w trzewia muzeum wchodzimy, tym trudniej jest nie stracić orientacji. Zastanawiam się, jakim cudem muzealnicy się w tym labiryncie nie gubią.

Zanim zdążę ją o to spytać, dostaję odpowiedź: owszem, oni też się gubią. Przynajmniej na początku. – Jedna z koleżanek przez pół roku chodziła do biura zawsze tą samą drogą, by nie stracić orientacji. Hasło „labirynt” też mogłoby być częścią wystawy – śmieje się Siwińska.

Zamiast tego w przepisie na muzeum znalazły się kute strzałki kierunkowe, wybrane przez Sebastiana Pierścieniaka z Działu Inwentaryzacji i Udostępniania Zbiorów, a zaprojektowane jeszcze w latach 50. XX wieku



• **Przedmioty z urodzinowej wystawy „90/90”. Konewka, pasta do podłogi i strzalki. Do codziennego funkcjonowania muzeum potrzebuje nie tylko eksponatów. Kute strzałki zaprojektował w latach 50. XX w. Stanisław Żaryn, konserwator odpowiedzialny m.in. za rekonstrukcję kolumny Zygmunta**



1 RP

eprasa.pl 7e1750f966



• Schody prowadzą do świetlika, czyli najwyżej położonego punktu muzeum, z którego rozciąga się widok na Rynek Starego Miasta z pomnikiem Warszawskiej Syrenki. A raczej jego kopią – oryginał znajduje się w Muzeum Warszawy

przez Stanisława Żaryna, wybitnego konserwatora zabytków i architekta.

Żaryn zaczął studiować architekturę jeszcze przed wojną, dyplom obronił w 1943 r. na Tajnym Wydziale Politechniki Warszawskiej. W styczniu 1945 r. zaczął pracę jako urzędnik Biura Odbudowy Stolicy. Był autorem projektu rekonstrukcji zniszczonej przez Niemców w '44 kolumny Zygmunta. To właśnie on kierował odbudową tej części rynku, w której dziś mieści się Muzeum Warszawy.

Strzałki Żaryna umieszczone są na wysokich na ponad metr stojakach. Nawiązują do form renesansowych i barokowych, ale wykorzystują arcywarszawski materiał: beton. Wypełniona jest nim kulista podstawa, która zapewnia stojakowi stabilność. I sprawia, że jest piekielnie ciężki. Mimo tego strzałki są praktyczne – górna część obraca się, o ozdobne zawijasy można zaczepić linę. Dzięki temu można modyfikować trasę zwiedzania bez konieczności każdorazowego przenoszenia stojaka.

Skarby wydobyte z gruzów

To nie jedyny składnik 90/90, który przypomina o powojennej historii Muzeum Warszawy. Jednym z najbardziej poruszających elementów wystawy jest potłuczony porcelanowy talerz. Taki obiekt w języku muzealników nazywa się „destruktem". I rzadko pokazuje w gablocie.

W tym wypadku zniszczenie nie jest wadą, lecz sednem opowieści. Muzeum Dawnej Warszawy powstało z inicjatywy członków Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości tuż przed wojną, w 1936 r. Wraz ze zniszczeniem Warszawy straciło niemal całą swoją kolekcję. Zaraz po wojnie lewobrzeżna część miasta była morzem ruin. Piwnice, część sklepień i ścian trzech kamienic, po których chodzimy, ocalały dzięki pracom konserwatorskim, które zaczęły się, gdy zapadła decyzja o utworzeniu tu muzeum. Ale przedwojenne zbiory cennych varsavianów przepadły.

W 1949 r. w tymczasowym inwentarzu Muzeum Warszawy było zaledwie 105 pozycji. Zespół muzeum zaapelował do osób pracujących przy odbudowie miasta, by nie wyrzucali starych naczyń, kafli czy żelastwa, tylko oddawali je do muzeum. Robotnicy i mieszkańcy przynosili na rynek kolejne fragmenty wydobywane z gruzów. Często w strasznym stanie: roztrzaskane, osmalone czy wręcz stopione, tak wysoka była temperatura w płonącym mieście. Pracownicy i pracownice muzeum sortowali stosy skorup, czyścili je i doprowadzali do porządku.

– Te wydobyte z gruzów, zniszczone rzeczy stały się zalążkiem odradzającej się kolekcji. Są dla nas ogromnie ważne, bo mówią nie tylko o zniszczeniach, ale i wysiłku, by muzeum przywrócić – mówi Siwińska. Dziś w zbiorach Muzeum Warszawy jest ponad 32 tys. obiektów, nie licząc archiwalnych dokumentów czy fotografii.

Wystawa 90/90 obejmuje wszystkie filie muzeum: poza częścią przy Rynku Głównym to również m.in. Muzeum Warszawskiej Pragi, Muzeum Woli, Muzeum Farmacji czy Centrum Interpretacji Zabytku. Swoje sekrety muzealnicy zdradzają stopniowo, w trzech odsłonach: obecnie na wystawie można zobaczyć sześćdziesiąt z wytypowanych dziewięćdziesięciu rzeczy.

Cały projekt będzie dostępny od 6 listopada do 1 lutego 2027. ●

Z czego jeszcze składa się muzeum?

Z ciemności

1 Zwykłym zwiedzającym może wydać się naturalna czy oczywista, dla kuratorów i kustoszek jest ważnym narzędziem. Światło i ciemność w muzeum działają na wielu poziomach.

Po pierwsze, dramaturgicznie: dobrze umieszczony reflektor zmienia muzealny eksponat w gwiazdę wystawy. Po drugie, kontemplacyjnie: tam, gdzie potrzeba skupienia, wyciemniona sala pomaga skoncentrować się na rzeczach najważniejszych. Po trzecie, zabezpieczająco: duża część muzealnych zbiorów potrzebuje ciemności, by przetrwać. Światło może uszkodzić lub zniszczyć obraz, tkaninę czy papier. Rodzaj i natężenie oświetlenia w każdej części muzeum zależy więc od decyzji konserwatora. Szczególnie delikatne eksponaty są rotowane: te poddane działaniu światła są chowane w szufladach czy magazynach, a na ich miejsce wchodzą następne.

Taką strategię stosuje nie tylko Muzeum Warszawy. Jeden z najsłynniejszych obrazów świata, „Krzyk" Edwarda Mucha, prezentowany jest w jego muzeum w Olso w ośmiu wersjach, zmieniających się w ciągu dnia, by nie narażać żadnej z prac na zbyt długi kontakt ze światłem.

Z domku dla lalek

2 A właściwie makiety, pokazującej przekrój przez warszawską kamienicę z lat 80. XIX w. Makietę stworzył w połowie zeszłego stulecia rzeźbiarz i grafik Adam Siemaszko, późniejszy kierownik Pracowni Plastycznej w Studiu Miniatur Filmowych w Warszawie.

Odwiedzający mogli ją zobaczyć po raz pierwszy na pierwszej wystawie stałej Muzeum Warszawy, która otworzyła się w 1954 r., kiedy muzeum było na wczesnym etapie odradzania się kolekcji. Przekrój miał ilustrować społeczne rozwarstwienie dawnej stolicy: kolejne piętra miały oddawać warunki życia różnych grup, od gnieżdżących się w suterenie biednych,



• Wydobyć z gruzów, oczyścić i złożyć w całość. Zalążek powojennej kolekcji porcelany stworzyli robotnicy odbudowujący stolicę

przez usytuowany na parterze sklep, mieszczańskie salony na piętrach, po strych wynajmowany studentom.

Nie wszyscy byli zachwyceni – redaktorzy magazynu „Stolica" opublikowali miażdżącą krytykę makiety, wypominając jej historyczne nieścisłości. Dziś „domek dla lalek", jak bywa nieoficjalnie tytułowana, nie jest już częścią wystawy stałej, lecz cieszy oko pracowników w części biurowej. Współczesnym odwiedzającym bardziej, niż z domkiem dla lalek, może kojarzyć się z „Lalką" – to właśnie w takich kamienicach i w takich czasach toczy się akcja powieści Prusa.

Z konewki

3 Zielonej, plastikowej i na oko zupełnie nie muzealnej. Takiego obiektu spodziewamy się raczej w ogródkach działkowych czy na balkonie, niż na wystawie. A jednak konewki są dla codziennego funkcjonowania muzeum równie ważne, co światło i ciemność – bo zabytkowe eksponaty potrzebują również odpowiedniego poziomu wilgotności. Konkretnie: między 35 proc. a 55 proc. okresie grzewczym i między 40 proc. a 60 proc. w okresie letnim.

Zachowanie takiego poziomu jest możliwe dzięki profesjonalnym sprzętom pomiarowym, nawilżaczom i osuszaczom. Ale cały plan sypnąłby się, gdyby nie sześć konewek, z pomocą których Zespół Obsługi Muzeum napełnia nawilżacze – w okresie grzewczym nawet dwa razy dziennie.

Pracownicy muzeum muszą się przy tym trochę nachodzić. Przez specyficzne położenie głównej części Muzeum Warszawy, do wielu pomieszczeń nie da się prosto dojechać windą. Konewki podróżują więc łącznikami, piwnicami i licznymi schodami.

Z analogowej bazy danych

4 Katalogi kartkowe dziś przynależą do tej kategorii, co (również pokazywane w ramach 90/90) muzealne kapcie. Współcześnie muzealnicy posługują się komputerami, dzięki czemu tworzenie i przeszukiwanie katalogów jest o wiele prostsze i mniej czasochłonne.

W czasach, gdy bazy danych istniały tylko w wersji analogowej, każdy z obiektów w muzeum miał przypisane przynajmniej trzy karty: inwentarzową (z numerem), autorską (z nazwiskiem autora, do wyszukiwania alfabetycznie) i naukową, zawierającą dokładny opis i fotografię eksponatu. Wykonane ze sztywnego kartonu, lądowały w specjalnych meblach.

Te, które zachowały się w Muzeum Warszawy, są wyjątkowo wdzięczne. Zgrabna forma to zasługa Stanisława Zamecznika, architekta, plastyka i scenografa, współpracującego m.in. z Oskarem Hansenem i Wojciechem Fangorem. Zamecznik projektował wszystko: od pawilonów po typografię, aranżował wystawy w Zachęcie i polskie stoiska na międzynarodowych targach. A w Muzeum Warszawy między innymi pierwszą wystawę stałą.

Z widoku

5 I jest to widok spektakularny. Ze świetlika na szczycie muzeum rozciąga się widok na dachy Starego Miasta, warszawski skyline z Pałacem Kultury, Stadion Narodowy, a przede wszystkim: na rynek z pomnikiem Syrenki. Z tej wysokości on też wygląda jak makieta.

W muzealnikach bliskość Rynku Starego Miasta budzi różne uczucia: poczucie bliskości z Warszawą i łączności z europejską tradycją; dumę z bycia częścią miasta, które powstało z gruzów; przyjemność z trwania. Ale w codziennym funkcjonowaniu bywa też utrapieniem: zwiedzające Stare Miasto wycieczki z wysokości świetlika wyglądają uroczo, ale na poziomie parteru trudno się przez nie przedrzeć. Ustawiane tu zimą lodowisko jest bardzo malowniczym źródłem ciągłego hałasu, podobnie jak letnie ogródki. No i trzeba się nagimnastykować, by namówić mieszkańców Warszawy do odwiedzin w części miasta kojarzonej głównie z tłumami turystów.

Rozumiem ten opór, ale obiecuję – warto. Nie tylko dla widoku. ●

OGŁOSZENIE Kraj/34452974

Kulturalne WEEKENDY

REKLAMA

ORGANIZATOR wyborcza.pl

PARTNER PROJEKTU: PGE POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA PGE

FOT. JAKUB ZIĘBA, ANNA SULEJ (3), ADRIAN CZECHOWSKI/MUZEUM WARSZAWY, MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 7e1750f966

TWÓJ NOWY SMARTFON NAKARMI SĄSIADA

Pralka rodziców oprała moje dzieciństwo, nastoletniość i część dorosłości. Moja, kupiona 6 lat temu, już poszła do recyklingu.

Kamil Fejfer

Niedawno moja pralka zaczęła śmierdzieć. Była to woń nieco zbliżona do zatęchłych ubrań. Uprzedzam besserwisserów – wyjmowałem pranie chwilę po zakończeniu cyklu i używałem zapachowego płynu do zmiękczania. Zacząłem nabierać podejrzeń, że przykry zapach powodowały trące o siebie zużyte elementy.

Ale to przecież niemożliwe, pralkę kupiłem zaledwie 6 lat wcześniej. Pralka u moich rodziców oprała całe moje dzieciństwo, nastoletniość i pierwsze lata dorosłości.

Wezwany mechanik potwierdził, że miałem rację – uszkodzeniu uległ element mocowana bębna, co rzeczywiście powodowało ocieranie się o sobie ruchomych części. I po problemie.

A nie, wróć. Schody dopiero się zaczynały.

Naprawa byłaby banalnie prosta, gdyby nie dziwaczna konstrukcja urządzenia wymuszająca wymianę połowy bebechów. „Mogę to panu naprawić, ale dorzuci pan kilka stówek i będzie miał pan nową pralkę" – stwierdził mechanik.

Spec zainkasował więc 200 zł za diagnozę, a ja pogodziłem się, że pralka dożyła swoich dni pół dekady po zakupie i zacząłem guglać oferty sklepów AGD.

•

Choć wiem, że to przemyślany lep na mężczyzn, czasem nie mogę się oprzeć przed kliknięciem w kolejny filmik na Instagramie czy YouTube, na którym jakaś wielka terenowa ciężarówka pokonuje niewiarygodnie wręcz trudny teren. Pomijając już fakt, że taki kontent poza chwilowym byciem kontent absolutnie nic mi nie daje, a odbiera cenne sekundy życia, to w sporej części jest to po prostu *AI slop*.

Łapię się na to nie tylko ja. W różnego rodzaju wyżerające mózgi otchłanie wpadamy niemal wszyscy. Trwonimy czas, oglądając badziewie generowane tylko dlatego, żeby ktoś w ten lub inny sposób zmonetyzował naszą uwagę.

Cory Doctorow, popularny kanadyjski pisarz s.f. i dziennikarz technologiczny, nazywa ten proces „enshittification" – „gównowaceniem" albo „gównoizacją". „Korzyść najpierw jest po stronie użytkowników, później przesuwa się w stronę dostawców, następnie przepływa do właścicieli, aż w końcu stają się bezużytecznymi kupami gówna" – pisał w magazynie „Wired" o platformach społecznościowych.

Ten sam mechanizm dotyczy coraz tańszych i coraz tandetniejszych – przy czym bylejakość postępuje szybciej – żarówek, skarpetek i pralek. Więc biorąc na warsztat gównoizację przedmiotów myślałem, że sprawa będzie prosta: istnieje wspólny mianownik pogarszania się jakości drukarek, ubrań i Instagama, a jest nim chciwość korporacji.

Prawda okazała się o wiele bardziej złożona, nieoczywista, a przez to również ciekawsza.

•

W strażackiej remizie w 80-tysięcznym kalifornijskim mieście Livermoore od początku XX wieku non stop świeci pewna żarówka. Zapalono ją w 1901 roku i zgaszono tylko kilka razy, podczas remontów i – o ironio – pożaru. Centennial Bulb została wyprodukowana najprawdopodobniej w latach 90. XIX wieku i 6 czerwca hucznie obchodziła 125 rocznicę świecenia.

Ów fenomen odkrył w latach 70. lokalny dziennikarz Mike Dunstan. Żeby zgłębić jej historię, przepytał najstarszych mieszkańców Livermore. Status najdłużej działającej żarówki został oficjalnie potwierdzony wpisem do księgi rekordów Guinnessa.



• Warszawa, kwiecień 1973. Kobieta z nową pralką Franią stoi w kolejce po taksówkę na ul. Marszałkowskiej. Te pralki były nie do zdarcia

FOT. PAP/ANDRZEJ RYBCZYNSKI

2000

GODZIN

• **Taki czas mogły świecić żarówki w latach 20 XX w. Producenci postanowili skrócić ten czas do 1000 godzin. Dziś żarówki LED wytrzymują nawet 50 000 godzin**

Od niemal 20 lat urządzenie ma nawet swoją stronę internetową, gdzie na żywo można oglądać, jak świeci. Nie jest wielkim zaskoczeniem, że Centennial Bulb przeżyła już kilka kamer. Sama witryna wygląda jak pocieszna pamiątka minionej epoki – wycentrowana, ze zdjęciami w szarych ramkach, nieuporządkowanym tekstem, chaotycznie powpychanymi linkami do podstron. Ale jak to możliwe, że żarówka świeci aż tyle lat?

Są dwie odpowiedzi. Pierwsza jest prostsza, ale wpierw pomówmy o drugiej, bardziej złożonej, bo jest przyczynkiem do rozważań o naturze współczesnego kapitalizmu. Tu dochodzimy do tak zwanego spisku żarówkowego.

Na początku grudnia 1924 roku w Genewie zebrała się grupa biznesmenów związanych z przemysłem elektryfikacyjnym. Na spotkaniu pojawili się reprezentanci takich firm jak Philips, Osram czy menedżerowie związani z podwykonawcami General Electric. Nowo powstałe zrzeszenie Phoebus Cartel lobbowało za rozwiązaniami wspierającymi rozwój rozrastającego się przemysłu oświetlenia elektrycznego.

Jak podaje Mark Krajewski w „IEEE Spectrum", jednym z najważniejszych na świecie magazynów branżowych dla inżynierów i techników, to właśnie dzięki zabiegom kartelu upowszechnił się opatentowany w 1880 roku przez Thomasa Edisona gwint żarówki E27. Jednak ważniejszym celem kartelu było... skrócenie żywotności produkowanych przez siebie towarów.

W latach 20. XX wieku i wcześniej żarówki mogły świecić około 1500-2000 godzin. Firmy mające największy udział w rynku postanowiły skrócić ten czas do około 1000 godzin. Rzecz jasna po to, żeby więcej sprzedawać. Kartel miał nawet swoje laboratoria sprawdzające, czy któraś z firm nie wyłamuje się z porozumienia. Za odstępstwa czekała kara umowna. Organizacja dopięła swojego: w połowie lat 20. średnia żywotność żarówki wynosiła około 1800 godzin, w pierwszej połowie lat 30. już niewiele ponad 1200 godzin. Żarówki zgównowaciały.

Ale jak to? Czy przypadkiem na wolnym rynku nie powinny wygrywać najlepsze i najtrwalsze produkty?

eprasa.pl 7e1750f966

To mylne założenie, oparte na przekonaniu, że wyborów konsumenckich dokonują pragmatycznie kalkulujące jednostki, porównując dobrze sparametryzowane cechy produktów. Tymczasem my, ludzie, takimi jednostkami nie jesteśmy. Nie znamy się na wszystkim, nie mamy w pamięci tysięcy arkuszy kalkulacyjnych i nie analizujemy danych niczym komputery. Firmy mają nad nami przewagę niemal zawsze, wykorzystując mechanizm tak zwanej asymetrii informacji. To one wiedzą najwięcej o swoich produktach, o konsumentach i o tym, jak tuszować wady oferowanych towarów.

Dodajmy do tego pozycję monopolisty lub oligopol, gdy niemal całą sprzedaż opanowało niewielkie grono firm, lub kontrolowanie infrastruktury oraz standardów (gwint E27!) – mamy to, co mamy: klienci mogą wiedzieć, że towary są pośledniej jakości, ale z braku alternatywy kupują to, co jest.

●

Nie macie państwo wrażenia, że 30 lat temu ciuchy były lepszej jakości? Do tej pory mam skórzany kożuch, który mój ojciec zamówił w latach 70. Poza tym, że raz na jakiś czas odpadnie guzik, ubranie po pół wieku wciąż trzyma się naprawdę nieźle. Nadal na specjalne okazje wyciągam T-shirty z końca lat 90.

Według badaczy pod wodzą Hester Vanacker, którzy opublikowali w należącym do stajni „Nature" czasopiśmie „Scientific Reports" artykuł „Understanding garment durability through local lenses: a participatory study with communities across the globe" („Zrozumieć trwałość odzieży z perspektywy lokalności: badanie partycypacyjne z udziałem społeczności na całym świecie") przeciętny Europejczyk wyrzuca rocznie około 11 kilogramów odzieży. Między innymi z powodu ich niskiej trwałości.

Klasycznym przykładem gównoizacji są rajstopy nylonowe. Wprowadziła je firma DuPont pod koniec lat 30. ubiegłego wieku. Okazały się tak trwałe, że rynek po wysyceniu się przestał być zyskowny. Dlatego przedsiębiorstwo postanowiło skrócić żywotność „nylonów", tworząc coraz cieńsze wyroby. Efekt jest znany – lecące oczka po maksymalnie kilkukrotnym użyciu.

Kolejny przykład: drukarki.

Osią głośnego kilka lat temu dokumentu „Spisek żarówkowy" była próba naprawienia takiego urządzenia. Jeden z bohaterów po awarii sprzętu mimo zaleceń serwisantów nie zamierza kupić nowej drukarki i obstaje przy naprawie. Chce przy okazji zrozumieć, dlaczego tak nieskomplikowany przecież sprzęt po pierwsze, tak szybko się psuje, a po drugie, dlaczego jego naprawa kosztuje prawie tyle samo, co kupno nowej drukarki. Okazuje się, że oprogramowanie ma zaszytą komendę, aby urządzenia zgłosiło awarię niedługo po upływie gwarancji. Aby odgównoizować drukarkę, należało dosłownie zhakować jej system. Od tamtej pory historie o drukarkach domagających się wymiany tonera – choć po fakcie stary okazuje się pełen – bo nie mają już fizycznego czujnika zużycia, tylko zadany w oprogramowaniu limit wydruków – stał się tajemnicą poliszynela i standardową anegdotą przytaczaną w artykułach o celowym postarzaniu produktów.

W podcaście Instytutu Spraw Obywatelskich „Czy masz świadomość" dr inż. Adam Ryś z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie przytacza inny przykład. Chodzi mianowicie o konstrukcję niektórych telewizorów, w których kondensatory są umieszczane blisko radiatorów – które odbierają ciepło od innych podzespołów, więc kondensatory były narażone na szybsze zużycie. Nieco inna architektura sprzętu lub zastosowanie trwalszych materiałów wydłużyłyby żywotność urządzenia, ale wtedy sprzedałoby się mniej nowych egzemplarzy.

Co ciekawe, nie ma zbyt wielu badań porównujących trwałość nowoczesnych dóbr z tymi sprzed lat. Parlament Europejski w dość już leciwej analizie, bo z 2016 roku, powołuje się na badanie z Niemiec, które wykazało, że między 2004 i 2012 rokiem odsetek sprzętów, które zostały wymienione z powodu wad technicznych, wzrósł z 3,5 do 8,3 procent.

Proceder ma przyjętą w literaturze i publicystyce nazwę: *planned obsolescence*.

Planowane postarzanie ma kilka oblicz. „Gównowacenie" jest jednym z nich – a jednocześnie, jak to się mówi ostatnio w żargonie korporacyjnym i akademickim, terminem parasolowym, co znaczy, że pod nim również kryje się bardzo wiele różnych zjawisk.

●

Wróćmy do internetu i idiotycznych filmików, które kradną nam czas i niszczą mózgi. Według UrbanDictionary.com gównowacenie w odniesieniu do platform cyfrowych to proces pogarszania jakości usług.

Fazy tego procesu wyglądają następująco: najpierw platformy oferują wysoką jakość, aby przyciągnąć użytkowników.

Następnie ich – naszą – uwagę przekuwają w zasób, który oferują klientom biznesowym.

Na końcu wykorzystują obie grupy, żeby generować zysk dla właścicieli, na przykład akcjonariuszy.

Z czasem na platformach społecznościowych ruch organiczny jest podmieniany na płatne promocje. Jest ich coraz więcej – a przede wszystkim są na górze drabinki postów czy filmików w danej apce.

Ale jako że na Facebooku, Instagramie czy TikToku są wszyscy nasi znajomi, to godzimy się na ten niekorzystny deal. Godzi się na niego również biznes, od małego przedsiębiorcy czy rzemieślnika po wielkie korporacje. Nie ma większego wyboru, ponieważ „socjale" stały się głównym sposobem docierania do klienta.

Tendencja nie odnosi się jedynie do platform społecznościowych – tam po prostu jest najlepiej widoczna, ale dotyka również użytkowników serwisów streamingowych, a nawet portali informacyjnych watowanych artykułami tworzonymi pod SEO, czyli „optymalizujące" tytuły dla algorytmów wyszukiwarek, „socjali" i agentów AI.

●

W definicji Parlamentu Europejskiego planowane postarzanie produktu to „szeroki zakres technik wykorzystywanych przez niektórych producentów w celu skrócenia okresu użytkowania produktów i skłonienia konsumentów do przedwczesnej wymiany w celu dalszej sprzedaży na nasyconych rynkach".

Najbardziej oczywistym sposobem jest tworzenie produktów w taki sposób, żeby nie były przesadnie trwałe.

Kolejna praktyka to takie projektowanie urządzeń, żeby ich naprawa była niemożliwa lub nieopłacalna. Gdyby ożebrowanie, na którym trzyma się bęben, było łatwo demontowalne, za naprawę zapłaciłbym stówkę, albo dwie więcej i sprzęt działałby przez kolejne lata. Ja bym zaoszczędził pieniądze i nie wygenerowałbym elektrośmiecia ważącego kilkadziesiąt kilogramów, w którym przecież większość podzespołów nadal była sprawna. Inny przykład

7

MILIONÓW TON

• **O blisko tyle wzrosła przez 11 lat ilość sprzętu elektronicznego i AGD wprowadzanego na rynek. W 2012 r. na terenie UE było to 7,6 mln ton, w 2023 – 14,4 mln ton**

11

KILOGRAMÓW

• **odzieży wyrzuca rocznie przeciętny Europejczyk**

to łożyska w pralkach lub suszarkach, zatopione w jednym bloku plastiku razem z różnymi czujnikami, przez co awaria jednych lub drugich oznacza wymianę całego elementu, kilkukrotnie droższego niż poszczególne części.

Następny fortel odnosi się do sprzętów takich jak komputery, tablety czy telefony. Chodzi oczywiście o aktualizacje oprogramowania, które powodują, że po paru latach sprzęty zaczynają „mulić".

Jeszcze innym sposobem z tej samej kategorii jest najzwyklejsze zaprzestawanie obsługi niektórych urządzeń – jeżeli mieliście szczęście i wasze pecety lub tablety przetrwały dobrych kilka lat, to wiecie, że coraz trudniej ich używać, ponieważ nie obsługują nowego oprogramowania.

Kolejne sposoby na skracanie żywotności produktu są mniej oczywiste. Chodzi głównie o dwie kategorie: modę – to domena produktów lifestylowych, przedmiotów, w których liczy się estetyka oraz branży modowej. I coś, co w czym celuje branża technologiczna, a co można nazwać „generowaniem ekscytacji nowymi funkcjonalnościami".

Choć każdy z nas będzie się zarzekał, że jest impregnowany na takie błahostki jak trendy, to podświadomie większość z nas i tak podążą za tym, co robią inni ludzie. W końcu jesteśmy istotami społecznymi, których ogromna część funkcjonowania to naśladownictwo.

Samo istnienie mody powoduje skracanie życia produktów. A im jesteśmy zamożniejsi i im bardziej zanurzeni w świecie – czy to realnym, bywając towarzysko, imprezując, czy to internetowym – tym firmy mogą częściej rotować kolekcjami. Wszystko jedno, ubrań czy nowymi edycjami smartfonów lub słuchawek.

Z kolei ekscytacja nowością oznacza pakowanie kolejnych gadżetów do istniejących już kategorii produktów. Zastanówmy się chwilę nad dzisiejszym telefonem i tym z późnych lat 90.

Zadanie tego drugiego ograniczało się do dwóch rzeczy – połączeń głosowych, czyli rozmów, odbierania i wysyłania SMS-ów, z czasem robienia zdjęć. Dzisiaj telefon ma niewiele wspólnego z pierwotną funkcją. Dzwonienie zeszło na daleki plan, dzisiaj to narzędzie do oglądania i tworzenia filmów, czytania, grania, obsługi spraw urzędowych, rozrywki.

Pół biedy, gdyby na tym stanęło: urządzenie osiągnęło formę ostateczną, co kilka lat wchodzi nowy model, ale kto chce, może pozostać przy starym. Lecz nie: kto nie da się co roku skusić na wyższą częstotliwość odświeżania ekranu (choć jest już tak wysoka, że nawet kinoman czy zawodowy gracz nie dostrzeże różnicy) lub dodatkowy, już piąty czy szósty obiektyw (czyżby selfie sprzed kilku lat, robione tylko dwoma, były rozpikslowane jak „Mario Bros" z konsoli Pegasusa?), ten będzie musiał kupić nowy smartfon, gdy współpracy ze starym odmówi po kolejnej zbędnej aktualizacji aplikacja bankowa. Owszem, chiński smartfon za 400 złotych ma nieporównanie lepsze parametry niż flagowe iPhone'y sprzed 10 lat. Ale czy to równoważy przesiadkę producentów z baterii wymiennych na zintegrowane z urządzeniem?

Wszystko to oczywiście ma koszty środowiskowe. Częstsza wymiana pralek, lodówek, drukarek, zmywarek i smartfonów generuje ogromne ilości śmieci. Według Eurostatu w 2012 roku na tylko terenie Unii Europejskiej na rynek trafiło 7,6 mln ton sprzętu elektronicznego. W 2023 już 14,4 mln ton.

●

A jednocześnie: jak zwykle, wszystko już było. Gównowacenie nie jest wymysłem współczesnego systemu gospodarczego.

Wzięty popularyzator nauki Bill Bryson we wciągającej książce „W domu. Krótka historia rzeczy codziennego użytku" opisuje sposoby na gównoizację branży spożywczej w XVIII wiecznej Anglii: doprawianie chleba ałunem, aby wyglądał na droższy, z białej mąki czy dosypywanie kredy i wapna; ślinienie wiśni, żeby błyszczały niczym świeżo zerwane; nacieranie zepsutego mięsa chłonącym zapachy węglem drzewnym.

Gównowacenie było z nami od zawsze, nie jest bowiem cechą specyficzną turbokapitalizmu, tylko wynikiem przykrej ludzkiej przypadłości, którą jest chciwość. To po pierwsze. A po drugie, okazuje się, że planowane postarzanie nie jest dziełem jedynie cynicznych top menedżerów, inwestorów i, jak to się kiedyś mówiło, kapitanów przemysłu. Rozpropagował je człowiek, który chciał dobrze i miał postępowe poglądy.

Stworzenie terminu *planned obsolescence* przypisuje się Bernardowi Londonowi, amerykańskiemu budowlańcowi i pośrednikowi nieruchomości z zacięciem społecznikowskim, który w 1932 roku napisał esej pod tytułem „Ending the Depression Through Planned Obsolescence", czyli „Zakończyć kryzys przez planowane postarzanie produktów".

Stwierdził, że częścią Wielkiego Kryzysu, który trawił niemal cały glob na przełomie lat 20. i 30., była przesadna skłonność do oszczędzania. Nie było w niej nic dziwnego – ludzie tracili majątki, szalała inflacja i bezrobocie, społeczeństwa nauczyły się więc wykorzystywać przedmioty do totalnego zajechania. Ubrania miały łaty na łatach, meble czy radia naprawiano wielokrotnie. „Fabryki, magazyny i sklepy stoją nieczynne i gotowe do produkcji dóbr w nieograniczonych ilościach, ale impuls do ich ruszenia został sparaliżowany przez spadek siły nabywczej" – pisał London. „Obecne problemy zostały wytworzone przez ludzi i lekarstwa na nie muszą być przez ludzi wymyślone i wdrożone". Miał na myśli właśnie planowe postarzanie – tyle że miało się odbywać inaczej niż za pomocą trików zaszytych w produktach.

6

PROCENT

• **O tyle – z 3,5 do 8,5 proc. – wzrósł w latach 2004-12 w Niemczech odsetek sprzętów, które zostały wymienione z powodu wad technicznych**

Towary po pewnym czasie miały być skupowane przez państwo, bo choć cel pośredni był zbieżny z celami producentów i sprzedawców – większą sprzedażą – ostatecznie chodziło o naoliwienie gospodarki: wytworzenie miejsc pracy i wzrost dochodów, a przez to jakości życia ludzi. Pomysł Londona był koncep-

eprasa.pl 7e1750f966

cją w duchu Johna Maynarda Keynesa, jednego z najwybitniejszych ekonomistów wszechczasów, ojca współczesnego interwencjonizmu państwowego.

Planowane postarzanie produktów naprawdę pozytywnie wpływa na gospodarkę. Owszem, środowisko cierpi, eksploatujemy zasoby – ale większy obrót towarów oznacza więcej miejsc pracy. A więcej miejsc pracy oznacza większy dobrobyt. W dodatku to miejsca pracy nie w niskopłatnych usługach, tylko w przemyśle, za którym przecież tęsknią w Europie czy USA wszyscy, od „lewaków" po skrajną prawicę.

Wróćmy do mojej nieszczęsnej pralki, metafory naszych codziennych wyborów konsumenckich. Przecież jeżeli mierzylibyśmy się z kryzysem podobnym do tego z lat 20. ubiegłego wieku, to wolałbym ją naprawić niż kupić nową, nawet jeśli różnica w cenie byłaby niewielka – bo od niej zależałoby, czy pójdę spać głodny.

Rzadziej naprawiamy rzeczy nie tylko dlatego, że to mało opłacalne i stać nas na dorzucenie paru groszy do „nówki". Robimy to również dlatego, że popsucie się sprzętu jest dla nas wymówką, żeby kupić coś nowego, co da nam strzał dopaminy. Adam Ryś zauważa, że obecnie około 30 proc. sprzętów elektronicznych trafiających do recyklingu to w pełni działające urządzenia. Wymieniamy je na nowsze, bo chcemy nowszych funkcji, lepszych ekranów, lepszych aparatów.

Aktywiści powiedzą, że to firmy generują w nas nieistniejące potrzeby. To prawda, z drugiej strony naprawdę podstawowe potrzeby znakomita większość z nas zaspokaja bez trudu, jeśli nie sama, to z pomocą państwa. Na dobrą sprawę cały świat towarów rozwiniętych gospodarek – od odzieży przez kulturę, sport, kulinaria po podróże – to kaprys.

I znów – ma to jasne strony. Jak zauważa holenderski historyk i filozof Rutger Bregman w książce „Utopia dla realistów" z perspektywy naszych pradziadów egzystujemy w świecie ziszczonej utopii.

Nasze narzekanie na „złe korporacje sprzedające nam rzeczy, których nie potrzebujemy", jest w dużej części zrzuceniem odpowiedzialności. Sami pragniemy tych rzeczy. Mało tego, przecież często w tych firmach pracujemy. Zarabiamy w nich pieniądze, żeby spłacić raty kredytu i zarobić na nowe smartwatche. Korporacje to my. Siedzimy w tym wszyscy po uszy – i jest nam wygodnie.

●

Obiecałem techniczne wyjaśnienie długowieczności Centennial Bulb.

Po pierwsze – niemal nigdy nie była wyłączana, a to właśnie zmiany temperatury powodowały największe uszkodzenia żarówek.

Po drugie – zastosowano w niej trwały żarnik węglowy. Późniejsze modele miały żarniki wolframowe.

Planowane postarzanie produktów naprawdę pozytywnie wpływa na gospodarkę. Owszem, środowisko cierpi, eksploatujemy zasoby – ale większy obrót towarów oznacza więcej miejsc pracy. A oznacza większy dobrobyt. W dodatku to miejsca pracy nie w niskopłatnych usługach, tylko w przemyśle

Dlaczego więc nastąpiła zmiana technologiczna? Czy to część spisku? Żarniki wolframowe dawały znacznie jaśniejsze światło przy znacznie niższym poborze energii. W technologii jak w życiu, zawsze jest coś za coś.

Po trzecie – obecnie żarówka w kalifornijskiej remizie działa przy 4 watach. Wyjściowo jej moc była znacznie wyższa, teraz jednak postawiono na długie trwanie. Daje więc bardzo liche światło. Mogłaby dawać lepsze – ale wtedy raczej nie dobiłaby do kolejnego rekordu. Gdyż eksperci szacują, że w obecnych warunkach może pociągnąć kolejne kilkadziesiąt lat.

Być może bladożółtawe promienie Centennial Bulb rozświetlą XXII wiek. Dwieście lat, żarówko! Ale z ręką na sercu, czy kupilibyście ją i używali na takich warunkach, kiedy przepali się wam ledówka?

Właśnie, LED. Phoebus Cartel chciał ograniczyć żywotność żarówek z 2000 do 1000 godzin, tymczasem dzisiejsze żarówki ledowe świecą kilkanaście tysięcy godzin, najlepsze dociągają do 50 000. Świecąc średnio 5 godzin dziennie, taka żarówka przetrwa niemal 30 lat. Mark Krajewski tak podsumowuje w „IEEE Spectrum" trwałość ledowych źródeł światła: „Przy normalnym użytkowaniu żarówki te będą działać tak długo, że ich właściciele prawdopodobnie sprzedadzą dom, zanim będą musieli je wymienić". Rzeczywiście, nie przypominam sobie, żeby choć raz w życiu przepaliła mi się ledówka.

Mówiłem o „wiecznym" kożuchu mojego ojca. Tylko że tego typu ubrań nie można w żaden sposób porównać z dzisiejszymi T-shirtami. Tata wydał na niego mniej więcej równowartość swojej pensji. Dzisiejsze ciuchy za równowartość średniej krajowej – a więc szyte jak kiedyś, z trwałych, wysokiej jakości materiałów, solidnymi nićmi – też raczej przetrwają do 2070 roku, czyli blisko pół wieku, jak mój kożuch. Ale kto tyle wydaje na ubrania?

Otóż to. Moi rodzice, choć żyli w czasach znacznie mniej jednorazowych, również na co dzień nie ubierali się u krawca, tylko w niedrogą, masowo produkowaną odzież na każdą kieszeń. Też kupowali i wyrzucali podkoszulki. Jasne, że mieli ich mniej niż my dzisiaj w swoich szafach. Ale nie tylko dlatego, że były znacznie trwalsze (swoją drogą, trudno znaleźć badania, które porównywałyby ze sobą jakość „uśrednionych" ubrań z lat 80., 90., tych z początku lat dwutysięcznych oraz współczesnych). Przypomnę, że w latach 80. mieliśmy do czynienia ze skrajnie niewydolną, centralnie sterowaną gospodarką niedoboru, a zachodnie ciuchy w prywatnych „butikach" czy Peweksach były potwornie drogie. A po transformacji ustrojowej i nastaniu wczesnego kapitalizmu z jego niepewnością jutra shopping nie był na pierwszym miejscu listy priorytetów.

Innymi słowy, kiedyś mieliśmy znacznie, znacznie mniej ubrań – i innych przedmiotów – bo mieliśmy niższe dochody, a kupno spodni czy butów, było o wiele większym finansowym wyzwaniem niż dzisiaj. Nie mówiąc o wymianie, gdy się ktoś już go dochrapał, discmana czy magnetowidu na nowy po dwóch latach.

Ze wzrostem dochodów wydatki na gadżety zaczęliśmy traktować lżej – a dystrybutorzy o tym wiedzą, więc nie muszą dbać o jakość, ważne, żeby fasony były jak najmodniejsze. Mniejsza trwałość jest więc swego rodzaju inflacją, na którą się godzimy w zamian za gonienie za modą.

A badacze kierownictwem Hester Vanacker wprowadzają interesujące rozróżnienie na „trwałość wewnętrzną" oraz „trwałość zewnętrzną" ubrań. Nawet świetnie zaprojektowane i wykonane z dobrych materiałów (trwałość wewnętrzna) ciuchy rotują szybko, jeśli ulegamy modom (trwałość zewnętrzna). Pozbywamy się ubrań w dobrym stanie, tylko dlatego, że chcemy wyglądać bardziej na czasie.

Ten sam mechanizm dotyczy telefonów, sprzętu sportowego czy tych sprzętów domowych i AGD, które są jednocześnie elementami wystroju wnętrza. Tak więc przynajmniej część wrażenia gównowacenia produktów wynika właśnie z... wrażenia. Tego, jakie chcemy wywrzeć na innych i na sobie.

●

No a poza tym, kiedy już wytkniemy kapitalistom pazerność, nieodpowiedzialność i cynizm, przypomnijmy sobie, po co ludzie zakładają firmy i co jest najważniejszym celem działalności przedsiębiorstw.

No właśnie, zysk. Trudno więc oczekiwać, że producenci czy dostawcy cyfrowych usług sami się ograniczą. Od tego jest państwo lub instytucje władzy. A więc regulacje. Zwłaszcza te, które narzuca na nam ta zła Unia Europejska.

Jedną z najważniejszych jest R2R, od Right to Repair, prawo do naprawy, dyrektywa z 2024 roku. „Konsumenci będą mogli oczekiwać od producentów naprawy produktów, które zgodnie z prawem UE nadają się do naprawy z technicznego punktu widzenia" – czytamy na stronach Komisji Europejskiej. Naprawa zostanie przeprowadzona za darmo lub „w rozsądnej cenie"i w „rozsądnym terminie". Producenci będą musieli również zapewnić dostęp do części zamiennych w rozsądnej cenie. Ma to zachęcać konsumentów, by chcieli naprawiać sprzęty elektroniczne – Unia zdaje sobie sprawę, że części napraw unikamy z lenistwa. Poza sprzętami AGD nowe prawo dotyczy również telewizorów, smartfonów i tabletów. Koniec z idiotycznie drogimi naprawami pralek.

Ale nie wszędzie. Polska jak zwykle spóźnia się z wdrożeniem unijnego prawa. Mieliśmy zaimplementować unijne przepisy do końca lipca tego roku, jednak prace nad rozwiązaniami prawnymi wciąż trwają i nie wiadomo, kiedy zostaną ukończone.

Innym prawem, które ma chronić konsumentów, jest dyrektywa EmpCo, od „Empowering Consumers for the green transition", która zakazuje wprowadzania na rynek towarów bez informowania, że zawierają one elementy planowego postarzania.

Przepisy zakazują też nakłaniania konsumentów do aktualizacji oprogramowania, które pogarszają funkcjonowanie urządzeń. To prawo również nie zostało jeszcze przełożone na polski.

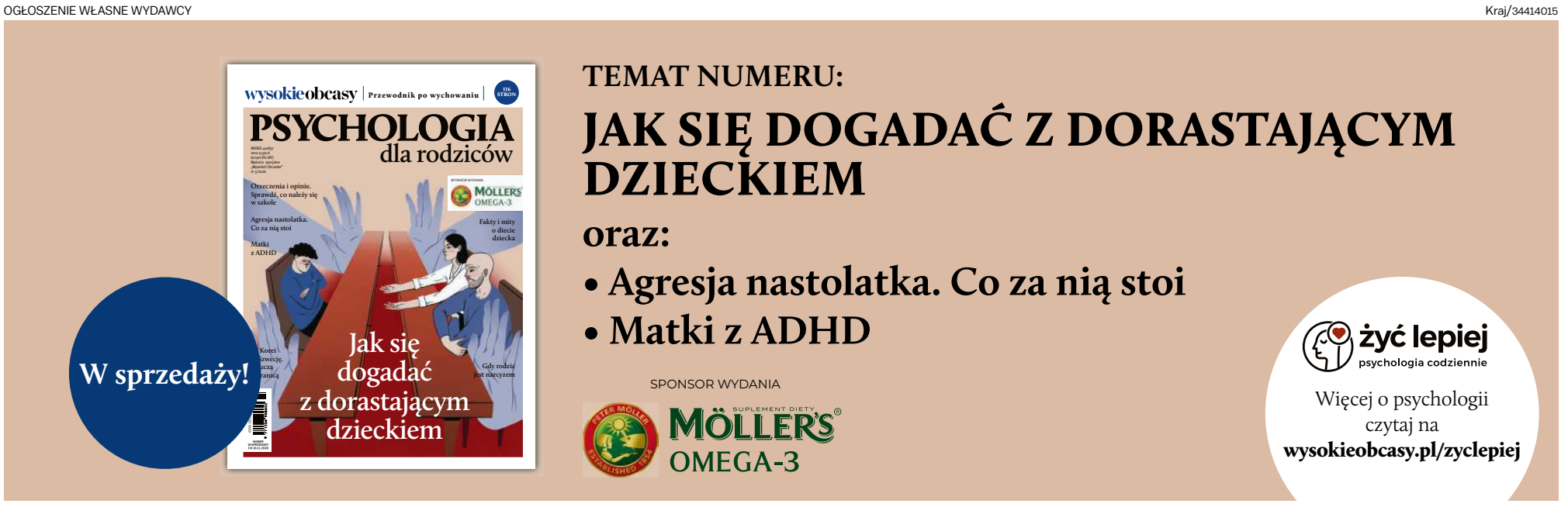
Mało tego, od 2027 roku producenci, wprowadzając na rynek nowe urządzenia, będą musieli stosować wymienne baterie. Unijne Rozporządzenie bateryjne będzie obowiązywać od przyszłego roku również w naszym kraju.

W Europie chyba najbardziej radykalne prawo względem planowego postarzania produktów obowiązuje we Francji, gdzie w 2015 roku *planned obsolescence* zostało uznane za przestępstwo, za które można trafić za kratki za dwa lata. Co prawda z uwagi na problemy z dowodzeniem tego procederu nikt nie poszedł do więzienia – ale to we Francji Apple musiało zapłacić 25 mln euro kary za wdrażanie aktualizacji, która „zamulała" urządzenia.

Tak dochodzimy do gównowacenia internetu. Być może zauważyliście państwo pojawiające się od niedawna na dole reklam informacje, że jakaś ich część została wygenerowana za pomocą sztucznej inteligencji? To efekt obowiązującego od sierpnia unijnego AI Act, który nakazuje twórcom – nie tylko reklam, wszystkim – powiadamiać konsumentów, jeśli część treści wygenerował model językowy.

Jak widać, ostateczną instancją, którą może nas ratować przed gównowaceniem, jest po prostu prawo. Choć niedoskonałe, często nieruchawe, nierzadko pisane pod dyktando lobbystów – koniec końców jednak stara się sprawić, żeby świat był choć trochę lepszy. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414015

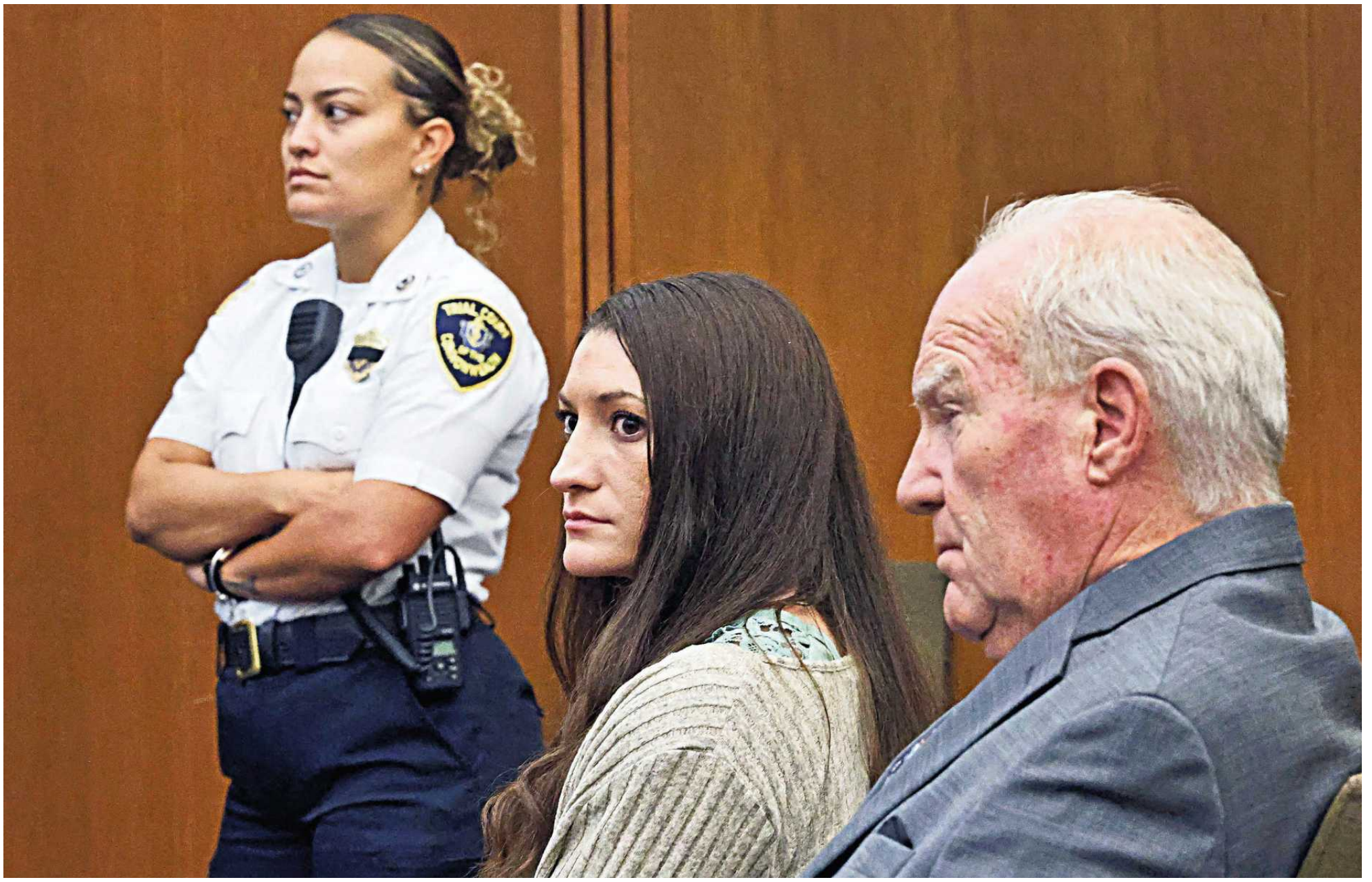


1 RP

eprasa.pl 7e1750f966

MILCZENIE LINDSAY CLANCY

Po męskiej stronie może narastać coś mrocznego **– próba ponownego pilnowania kobiet, ograniczania ich wolności.**



• **Lindsay Clancy, matka oskarżona o zamordowanie trójki swoich dzieci, w sądzie w Plymouth w stanie Massachusetts, 3 września 2026 r.** FOT. GREG DERR/THE PATRIOT LEDGER/POOL VIA REUTERS

Z **WOJCIECHEM KRUCZYŃSKIM,** PSYCHOLOGIEM, ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

Kilkaset kobiet w różowych koszulkach stoi przed sądem w Massachusetts. Na transparentach: „She needed help" („Potrzebowała pomocy"), „Peace for Lindsay" („Pokój dla Lindsay"). Lindsay Clancy przyznała, że udusiła troje swoich dzieci. Co musi się wydarzyć, żeby kobieta spojrzała na matkę, która zabiła dzieci, i pomyślała: „Mogłabym być Lindsay"?

– Ta historia ma tyle warstw, że trzeba znaleźć dla niej jakiś porządek. Zacząłbym od teorii rozwoju moralnego Lawrence'a Kohlberga, amerykańskiego psychologa, kontynuatora idei Jeana Piageta, który badał przede wszystkim nie to, jakie decyzje moralne ludzie podejmują, lecz jak je uzasadniają.

To koncepcja sprzed kilkudziesięciu lat, wielokrotnie później krytykowana, m. in. dlatego, że mogła sugerować hierarchię: jedni ludzie znajdują się na niższym, inni na wyższym poziomie rozwoju moralnego. Mnie bliższe jest inne rozumienie tej teorii: nie jako wspinania się po kolejnych szczeblach, lecz jako stopniowego poszerzania pola widzenia.

Kohlberg wyróżniał trzy stadia rozwoju moralnego: prekonwencjonalne, konwencjonalne i postkonwencjonalne.

Na pierwszym etapie zasada przychodzi do nas z zewnątrz. Dziecko myje zęby, bo każe mu matka, powstrzymuje się przed zrobieniem komuś krzywdy, bo obawia się kary.

Z czasem reguły przestają potrzebować zewnętrznego strażnika. Uwewnętrzniamy je i wiemy, że pewnych rzeczy po prostu się nie robi. Nie rozstrzygamy każdego ranka na nowo, czy wolno kraść, bić albo oszukiwać.

Wreszcie przychodzi moment, w którym potrafimy spojrzeć także na same normy: rozumiemy, że nie są czymś danym raz na zawsze, lecz powstały po to, by porządkować życie wspólnoty. Możemy więc pytać, czemu służą, czy nadal spełniają swoją funkcję, a czasem również je odrzucić. Bez tej zdolności nie byłaby możliwa żadna głęboka zmiana społeczna.

To, co przez stulecia uchodziło za naturalny i nienaruszalny porządek – niewolnictwo czy najbardziej opresyjne formy patriarchatu – mogło się skończyć właśnie dlatego, że człowiek potrafił spojrzeć na obowiązującą normę i zapytać, czy sam fakt, że istnieje od dawna, czyni ją słuszną.

Ale jeśli dojrzałość moralna oznacza także zdolność kwestionowania norm, to gdzie przebiega granica między świadomym odrzuceniem zasady, którą uznajemy za niesłuszną, a prostym odrzuceniem zasady dlatego, że nas ogranicza?

– Tu pojawia się bardzo ciekawy problem. Z zewnątrz trudno czasem odróżnić człowieka, który naprawdę uzyskał dystans do normy, od dziecka, które po prostu wróciło do stanu: „Nie będę tego robił, bo nie chcę". Jeden mówi: „Rozumiem, po co ta zasada powstała, ale widzę, że w tym miejscu trzeba ją zmienić". Drugi mówi: „Przeszkadza mi, więc ją rozmontowuję".

Efekt powierzchownie może być podobny, bo w obu przypadkach ktoś nie podporządkowuje się regule. Tyle że psychologicznie to są kompletnie różne procesy.

Mnie właśnie interesuje, czy wokół tej sprawy mamy do czynienia z czymś twórczym, czyli z próbą lepszego rozumienia odpowie-

eprasa.pl 7e1750f966

dzialności, choroby psychicznej, macierzyństwa, czy raczej z coraz większą przyjemnością z samego rozmontowywania tego, co ogranicza.

Lubimy rozmontowywać?
– O tak! Bo reguły są męczące. Każda reguła jest jakimś ciężarem. Wie o tym ten/ta, kto wraca do domu i zdejmuje z siebie garnitur albo buty na wysokich obcasach i nic nie musi. Z normami jest trochę podobnie.

Rozmontowanie czegoś daje przyjemność, nawet kiedy to, co rozwalamy, jest godne i sprawiedliwe. Problem zaczyna się wtedy, kiedy środek ciężkości przesuwa się z „rozumiem, dlaczego to zmieniam" na „fajnie, że już nie muszę". Wtedy można dojść bardzo daleko.

Widać to mocno w systemie edukacji. Kiedyś było oczywiste, że dziecko idzie do szkoły, siedzi kilka godzin w ławce, musi nauczyć się matematyki, nawet jeśli jej nie lubi, ma prace domowe, musi się podporządkować pewnemu rytmowi i wymaganiom.

Dzisiaj każdą z tych rzeczy można osobno zakwestionować. Dlaczego ma siedzieć w ławce, dlaczego ma mieć prace domowe, dlaczego ma się uczyć czegoś, czego nie chce, dlaczego dzień nauki ma być tak długi? Jest bardzo dużo takich przykładów, w których kierunek jest podobny: żeby nie było aż tak ciężko. Prace domowe zresztą rozmontowano skutecznie.

Obserwuję spór o konie nad Morskim Okiem. Dla ludzi, którzy żyli z końmi i używali ich do pracy, koń był z definicji również zwierzęciem, które ciągnie wóz. Dzisiaj to znaczenie zostaje zakwestionowane. Pojawia się pytanie, czy koń w ogóle powinien pracować dla człowieka, czy samo zaprzęgnięcie go do wozu nie jest już czymś niewłaściwym.

Konflikt robi się bardzo gwałtowny, bo po jednej stronie są miejscowi, dla których pewien sposób życia z tym zwierzęciem był czymś oczywistym, a po drugiej aktywiści, którzy przychodzą z zupełnie innym rozumieniem tego, kim jest koń i co człowiekowi wobec niego wolno.

Ostatnio dostało się także Adamowi Wajrakowi za zdjęcia ze „źle siedzącymi na koniach" Kirgizami.
– Można podobnie spojrzeć na dziki w miastach. Przez lata sprawa była prosta – dzik należy do lasu, człowiek do miasta, więc kiedy dzik pojawia się między blokami, należy go stamtąd usunąć. Dzisiaj można rozmontować także tę oczywistość:

dlaczego właściwie miasto ma należeć wyłącznie do człowieka? Może dzik ma takie samo prawo w nim być, może to człowiek powinien się cofnąć, zabezpieczyć śmietniki, zmienić swoje zachowanie i nauczyć się żyć obok niego.

Tak samo z drzewem. Przez stulecia drzewo było również surowcem. Ścinało się je, żeby zbudować dom, zrobić stół, napalić w piecu, wyprodukować papier. Dzisiaj samo ścięcie drzewa coraz częściej wymaga moralnego uzasadnienia. Można dojść do pytania, czy w ogóle wolno wycinać drzewa na papier, nawet na książki i gazety. Co jest o tyle paradoksalne, że jednocześnie coraz mniej ludzi czyta książki i papierowe gazety. Zmienia się więc samo znaczenie drzewa: z czegoś, z czego człowiek korzystał, staje się czymś, wobec czego korzystanie wymaga usprawiedliwienia.

Różne sprawy, ale mechanizm jest podobny. Coś, co jeszcze niedawno należało do oczywistego porządku świata – przestaje być oczywiste. Każde z tych znaczeń można wyjąć, zakwestionować i rozmontować.
– Można pójść dalej. Skrajnym przykładem takiego rozmontowania znaczeń może być to, co działo się w oblężonym Sarajewie. Są śledztwa w sprawie osób, które miały przyjeżdżać tam z zagranicy i płacić za możliwość strzelania z broni snajperskiej do przypadkowych ludzi na ulicy.

Stworzyła się przestrzeń, w której można było rozmontować najbardziej podstawową





FOT. JOHN TLUMACKI/THE BOSTON GLOBE/ GETTY IMAGES (2)

• Przed sądem w Plymoth, gdzie odbywał się proces Lindsay Clancy, bez przerwy gromadzą się ludzie (zdjęcia z końca sierpnia br.). Jedni, by wesprzeć oskarżoną – to głównie kobiety w różowych t-shirtach z napisami. „She needed help"(„Potrzebowała pomocy") i „Peace for Lindsay" („Pokój dla Lindsay"). Drudzy, by ją potępić. „Kiedyś paliliśmy wiedźmy na stosie" brzmi napis na różowym kartonie, który trzyma mężczyzna.

Kiedy jedyna kobieta w programie Oprah Winfrey mówi: „Uważam, że Lindsay jest morderczynią", Oprah reaguje niemal z niedowierzaniem: „Po tym wszystkim, co dziś usłyszałaś?"

kategorię – że człowiek jest człowiekiem i nie wolno go zabić dla przyjemności. Stawał się celem, właściwie zwierzyną na safari. I jeszcze można było za możliwość zabicia go zapłacić.

W normalnych warunkach nazywałoby się to zabijaniem za pieniądze. Ale wystarczy umieścić go w odpowiedniej narracji: jest wojna, po drugiej stronie jest wróg, sprawa jest słuszna, więc ten sam człowiek może zostać bohaterem. Sam czyn się nie zmienił – nadal bierze pieniądze i strzela do ludzi – zmieniło się znaczenie, które zostało mu nadane. Pojawia się hasło, prawo, słuszna sprawa i można już własną agresję przeżywać zupełnie inaczej.

Dostojewski w „Biesach" opisuje moment, w którym do bardzo tradycyjnej, religijnej Rosji docierają nowe, nihilistyczne idee z Zachodu i zaczynają podważać zastany porządek. Jedni naprawdę w nie wierzą, inni posługują się nimi, żeby zdobyć wpływ na ludzi, ale najciekawsze jest samo pytanie, jak daleko można się posunąć w uwalnianiu człowieka od tego, co dotąd go ograniczało.

Jest postać Kiriłłowa, który próbuje rozmontować nawet lęk przed śmiercią. Uznaje, że tego lęku człowiek został nauczony, a więc powinien umieć się od niego uwolnić. Chce osiągnąć całkowity dystans, ostatecznie dowieść swojej wolności, odbierając sobie życie. Tyle że kiedy przychodzi chwila samobójstwa, okazuje się, że nie jest to intelektualne ćwiczenie.

Jest w tej scenie coś potwornego – człowiek próbuje przekroczyć jedną z najbardziej elementarnych granic, ale jego własna natura nie chce się temu podporządkować. Można uznać, że każda kolejna zakwestionowana norma oznacza większą wolność, ale można też dojść do miejsca, w którym samo rozmontowywanie staje się celem.

Nihilizm w tym znaczeniu mówi: skoro ograniczenia zostały stworzone przez społeczeństwo, to pozbywanie się ich samo w sobie zaczyna być traktowane jako postęp. A przecież nie każda reguła istnieje wyłącznie po to, żeby człowieka uciskać.

Możemy rozmontować niewolnictwo, patriarchalną przemoc czy niesprawiedliwe stosunki pracy i w ich miejsce stworzyć coś lepszego. Problem zaczyna się wtedy, kiedy znika ten drugi etap. Kiedy już nie pytamy, co chcemy zbudować w miejsce starej normy, tylko zakładamy, że im mniej ograniczeń, tym lepiej.

Wtedy społeczeństwo może wejść w proces, w którym kolejne grupy ścigają się o to, kto rozmontuje więcej, a ten, kto zatrzyma się wcześniej, natychmiast zaczyna uchodzić za konserwatystę.

Co w przypadku obrończyń Lindsay Clancy właściwie jest rozmontowywane? Macierzyństwo?
– Odpowiedzialność i zdolność odróżniania własnego przeżycia od rzeczywistości. Człowiek ma emocje, popędy, pojawiają się w nim różne, czasem bardzo gwałtowne myśli, ale ma również aparat poznawczy, który pozwala mu spojrzeć na nie z pewnego dystansu i nie uznać ich od razu za prawdę o świecie.

Można kochać własne dziecko i jednocześnie w pewnych chwilach mieć go serdecznie dosyć. Można być tak wściekłym, że przez głowę przemknie myśl: „uduszę cię". Mówię oczywiście o myśli, o symbolicznym obrazie, nie o zamiarze.

Rodzice doświadczają agresji wobec swoich dzieci i nie ma sensu udawać, że jest inaczej. Dojrzałość nie polega na tym, że takie uczucia nigdy się w nas nie pojawiają, lecz na tym, że potrafimy je rozpoznać i pomieścić, nie myląc ich z rzeczywistością. Czym innym jest bowiem czuć wściekłość i wiedzieć: „jestem teraz wściekły/a", a czym innym uznać, że skoro tak czuję, moje uczucie mówi prawdę o świecie i daje mi prawo, by za nim podążyć.

Dzisiaj bardzo często działa mechanizm, w którym samo odczuwanie czegoś staje się dowodem, że tak właśnie jest. Emocja zaczyna pełnić funkcję źródła wiedzy o rzeczywistości. A przecież zależność może przebiegać dokładnie odwrotnie – najpierw pojawia się myśl, interpretacja, określony sposób widzenia sytuacji, a dopiero za nimi emocja. O tym mówi się znacznie mniej.

Bez dystansu do własnych przeżyć człowiek może zostać przez nie po prostu opanowany. Wtedy ogromną ulgę przynosi wyjaśnienie, które pozwala ten stan nazwać, zdiagnozować, wpisać w określoną kategorię. Otwiera się kanał, którym można spuścić nagromadzone ciśnienie.

Ten kanał to medykalizacja. W przypadku Lindsay Clancy to właśnie język medyczny stał się jednym z głównych sposobów opowiadania o tym, co zrobiła: psychoza poporodowa, choroba, utrata kontaktu z rzeczywistością.
– Choroby psychiczne, psychoza, istnieją, a człowiek może naprawdę stracić kontakt z rzeczywistością, czyli „popaść w szaleństwo". Ale diagnoza nie powinna stawać się usprawiedliwieniem. Medykalizacja bowiem współgra z rozpuszczaniem odpowiedzialności, nawet wtedy, kiedy sama diagnoza jest słuszna.

Co się dzieje, jeśli wszystko zostaje wyjaśnione chorobą? Znika odpowiedzialność. Wraz z nią znika superego – ta freudowska część psychiki, która mówi: są granice, nie

eprasa.pl 7e1750f966

wszystko, co pojawia się w emocjach i popędach, wolno zamienić w działanie.

Wtedy można sobie coraz bardziej „poluzować". Nie trzeba już zmagać się z własną agresją, poczuciem winy czy myślami, które przerażają, bo pojawia się wyjaśnienie: to nie ja, to mój stan. W tym widzę niebezpieczeństwo – diagnoza może być prawdziwa, ale jeśli jednocześnie usuwa z pola widzenia odpowiedzialność, staje się zwolnieniem z braku wewnętrznego hamulca.

To ma dalsze konsekwencje. Jeśli z opowieści o macierzyństwie wyłania się kobieta bezradna wobec własnych emocji, popędów i stanów psychicznych, to feministki powinny bić na alarm. Przez stulecia właśnie w ten sposób uzasadniano, że kobiety są zbyt emocjonalne, nieracjonalne, niezdolne do decydowania o sobie. A jednak tak się nie dzieje. W swoim programie o Lindsay Clancy Oprah Winfrey przez większość czasu mówi o psychozie poporodowej, hormonach, cierpieniu matek, zawodzącym systemie. Kiedy jedyna kobieta w studiu sprzeciwiająca się takiej narracji mówi: „Uważam, że Lindsay jest morderczynią", Oprah reaguje niemal z niedowierzaniem: „Po tym wszystkim, co dziś usłyszałaś?". Uczestniczka spotkania odpowiada, że wierzy w istnienie psychozy poporodowej, ale nie potrafi przestać myśleć o trojgu kolejno duszonych dzieci, a także sprzeciwia się, żeby Lindsay traktować jak maskotkę ruchu feministycznego. A jednak to właśnie ona, a nie zwolenniczki Lindsay, brzmi w tym studiu jak ktoś, kto przekracza moralną granicę.

– Nie da się mówić o tej sprawie bez przyjęcia pewnego sposobu jej rozumienia. Gdyby Oprah Winfrey zaczęła mówić językiem odpowiedzialności, winy, obowiązku czy granic, bardzo szybko zostałaby ustawiona po stronie konserwatywnej. Ba, po prostu zostałaby konserwatystką.

Więc wybiera język, który jest dziś dopuszczalny po jej stronie: język cierpienia, choroby, medykalizacji. Wtedy rzeczywiście pojawia się paradoks. Narracja, która ma być postępowa i emancypacyjna, może prowadzić do bardzo starego obrazu kobiety – istoty kierowanej emocjami, hormonami, nie do końca zdolnej nad sobą panować. To zresztą bardzo cieszy redpillowców.

Mnie bardzo dziwi, jak szybko doszło do tego, że zabójczyni trojga dzieci stała się figurą, wokół której można organizować feministyczną solidarność. Lionel Shriver, amerykańska pisarka i autorka głośnej powieści „Musimy porozmawiać o Kevinie", napisała w „The Spectator" ostrą opinię o sprawie Lindsay Clancy. Przypomina, że kiedy dwadzieścia lat temu pisała powieść o „macierzyńskiej ambiwalencji", uważała samo dopuszczenie jej do głosu za wyzwalające: matka może kochać dziecko i czasami go nie lubić, opieka może być nużąca, bezgraniczne oddanie nie musi przychodzić automatycznie. Dziś twierdzi: od „macierzyńskiej ambiwalencji" doszliśmy do „macierzyńskiej deprawacji".

– Dlatego zacząłem rozmowę o tej sprawie od teorii rozwoju moralnego. Nie po to, żeby powiedzieć: te kobiety są amoralne albo złe, tylko żeby zobaczyć proces. Oczywiście, że można było – zresztą słusznie – rozmontować fałszywy obraz matki, która wszystko znosi z uśmiechem, nigdy się nie złości, nigdy niczego nie żałuje. To było potrzebne. Ale po rozmontowaniu tego dobrze jest coś w to miejsce włożyć. A jeśli zostaje tylko: „moje emocje są prawdziwe i mają prawo być takie, jakie są" – robi się... za mało. Bo co to może oznaczać? Że matki mają prawo zabijać swoje dzieci?

W całej tej dyskusji bardzo charakterystyczne jest szukanie odpowiedzialnego. Jeśli nie ona, to kto? Mąż, lekarze, system, leki, patriarchat. Ten haczyk natychmiast gdzieś wskakuje. Odpowiedzialność nie znika, tylko jest przenoszona. I oczywiście czasami słusznie, bo ludzie żyją w systemach, są przez innych krzywdzeni, lekarz może popełnić błąd, partner może zawieść. Ale jeśli wszystko zaczynamy wyjaśniać przez zewnętrzne przyczyny, to sam człowiek coraz bardziej znika jako podmiot.

Dzieci zresztą też znikają. To jest chyba najbardziej uderzające.

Wokół Lindsay mamy mnóstwo opowieści o jej cierpieniu, o tym, co jej zrobiono, czego jej nie zapewniono, kto jej nie usłyszał. A dzieci robią się coraz mniej obecne.

To jest psychologicznie zrozumiałe, bo im więcej jest emocji skierowanych w jedną stronę, tym mniej zostaje miejsca na pomieszczenie czegoś przeciwnego. Procesor jest ograniczony. Im bardziej identyfikuję się z matką, tym trudniej mi jednocześnie zobaczyć dziecko jako odrębny podmiot.

W pewnym momencie, patrząc z perspektywy bardzo przeciążonej matki, można widzieć w dziecku już tylko kłopot, zagrożenie, coś, co powoduje określone emocje. I to jest niebezpieczne. Bo wtedy dziecko nie jest już kimś, kto też coś czuje, tylko elementem emocji matki.

Przypomina mi się w tym kontekście sprawa Ruby Franke. Matka, influencerka, budowała opowieść o wspaniałej rodzinie, a potem wyszło na jaw, że dzieci były dręczone i torturowane. Siedzi w więzieniu. Wokół niej nie powstała wspólnota „I could have been Ruby". Niemniej jednak sharentingowe mamy zaczęły prześcigać się w okrutnych internetowych wyzwaniach upokarzających swoje dzieci. Algorytmy wyciągają zresztą teraz te filmiki z „Egg Crack Challenge", które zaczęły krążyć na TikToku na początku sierpnia 2023 r. Oto matka piecze z dzieckiem ciasto, bierze jajko i zamiast rozbić je o miskę, rozbija mu je o głowę. Dziecko płacze, ona patrzy w kamerę i się śmieje.

– Tak wygląda popęd kontra popęd. Tylko że dziecko ma prawo być popędowe, bo takie się rodzi, natomiast rodzic ma trzydzieści, czterdzieści lat i powinien już umieć coś zrobić z własnymi impulsami, nie zamieniać każdego z nich w działanie.

W internecie są tysiące głupich pomysłów, ale akurat ten się przyjął, więc najwyraźniej musiał trafić w jakąś potrzebę, w tym przypadku upokorzenia małego dziecka.

Potem zaczyna działać tłum, trochę jak na potańcówce – dopóki nikt nie tańczy, wszyscy stoją, ale wystarczy, że wyjdzie jedna osoba, za nią następna i nagle znika skrępowanie, które jeszcze chwilę wcześniej wszystkich powstrzymywało.

Jeżeli wiele osób ma podobne agresywne impulsy wobec dzieci i widzi, że inni pozwalają sobie je ujawnić, pojawia się społeczny dowód słuszności: skoro robi to tak wiele osób, widocznie można. Przestaje mieć znaczenie, co czuje dziecko, bo znika jako ktoś, kto ma własne przeżycia, ból, wstyd, strach. Zostaje czymś, co budzi w dorosłym złość i na czym tę złość można wyładować.

To zresztą nie jest nic nowego. Korczak pisał o tym przed wojną, walcząc z tym, co nazywamy czarną pedagogiką, czyli sposobem myślenia, w którym dziecko nie jest jeszcze traktowane jak pełnoprawny człowiek.

Funkcjonowało przekonanie, że bardzo małe dziecko niczego nie pamięta, a skoro nie zapamięta tego, co mu się wydarzyło, można uznać, że właściwie nic mu się nie stało. W biednych rodzinach zdarzało się, że małe dzieci oddawano za pieniądze ludziom, którzy je wykorzystywali seksualnie, właśnie z takim usprawiedliwieniem: ono i tak nie będzie tego pamiętać.

To jest ten sam mechanizm odmoralnienia – pojawia się jakaś idea, która pozwala dorosłemu przestać widzieć krzywdę, bo łatwiej uznać, że skoro dziecko jej później nie zapamięta, to krzywdy nie było. Korczak próbował odwrócić tę perspektywę. Cała jego praca z dziećmi opierała się na tym, żeby traktować je jak ludzi i od początku uznawać za podmioty, a więc nie czekać, aż dorosną, zaczną rozumieć świat albo będą potrafiły opowiedzieć, co im zrobiono.

Widać w tych internetowych wyzwaniach powrót starego sposobu myślenia – ważne jest to, co przeżywa dorosły, jego zabawa, jego impuls, reakcja ludzi po drugiej stronie ekranu, natomiast przeżycie dziecka schodzi na dalszy plan.

Powiedział pan, że szuka się odpowiedzialnych, także mężczyzn. Oskarża się wprost męża Lindsay o zamordowanie dzieci. Dla mnie ten totalny kryzys macierzyństwa wiąże się jednak z kryzysem w związkach.

– Myślę, że druga osoba jest potrzebna również po to, żeby można było przy niej przeżyć to, co trudne, wypłakać się, powiedzieć rzeczy, których nie powiedziałoby się nikomu innemu. Ale też po to, żeby nie zostać samemu ze swoją irracjonalnością. Ja to nazywam szczególnym rodzajem wsparcia w związku.

Wsparcie nie polega tylko na tym, że ktoś pomoże w obowiązkach, coś zrobi, odciąży. W bliskiej relacji zna się również tę część drugiego człowieka, w której on nie myśli jasno, w której kieruje nim złość, lęk, urażenie czy jakiś impuls.

Tu wracamy do kryzysu związków, a szerzej także do podważania rodziny i tradycji, które w jakiś sposób tę obecność drugiego człowieka utrwalały. Nie chodzi o idealizowanie tradycyjnej rodziny ani o założenie, że sam fakt bycia w związku kogokolwiek przed czymś chroni.

Chodzi o tę bardzo podstawową funkcję drugiej osoby: jest obok ktoś, kto zna człowieka na tyle dobrze, że czasami zamiast przytaknąć, powie po prostu: Nie, stop, to, co teraz myślisz, nie jest rozsądne.

Widzę w tej bezradności wobec macierzyństwa także komponent pokoleniowy. Każde młodsze pokolenie spotyka się z regułami poprzedniego, sprawdza je, część odrzuca, część rozmontowuje, a dopiero później wybiera to, co chce zachować. Tak było zawsze.

Jest jednak także większy proces: społeczeństwa po wielkich kryzysach potrzebują mocnych sensów, kierunku, jakiegoś logosu, natomiast kolejne pokolenia stopniowo te sensy rozbierają. Ten proces jest dziś bardzo zaawansowany.

W pewnym momencie dochodzi jednak do takich elementów rzeczywistości, których całkowicie rozmontować się nie da. Odpowiedzialność dorosłego za dziecko jest jednym z nich. Dziecko jest zresztą potężnym zderzeniem z rzeczywistością, ponieważ przed jego pojawieniem się można zbudować najróżniejsze wyobrażenia: że będzie kimś do kochania i przytulania, że odwzajemni miłość, że coś wniesie, coś da.

Potem pojawia się małe stworzenie, którego te wyobrażenia zupełnie nie interesują, bo ono po prostu czegoś potrzebuje i mówi: „dawaj", a kiedy tego nie dostaje, robi awanturę. Nagle okazuje się, że kierunek jest odwrotny – to nie dziecko ma zaspokajać potrzeby dorosłego, tylko dorosły ma zaspokajać potrzeby dziecka.

Jedna z analiz nazywa reakcję grupy kobiet na Lindsay „boundary-blurring empathy" – empatią, która zaciera granice.

– Lindsay jest zresztą w tej historii niezwykle wygodną figurą. Bo ona właściwie milczy. Nic nie mówi. Trochę jak psychoanalityk w klasycznej psychoanalizie, pełni rolę neutralnego ekranu. Im mniej ktoś mówi, tym więcej można w niego włożyć swoich emocji i przemyśleń.

Gdyby Lindsay siedziała naprzeciwko i cały czas mówiła: „Nie, to nie było tak, źle mnie rozumiesz, nie miałam takich motywów", wtedy pojawiłaby się granica. A tutaj tej granicy nie ma.

Lindsay przez swoje milczenie staje się kimś, kogo można wypełnić własnym doświadczeniem. Jedna kobieta włoży tam swoje poczucie opuszczenia przez męża, druga – swoją depresję, trzecia – gniew na lekarzy, czwarta – wstyd związany z tym, że czasem nie znosiła własnego dziecka. Nie bardzo wiadomo, czy one mówią o Lindsay, czy o sobie.

Do tego dochodzi grupa. Jeżeli robi się z tego rytuał społeczny – te same koszulki, hasła, wspólne gesty – pojawia się coś w rodzaju haju. Człowiek chce wierzyć, że to, co robi, jest słuszne. Grupa zaczyna zdejmować hamulec.

Ludzie dużo mówią, powtarzają te same hasła, ale samo mówienie jeszcze nie znaczy, że człowiek myśli. Czasem jest to po prostu najłatwiejszy sposób przetwarzania emocji w dźwięk. Potem ktoś to powtarza, media robią swoją robotę i wytwarza się język, który już sam siebie niesie. Człowiek powie: „Walczę o prawa kobiet, o zdrowie psychiczne, o sprawiedliwość". I naprawdę będzie w to wierzył.

Freud mówił o id, ego i superego. W uproszczeniu: popędy, część poznawcza, która orientuje się w rzeczywistości, i normy. Dojrzały człowiek potrafi między nimi negocjować. Wie, czego chce i co czuje, ale wie również, że nie za każdym impulsem może pójść.

Kiedy jednak emocje stają się bardzo silne, coraz trudniej zachować ten dystans. Widać to choćby w road rage. Kierowca jest wściekły i najchętniej by komuś przyłożył, ale nie powie sobie: „Chcę go stłuc, bo jestem wściekły". Powie: „Bronię przepisów, on je złamał". Najpierw jest więc wściekłość, a potem pojawia się uzasadnienie, które pozwala powiedzieć: mam prawo tak się zachować.

Co pozostanie po rozmontowaniu?

– Niestety, to jeden z pomysłów, którego już się nie da zweryfikować, bo nie będzie komu. Stara koncepcja Rousseau, idea szlachetnego dzikusa. Przekonanie, że jeśli uda się rozmontować wszystko, co zostało człowiekowi narzucone przez kulturę i społeczeństwo, to pod spodem znajdzie się coś naturalnego, prawdziwego i dobrego.

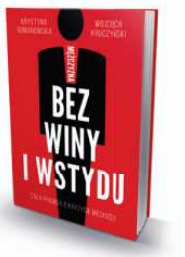
Tylko że taki proces nie bardzo ma punkt zatrzymania. Jeżeli jedynym kierunkiem jest rozmontowywanie, grupa, która tego dokonuje, w pewnym momencie sama zaczyna się dzielić na tych, którzy rozmontowują mniej, i tych, którzy rozmontowują bardziej. Mechanizm zaczyna napędzać sam siebie.

Na początku września 2026 r. w Illinois 40-letnia Corie Walsh miała zabić swojego dwuletniego syna Barretta, a następnie próbować odebrać sobie życie. Według prokuratury Walsh intensywnie śledziła proces Lindsay Clancy i jeszcze kilka godzin przed śmiercią dziecka dyskutowała o nim z przyjaciółkami na grupowym czacie.

– Jeśli takich przypadków będzie więcej, po drugiej – męskiej – stronie zacznie narastać coś równie mrocznego: próba ponownego pilnowania kobiet, ograniczania ich wolności, przywracania zewnętrznej kontroli tam, gdzie uzna się, że kobiety same nie potrafią stawiać sobie granic.

Jakieś społeczne patrole kontrolujące, czy matki dobrze wywiązują się ze swojej roli? W ten sposób jedno szaleństwo może wywołać drugie: na rozmontowywanie norm odpowiedzią stanie się próba narzucenia ich z zewnątrz. Wtedy rozum może się już między tymi dwiema skrajnościami nie przebić. ●





Wojciech Kruczyński

• Psycholog, terapeuta. Wraz z Krystyną Romanowską jest współautorem książki **„Mężczyzna bez winy i wstydu"**

eprasa.pl 7e1750f966

GDY SERCE STAJE

Chciałam opowiedzieć historię miłosną Nicka i Charliego – chłopak poznaje chłopaka i zakochują się w sobie. **Ale sama też dorosłam.**



FOT. PATCH STUDIO

Z **ALICE OSEMAN,**
AUTORKĄ „HEARTSTOPPERA”
ROZMAWIA **PRZEMEK STAROŃ**

Alice Oseman miała 21 lat, kiedy w 2016 roku zaczęła publikować w internecie komiks „Heartstopper”. Opowiadał o dwóch nastoletnich chłopakach, Nicku i Charliem, których przyjaźń przerodziła się w miłość. Z czasem kameralna historia o pierwszym uczuciu, odkrywaniu własnej seksualności, przyjaźni i zdrowiu psychicznym stała się światowym fenomenem. Seria sprzedała się w ponad 10 mln egzemplarzy w 40 krajach, z czego ponad pół miliona w Polsce.

Netflix zrealizował trzy sezony „Heartstoppera”, a w lipcu tego roku zakończył historię Nicka i Charliego pełnometrażowym filmem „Heartstopper Forever”. Serial stał się jedną z najbardziej rozpoznawalnych współczesnych produkcji opowiadających o dorastaniu osób queerowych.

Oseman przez kolejną dekadę dorastała ze swoimi bohaterami i odbiorcami. Wokół serii powstała ogromna społeczność fanów. W finałowym tomie Oseman oddała im ostatnią stronę – znalazły się na niej imiona i nazwiska fanów podpisujących się pod hasłem „Heartstopper zmienił nas na zawsze”. W polskim wydaniu jest 500 nazwisk.

„Heartstopper” to nie tylko historia miłosna. Oseman opowiada również o dorastaniu, odkrywaniu własnej tożsamości, homofobii i transfobii, zdrowiu psychicznym, zaburzeniach odżywiania oraz znaczeniu wspólnoty i akceptacji. I dlaczego nawet w szczęśliwym związku trzeba pozostać odrębną osobą.

W Wielkiej Brytanii trwa bardzo ostra debata o prawach osób transpłciowych, a w Polsce nadal nie mamy zalegalizowanych związków partnerskich. Czy widzisz, że „Heartstopper” wpływa nie tylko na czytelników, ale także na szerszą debatę społeczną?
Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że odkąd zaczęłam tworzyć „Heartstoppera”, homofobia i transfobia stają się po prostu coraz głośniejsze. Zdecydowanie odczuwam to w Wielkiej Brytanii. Wiem też, że w Polsce i innych miejscach na świecie osoby queerowe nadal każdego dnia doświadczają ogromnej dyskryminacji.

Jestem dumna, że „Heartstopper” dotarł do tak wielu osób i że udało się stworzyć tę radosną, podnoszącą na duchu serię książek i serial, dostępne dla ludzi na całym świecie. Mam nadzieję, że to niektórym pomogło, bo słyszałam od wielu osób, że „Heartstopper” był dla nich czymś w rodzaju koła ratunkowego w trudnych czasach.

Ale „Heartstopper” jest wciąż tylko małym elementem całej układanki. Nie rozwiąże wszystkich problemów. Zresztą książki z serii były zakazywane w różnych krajach i stanach, co pokazuje, jak wiele problemów wciąż istnieje i jak wiele spraw wymaga rozmowy i walki.

Mam nadzieję, że „Heartstopper” połączył ludzi wokół czegoś, co daje im nadzieję i siłę, by dalej walczyć o prawa osób queerowych – niezależnie od tego, czego ta walka dotyczy w danym miejscu na świecie. Mam nadzieję, że będzie lepiej.

Co powiedziałabyś polskim czytelnikom i czytelniczkom, którzy żyją w rzeczywistości, która często ich wyklucza?
– Patrząc na to, o czym opowiada „Heartstopper”, niezwykle ważne jest znalezienie swoich ludzi i otaczanie się osobami, które są przy tobie i cię wspierają. Może to być ktoś z rodziny, komu ufasz – dla Nicka taką osobą jest jego mama, Sarah. Może to być dobra grupa przyjaciół, którzy się o ciebie troszczą i dodają ci sił, tak jak robią to przyjaciele w „Heartstopperze”.

Każdą osobę, która znajduje się w trudnej sytuacji, zachęcałabym do próby zbudowania takiej wspólnoty, nawet jeśli mieliby to być „tylko” znajomi z internetu. Takie społeczności można znaleźć i budować bez względu na to, gdzie się jest. Bardzo ważne jest, żeby nie zostawać z tym samemu ani samej.

To moja rada: znajdź swoich ludzi i dbajcie o siebie nawzajem.

„Heartstopper” powstawał przez dziesięć lat, a wraz z nim dorastali czytelnicy.
– Kiedy zaczynałam tworzyć „Heartstoppera”, nie miałam konkretnego wyobrażenia, kto będzie go czytał, bo tak naprawdę tworzyłam ten komiks dla siebie. To ja byłam jego odbiorczynią. Wiedziałam, że prawdopodobnie spodoba się queerowym nastolatkom, bo opowiada o queerowych nastolatkach. Ale bardzo szybko, kiedy zaczęłam publikować webkomiks, zobaczyłam, że czytają go ludzie w różnym wieku i z bardzo różnymi doświadczeniami. Stało się to szczególnie wyraźne po premierze serialu.

Z czasem coraz lepiej rozumiałam, kim są odbiorcy i odbiorczynie „Heartstoppera”, ale nie sądzę, żeby zmieniło to sposób, w jaki go tworzę. Najważniejszą osobą, o której myślę jako o odbiorcy, jestem ja sama. Staram się tworzyć coś, co sama kocham, bo wiem, że wtedy znajdą się inni, którzy pokochają to równie mocno.

Usłyszałam też wiele pięknych historii od dorosłych. Wracają myślami do własnego nastoletniego życia i czują melancholię, że nie miały doświadczeń podobnych do Nicka i Charliego. Często słyszę to od rodziców, którzy oglądają lub czytają „Heartstoppera” ze swoimi dziećmi. To ich zbliża, zaczynają rozmawiać i dowiadują się więcej o doświadczeniach swojego dziecka.

Jednym z najtrudniejszych wątków serii jest zdrowie psychiczne Charliego – zaburzenia odżywiania i OCD. Nie kończysz jednak jego historii prostym: „wyzdrowiał i wszystko jest dobrze”.
– Od początku wiedziałam, że ważna jest cała jego droga – chciałam pokazać go w najciemniejszym momencie, kiedy przechodzi naprawdę trudny czas związany z zaburzeniami odżywiania i OCD, ale także to, jak z tego wychodzi, w jaki sposób sobie radzi i jakie wsparcie ma wokół siebie.

Jednocześnie ważne było dla mnie pokazanie, że te doświadczenia nadal są w nim są i że nie da się ich po prostu całkowicie wymazać. Być może w pewien sposób będzie się z nimi mierzył przez resztę życia – tak jest w przypadku wielu osób doświadczających chorób psychicznych.

Jednocześnie „Heartstopper” pozostaje optymistyczną opowieścią – bo nawet jeśli pewne trudności nie znikają całkowicie, można dojść do miejsca, w którym jest lepiej. Zwłaszcza kiedy ma się wokół siebie wsparcie i miłość.

Kiedy dziś patrzysz na bohaterki i bohaterów „Heartstoppera”, kto najbardziej cię zaskoczył? Kto zmienił się najbardziej w stosunku do tego, jak wyobrażałaś sobie tę postać na początku?
– Nick i Charlie przeszli ogromną drogę. Charlie na początku był bardzo nieśmiałym, lękliwym chłopakiem, który doświadczył przemocy ze strony rówieśników. Pod koniec historii jest pewny siebie, świadomy własnej wartości i sam pomaga osobom takim, jakim sam kiedyś był. Nick odkrył swoją seksualność i zaczął przepracowywać kwestie związane z życiem rodzinnym, które miały na niego wpływ.

Ale są też dwie postacie, po których nie spodziewałam się aż tak dużej przemiany: Tao i Elle. Początkowo byli bohaterami drugoplanowymi, ale ich historia miłosna podbiła serca wielu osób. Czytelnicy i czytelniczki bardzo się w nią zaangażowali. To zupełnie inny rodzaj miłości niż ta pomiędzy Nickiem i Charliem, więc pisanie jej sprawiło mi mnóstwo frajdy.

1 RP

eprasa.pl 7e1750f966



RYS. ALICE OSEMAN/WYDAWNICTWO JAGUAR, SAMUEL DORE/NETFLIX



• W Polsce wszystkie sześć tomów komiksu „Hearstopper” ukazało się w wydawnictwie Jaguar

• Netflix zrealizował trzy sezony „Heartstoppera” (2022-24), a w lipcu br. r. zakończył historię Nicka i Charliego (Kit Coonor i Joe Locke) filmem „Heartstopper Forever”. Autorką wszystkich scenariuszy jest Alice Oseman.



W finałowym tomie Nick zaczyna pytać: „Kim będę bez Charliego?”. Przez dużą część serii to Charlie wydawał się osobą bardziej potrzebującą wsparcia. Dlaczego teraz właśnie Nick mierzy się z pytaniem o własną tożsamość i niezależność?
– To był nieunikniony etap jego historii. W całej serii życie Nicka pod wieloma względami koncentrowało się wokół Charliego. Odkrywanie własnej seksualności wiązało się z poznaniem Charliego i zakochaniem się w nim. Ale pod powierzchnią zawsze pojawiały się pęknięcia, szczególnie jeśli chodzi o życie rodzinne Nicka. Wiedzieliśmy, że ma trudną relację z ojcem i bratem, a wcześniej nie miałam okazji naprawdę się temu przyjrzeć.

W ostatnim tomie kwestia przyszłości staje się bardzo ważna i uruchamia wszystkie te lęki.

Nick nie wie, kim będzie, kiedy Charliego nie będzie obok, więc zaczyna zadawać sobie pytania o własną tożsamość, przeszłość i wszystko, co go ukształtowało.

Tak przecież wygląda dobra relacja: w różnych momentach życia jedna osoba zmaga się z większymi trudnościami, a druga ją wspiera, i odwrotnie. Nie mogło być tak, że to Charlie zawsze będzie tym, który ma problemy. W szóstym tomie nabrał ogromnej pewności siebie i po bardzo trudnym okresie jest w dobrym miejscu. Wydawało mi się to naturalnym rozwojem historii.

W „Heartstopperze” miłość nie oznacza rezygnacji z własnej autonomii. Zwykle w popkulturze widzimy schemat „pół plus pół równa się jeden”. Ty tę relację przedstawiasz jako „jeden razy jeden równa się jeden”. Czy niezależność Nicka i Charliego stała się jednym z najważniejszych tematów tej historii?
– Bardzo mi się to podoba: jeden razy jeden równa się jeden. Z czasem stało się to dla mnie bardzo ważne, choć zdecydowanie nie myślałam o tym na początku. Kiedy zaczynałam tworzyć „Heartstoppera”, chciałam po prostu opowiedzieć historię miłosną Nicka i Charliego – chłopak poznaje chłopaka i zakochują się w sobie.

Ale sama też dorosłam. Tworzenie „Heartstoppera” zajęło mi dziesięć lat. W tym czasie przeżyłam całe swoje lata dwudzieste, a teraz mam 31 lat. Stało się dla mnie jasne, że jedną z rzeczy, które tworzą naprawdę dobry, trwały związek, jest to, że każda z osób jest kompletna także sama w sobie. Wie, kim jest, ma własne zainteresowania i cele. Ludzie mogą się wspierać i kochać, ale jednocześnie poradziliby sobie, gdyby nie byli razem 24 godziny na dobę.

Nick i Charlie muszą się tego nauczyć, szczególnie w szóstym tomie, kiedy uświadamiają sobie, że nadejdzie okres, w którym nie będą cały czas razem. Będą studiować w różnych miejscach i muszą móc dobrze funkcjonować również bez drugiej osoby u boku.

Myślę, że zaczynają tę drogę. To właśnie sprawia, że wierzę, iż jako para mają szansę przetrwać.

Chciałam zakończyć historię z poczuciem, że Nick i Charlie sobie poradzą i że mogę wypuścić ich w przyszłość, wiedząc, że wszystko będzie dobrze.

Na koniec: co powiedziałabyś młodszej Alice, która dopiero zaczynała rysować „Heartstoppera” i nie miała pojęcia, dokąd zaprowadzi ją ta historia?
– Powiedziałabym: nadal słuchaj własnego głosu i trzymaj się własnej wizji. Popularność „Heartstoppera” osiągnęła poziom, którego nigdy się nie spodziewałam, a grono odbiorców i odbiorczyń stało się ogromne. To było niesamowite, ale momentami także przytłaczające.

Powiedziałabym więc sobie z tamtego czasu: czasem możesz trochę się od tego wszystkiego odciąć i wrócić do własnej wizji oraz własnych pasji. Najważniejsze jest to, co ty sama chcesz zrobić z tą historią.

eprasa.pl 7e1750f966

POLECA MICHNIK

ADAM



Wrzesień 1939. We wsi sowieckie czołgi. A w środku, w cerkwi, na koniec mszy kapłan śpiewa ostatnią modlitwę. Pan wie, jaką? Za Rzeczpospolitą!

Ksawery Pruszyński *

Opowiadanie (dokończenie)

Ksiądz Ułas

O POLAKACH I UKRAIŃCACH

Tydzień temu, w 1. części opowiadania: Rok 1935. Polskie władze zakazują ukraińskiemu księdzu prawosławnemu Ułasowi Trochimczukowi zorganizować uroczyste obchody 200–lecia parafii w miejscowości Omelne na Kresach RP. Polski dziennikarz, narrator, stara się mu pomóc.

Dla laika w sprawach kresowych historia była zupełnie nie do pojęcia. Tyle obchodów i jubileuszy szastano co roku na prawo i lewo; Polak studiował każdy nowy kalendarz właśnie pod tym kątem widzenia, czy nowy, nadchodzący rok nie przynosi czasem jakiejś trzechsetnej rocznicy urodzin pana Zagłoby, połogu królowej Bony czy śmierci świątobliwego Kadłubka; rok bez rocznic wydawał się z góry smętnym, nieciekawym rokiem; a władze Rzeczypospolitej popierały jeszcze to zapatrzenie swych obywateli w przeszłość.

Dlaczego z Omelnem miało być inaczej, wydawało mi się niezrozumiałe. Ale zbyt wiele pracy i nadziei ten biedny ksiądz włożył w to swoje Omelne, aby mu teraz nie pomóc. Gdzie pop z Omelna nic zrobić nie może, tam dziennikarz z Warszawy coś wskóra. Dwa dni później byłem w Równem.

Ksiądz Ułas czekał raniutko na dworcu, a nim starostwo zaczęło urzędowanie, wyjaśnił mi sprawę przy kawie po wiedeńsku w hotelu „Ermitage". Przez okno widać było, jak po drewnianym chodniku panny Zuzie, kanceliści, a wreszcie sami panowie referenci podążali kolejno ku starostwu.

Ksiądz pokazywał jeden, drugi papierek. Istotnie. Ale przyczyny? Jeden, jedyny akcik mówił: „ze względów ogólnych i bezpieczeństwa". Jakie względy ogólne mogły tu wchodzić w grę? Jakiemu bezpieczeństwu zagrażało święto?

– Czy ksiądz się nie domyśla czego?

Ksiądz Ułas domyślał się. Ale mętnie:

– To, panie, ciągle teraz tak. Coraz gorzej. Żyć nie dają. Ale takich rzeczy to jeszcze nie było. Może rzeczywiście panu się co uda...

W starostwie udało mi się przez pół. Z początku nawet wcale nie. Referent miał piegi i nic nie wiedział. Potem odszedł pokonferować. Potem wrócił i powiedział, że cerkiew jest stara. Może się strop zawalić. Wyjaśniłem mu, że strop był właśnie odnowiony tej zimy, i to pod nadzorem władz konserwatorskich. Ale wtedy okazało się, że Omelne leży w pasie pogranicznym i tam rządzi wojsko. W pasie pogranicznym nie toleruje się żadnych większych zebrań.

Jak to dobrze, że znałem już Omelne. Mogłem wyjaśnić, że leży właśnie o równy kilometr od tego pasa. Nie w jego zasięgu. Wtedy referent zapytał, dlaczego właściwie wdaję się w te sprawy, a kiedy udzielałem mu równie uprzejmej odpowiedzi, wszedł starosta. Wszyscy powstali z miejsc. Starosta zapytał, o co chodzi, i zabrał mnie do gabinetu.

Starosta był to miły, gładki, kulturalny człowiek. Miał na biurku „Wiadomości Literackie" właśnie z moim artykułem wstępnym, pytał o Iwaszkiewicza. Wygłosił długie i dość piękne przemówienie o współpracy narodów Rzeczypospolitej. Napomykał o idei jagiellońskiej, o marszałku, o pochodzie na Kijów, o separatyzmie ukraińskim, o niezrozumieniu.

Wobec tego, że „żona będzie chciała koniecznie pana poznać", prosi na herbatę o szóstej. – Ale, panie starosto, co z Omelnem? – Sprawę Omelna rozważy. Dlaczego mi o to tak chodzi? Ach, tak? A czy ja co piszę o Równem? Nie? Skąd znam tego księdza? No, to pogadamy sobie.

Na herbatce była pani starościna, jej siostra, starosta, ja, ale przede wszystkim był pan pułkownik. Były świeżo upieczone ciastka i stare kawały o Wieniawie, no i wreszcie była sprawa Omelna.

Pytali długo, co, dlaczego i jak, nie mówili nic sami. Wreszcie zabrał głos pułkownik. Przedstawiciel armii stwierdził, że przyczyną wszelkiego zła na Kresach są właśnie ci polscy ziemianie, co tu kiedyś stawiali prawosławne cerkwie w miejsce katolickich kościołów, że lepiej by było o tym zapomnieć, że dziś wojsko odrabia tu tamte grzechy przeszłości. Potem oznajmił, że wojsko na pewne rzeczy nie może pozwolić oraz że dziennikarze niepotrzebnie jeżdżą po prowincji.

Było to długie exposé, ale nie dawało odpowiedzi na pytanie: czy władza uważa obchód rocznicy założenia wiejskiej cerkwi za niezgodny z prawami Rzeczypospolitej? Tak czy nie, i dlaczego.

Starosta był tak słodki jak jego ciastka, ale odesłał mnie do województwa. Tegoż wieczoru jechałem do Łucka. Może w Łucku powiedzą, że dopiero w Warszawie?

Ale w Łucku był w województwie Kazek Połtowicz, stary kolega z Akademickiego Koła Kresowego [w Krakowie]. Miał, rzecz jasna, stosunki.

Kazek też przytył nieco na twarzy przez tych parę lat, zrobił się jakiś wyrozumiały i miarodajny, ale pozostał po dawnemu serdeczny. Był to doświadczony urzędnik. Nie zdziwił się ani temu, że wydano taki zakaz, ani temu, że interweniuję. Obiecał sam wszystko załatwić i uznał moje chodzenie za niepotrzebne. Jeszcze wszystko zepsuję.

Zwiedzałem więc Łuck, łęgi zielone nad Styrem, rozpadliny ogromnego zamku rzucone kształtem podkowy na te łęgi. Wziąłem pokój w hotelu „Savoy" i obejrzałem wystawę ceramiki wołyńskiej.

Wieczorem Kazek przyniósł odpowiedź. Omelne może urządzić obchód, ale wyłącznie w ramach parafii. Nie może przyjechać ani archirej z Równego, ani archimandryta z Poczajowa, co najwyżej sąsiedni prawosławni proboszcze. I, naturalnie, nikt z prasy. I nikt obcy.

– Z prasy będę ja – powiedziałem.

– Ty się nie liczysz.

Obchód był już na karku; dobre więc było i to. Umowa stała. Zgoda. Ale dlaczego, tak dla prywatnej ciekawości,

eprasa.pl 7e1750f966

te wszystkie historie? Dlaczego proboszcz z Omelna, jeśli mu się tak podoba, nie może sobie pozwolić na taki obchód, jaki chce, z biciem w dzwony, archirejem, archimandrytą i prasą? (Co by to była za „prasa": „Diło", „Wołyń" i „Seło" w najlepszym razie). Dlaczego to wszystko?

Kazek Połtowicz był rozumnym, ludzkim człowiekiem, który na te wszystkie sprawy patrzał z pewnego dystansu. Dla niego było ważne nie tyle to, co być powinno, ile to, co być może, a ideałem nie tyle najlepsze dobro, co najmniejsze zło. Siedział w tej całej maszynie, która na Wołyniu była Państwem Polskim, znał zasady jej działania, możliwości jej pracy.

Zaczął mi mówić o Wołyniu, wschodniej prowincji Rzeczypospolitej, co, dlaczego i jak. To, co mówił, były to rzeczy na pozór ogólne i zasadnicze. Przeciwstawienie coraz mniej tu wpływowej władzy cywilnej – województwa, i coraz bardziej wpływowej – Korpusu Ochrony Pogranicza. Coraz bardziej wyblakłych teorii o współpracy „narodów, jakie tu żyją" – i coraz silniej wchodzących w życie poglądów, że „w Państwie Polskim naród polski powinien być jedynym gospodarzem". Począł mi mówić o tym, jak skurczyła się ilość szkół ukraińskich, jak znikły ukraińskie samodzielne kooperatywy.

Tak, dużo się zmieniło na Wołyniu od pierwszych lat Rzeczypospolitej... – I, rozumiesz – mówił – pozostała im tu właściwie jedna rzecz – cerkiew. Cerkiew.

Lampa naftowa na werandzie filowała mocno. Od Styru rechotały bataliony żab.

Kazek Połtowicz mówił dalej bezstronnym głosem referenta. Był to niewątpliwie doskonały urzędnik. Wykonałby każdy rozkaz, jaki by otrzymał, ale zachowałby własne zdanie o jego celowości. Pewno starałby się wykonać rozkaz błędny w taki sposób, aby wyrządzić jak najmniej szkód. Kazek Połtowicz mówił z kolei o tym, czym jest na Wołyniu cerkiew.

W pierwszych latach po wojnie była niczym. Był to stary, tradycjonalistyczny szkielet, pełny popów nieuków i dusigroszów. Był niezwykle słabo związany z ludem, który się tu budził, a mocno z państwem, które stąd odeszło, i z czasem, który tu przeminął. Młode pokolenie wsi radykalizowało po sowiecku albo ukrainizowało jak Lwów, i dla niego szkoły, masłosojuzy i proświty miały wtedy sens znacznie żywszy niż niedzielne obiednie [nabożeństwa] i chóry.

Ale tamto minęło, pozostała cerkiew. W tej zaś cerkwi jest już teraz nowe pokolenie księży prawosławnych, wychowane w Polsce, wykształcone, inne. Nie wszyscy jak nasz Ułas, ale wielu. Ta nowa cerkiew staje się właśnie bastionem rodzimego oporu. Z nią właśnie mnożą się tarcia: Kazek Połtowicz przewidywał, że będą się mnożyć.

Przy tejże lampie naftowej wydobył z kolei, w dyskrecji największej, akta sprawy. Ksiądz Ułas Trochimczuk. Urodzony w 1910. On sam. Państwo Polskie nie na próżno miało urzędników. Papierek po papierku, akt po akcie, meldunek po meldunku, życie księdza parocha z Omelna leżało tu przed nami, posegregowane, wciągnięte do dziennika, opatrzone uwagami na bokach, pospinane w imponującą plikę.

Wiedziano wszystko o księdzu Ułasie. Wiedziano, ile bierze za mszę i jakie pisma prenumeruje, kto go odwiedza i komu co powiedział. Mignęła jakaś niewyraźna, niedolepiona historia miłosna. Teraz podobno nic.

Wstydziłem się, że czytam to wszystko. Wydało mi się naraz, że to ksiądz Ułas leży przed nami na tym stole, w świetle tej naftowej lampy, zupełnie nagi, nieprzyzwoicie obnażony. My patrzymy, a on nas nie widzi i okryć się nie może. Pamiętałem jego wstydliwość i było tym przykrzej.

Ale Kazek nie podzielał tego zakłopotania. Przeciwnie. Wczytywał się, wglądał, medytował jak lekarz dokonujący na zimno oględzin czyjegoś ciała czy pośmiertnej sekcji.

Przede wszystkim rozumiał w tym rzeczy, których ja nie rozumiałem. Był jak kabalarka nachylona nad kartami. Widział to, czego nie widzą inni: odczytywał właściwy sens słów:

– No, nie jest tak źle: sam widzisz: „kontaktów z ruchami politycznymi najpewniej nie posiada". To dobrze. To bardzo dobrze. Bardzo. Tak... Tylko że dalej, widzisz: „Bardzo ostrożny i uważny. Trzyma się ściśle wszystkiego. Niepodatny na prowokację".

– To chyba dobrze?

Kazek skrzywił się:

– Eee, popatrz zresztą sam: „Niewątpliwie wybitna jednostka. Posiada wpływ nieprzeciętny. Także na młodszych".

– Doskonale?

Kazek był coraz mniej zachwycony. Czytał dalej. A raczej pokazywał mi palcem ważniejsze, w jego pojęciu, ustępy tekstu. „Nie da się zastraszyć ani pozyskać konkretnymi korzyściami. Zdolny do dużego uporu".

Gdyby był uległym, kornym popem, niewyzierającym za miedzę, wyduszającym grosiwo z parafian, dano by mu spokój. Ale on samym swym istnieniem płoszył polską władzę i niepokoił

◀ Sowiecka inwazja na Polskę, wrzesień 1939 r. Armia Czerwona na ulicy miasta Raków

FOT. UNIVERSAL IMAGES GROUP VIA GETTY IMAGES

Na tym kończyła się lektura. Mój kabalarz, świadom tych zawiłych spraw, wyciągał z kolei swoje wnioski:

– Widzisz, jest, jak mówiłem. Będą starali się go wykończyć... Słuchaj. Przecież coś możesz w Warszawie? Czy nie mógłbyś go zabrać z Omelna? I w ogóle stąd? Z Wołynia?

Zabrać księdza Ułasa? Z Omelna? Trzeba było nie znać księdza Ułasa, nie czytać jego listów pisanych zimą, jego trosk o arkusze cynkówki, o pozłotę ikonostasu, nie pamiętać jego plebanii na wzgórzu, jego cerkwi dożywającej swych lat dwustu za niespełna tydzień. Kazek musiał naprawdę nie wiedzieć tego wszystkiego, aby móc tak mówić. Wiedziałem dobrze, że nawet gdybym mógł co zrobić, nigdy bym tego nie zaproponował.

Ale Kazek znał za to drugą połowę wołyńskiej prawdy, którą ja dopiero zaczynałem poznawać. Stuknął dłonią po papierach i powiedział:

– Jak chcesz. Ja zawsze zrobię, co tam będę mógł. Ale może być niedobrze. Bardzo niedobrze.

Tu naraz błysło mu coś, jakby sobie przypomniał. Zastanowił się chwilę, zawahał. Zaczął mówić i znowu się zawahał.

– Wiesz co – zagadnął ociągliwie – byłaby jeszcze jedna rzecz...

– Jaka?

– Wiesz... To by może pomogło. To by nawet na pewno pomogło. Mnie by to dało element, rozumiesz, argument do ręki... Już ja bym to potem wygrał, gdzie trzeba. No, to by całkiem zmieniło sytuację.

Pamiętam, odezwały się we mnie ostrzegawcze dzwonki:

– Dobrze, ale co, co takiego?

Wpatrywał się we mnie:

– Ty byś to musiał przeprowadzić z nim. On ciebie posłucha...

– Ale co?

– Widzisz – zaczął Kazek – to nie jest takie bardzo przyjemne. Ale ostatecznie może i szczegół. Tylko drobiazg. Rozumiesz, po mszy jest zawsze taka krótka modlitwa. Nic w niej nie ma. No, nasza zwyczajna modlitwa za Rzeczpospolitą. Więc i oni ją odmawiają w cerkwi. Ale po rusku. Czy tam ukraińsku.

No i teraz jest tendencja i ja to uważam za głupstwo, nowe wymysły tych durniów z KOP–u. Ty wiesz, że oni tu teraz są wszystkim i otóż taki jakiś obmyślił, żeby tę modlitwę mówić odtąd w cerkwi po polsku... W niektórych parafiach to robią. Gdybyś ty jemu zdołał...

Zrozumiałem. Milczałem.

– On by może ciebie jednak posłuchał. A to by mi wiele ułatwiło. Upewniam cię. Spróbuj. No, co myślisz?

Miałem żółć w ustach i długo odpowiedzieć nie mogłem.

– No, co?

– Widzisz, mój drogi – zacząłem wreszcie nieporadnie – to jest tak, że dziękuję ci za to, że chcesz najlepiej. I pewno to byłby dobry pomysł. Ale, rozumiesz, ja właśnie, tak się akurat składa, tego mu radzić nie mogę...

Brwi Kazka podniosły się ze zdziwieniem:

– Dlaczego akurat ty nie możesz? Ty najlepiej! Masz jego zaufanie.

Wikłałem się w szlamie słów:

– To nie to jeszcze nawet, że on... Widzisz, jest jeszcze... jak by powiedzieć... jest jeszcze ta cerkiew... w tym Omelnem... Tę cerkiew... otóż tę cerkiew stawiał taki jeden mój, jak by to powiedzieć, praszczur i dziad. Dawno temu. Stawiał ją, rozumiesz, w akcie erekcyjnym widziałem, dla ludzi „wiry i mowy prawosławnej". Sam jeszcze był tej mowy, a nie był już owej „wiry", ale ją uszanował. Ja, rozumiesz, nie jestem ani ich mowy, ani ich wiary. Ale, rozumiesz, nie mogę...

Słowa grzęzły w milczeniu jak w szlamie, aż ugrzęzły zupełnie. Kazek nie nalegał.

– Rozumiem. No, może inaczej spróbuję. Bo wierz mi, ja bym naprawdę chciał pomóc.

Wkilka dni później odbył się uroczysty jubileusz i muszę powiedzieć, że wtedy dopiero zrozumiałem księdza Ułasa. Nie, nie było to tylko małpowanie jubileuszy krakowskich, naśladownictwo owego świętowania wszelkich okazji, do którego mieliśmy wszyscy taki pociąg.

To nie to, że celebrans był wzruszony, to nie to, że od kadzideł zrobiło się niemal granatowo, od oddechów parno jak w pralni, że ikonostas świecił najzłocistszym ze złót, a chóry – ach, cóż to były za chóry! Mogły były jechać do Paryża i tam zrobić grubą forsę.

Najważniejsze jednak, że to było naprawdę święto. Lokalne, ludowe, narodowe, religijne. Młody Wołyń Omelna, który długo boczył się na cerkiew, do niedawna pełną starych rosyjskich popów, ciemnych, ludowi obcych, zapatrzonych w odeszłą przeszłość, łasych tylko na grosz, ciułających zielone dolarowe papierki, teraz wtłaczał swe życie w ramy owej cerkwi, pod wodzą tego nowego księdza, ich księdza, człowieka ich czasu, ich narodu, ich ziemi i ich pragnień.

Właśnie jeśli nie było już szkoły własnej, jeśli skończyła swój żywot kooperatywa, która zaczęła się tak pięknie, potrzebne było coś – i tym czymś stała się naraz cerkiew. Wszystko zespoliło się w tym jednym.

Ksiądz silnym głosem intonujący głębokie: „Hospodi, pomyłuuuj" – był tu naprawdę pasterzem. Kto chciał tutaj sprawować rząd dusz, musiał jego naprzód obalić.

Zostałem, kiedy odjechali wszyscy. Bo paru ziemian okolicznych przybyło tu także – dziadowie niejednego z nich niejedną tu cerkiew przecież wznieśli. I ze szlachty zaściankowej z okolicy przyjechało dość wielu, choć podobno zżymał się na to ich proboszcz, z Poznańskiego rodem.

Ale kiedy zrobiło się pusto, przeszliśmy się jeszcze z księdzem Ułasem po polu szeroką drogą, która zawsze była pusta i za której krańcem o niewiele mil stąd kończył się wtedy świat. Ksiądz Ułas był zmęczony i wzruszony. Mówił więcej niż zwykle. Był także jakiś bardziej uroczysty, jakby jeszcze nie zwlókł z siebie tych rias i szat kościelnych i szedł tak cały w nich owym pylnym traktem wołyńskim.

Zaczął sam od trudności, jakie były, i powiedział, że dawniej wolał o tym nie mówić, bo sądził, że nie wiedziałem, a nie chciał robić przykrości. Teraz, kiedy już byłem w Łucku, kiedy wiem, to co innego.

Mówił potem o rzeczy, która nosiła gładkie miano „rewindykacji", tak jak inna, o kilkadziesiąt mil na południe stąd, nosiła parę lat temu równie gładkie miano „pacyfikacji".

Mówił – łamanym, powściąganym głosem – jak to z tym naprawdę jest. Mówił, jak poznikały szkoły. Mówił, jak piękne były te kooperatywy i jak poznikały także. Mówił, jak poznikali i ludzie. Mówił, jak jest coraz trudniej. Jak jemu zwłaszcza jest ciężko.

– Bo, widzi pan, najgorsze jest to, że ja byłem u was w Krakowie. Wyście mnie wtedy przyjęli, ot, powiem tak, sercem. I tam było serce. W tej katedrze, gdzie te freski ruskie, było miejsce dla nas. W tym muzeum, gdzie ten Wernyhora, było miejsce dla nas. Tam wszędzie, w tamtej Polsce krakowskiej, co ją poznałem, dawniejszej i waszej, było miejsce dla nas. I ja wiem, że tak byłoby najlepiej, że tak mogłoby być. Ale coraz mniej widzę, aby tak było.

Pan może się dziwił, że ja... tamto święto cerkwi? Dwusetlecie? Oni, tamci, myśleli znowuż, że ja z tego na-

*Ksawery Pruszyński



• 1907–50, prozaik, publicysta, reporter. Był korespondentem z wojny domowej w Hiszpanii. Po kampanii wrześniowej 1939 r. w formacjach polskich na Zachodzie, uczestnik bitew o Narwik (1940) i pod Falaise (1944). Dyplomata rządu polskiego na emigracji. Po wojnie wrócił do Polski, pracował w służbie dyplomatycznej. Zginął w wypadku samochodowym 13 czerwca 1950 r. Autor reportaży, powieści „Droga wiodła przez Narwik", opowiadań (m.in. „Trzynaście opowieści", „Karabela z Meschedu"), publicystyki, esejów historycznych.

• Utwór „Ksiądz Ułas" za: Pruszyński, „Opowiadania", PIW, Warszawa 1998. Pierwszy raz ukazał się w czerwcu 1944 r. w londyńskim miesięczniku emigracyjnym „Nowa Polska".

eprasa.pl 7e1750f966

cjonalnu agitacju? A dla mnie to było przypomnienie, że i tu kiedyś mogło być inaczej. Wasi tu wtedy otwierali cerkwie. Nie zamykali. Ot co jest.

Wiedziałem niestety dobrze, o czym mówi i o kim, kiedy mówił o tym zamykaniu cerkwi. Już się zabrano i do tej roboty.

Szliśmy dalej drogą. Znowu, jak kiedyś, słońce gasło nad lasami. A ksiądz mówił:

– Ot i teraz, pisali do mnie, ludzi nasyłali. Nawet w intencji dobrej. Że ot, żebym ja w czymś ustąpił. Na przykład tę modlitwę po mszy po polsku mówił. Nie po naszemu. Ukraińsku. Ale jakże ja mogłem! Pan sam niech powie, jakżeż ja mogłem? Jakżeż ja mogę?

Miał zasmucone, nieporadne oczy. Nie, nie mógł.

– Nie, nie mógł ksiądz – odrzekłem.

Odetchnął, jakby szukał tego potwierdzenia.

– Ale też nie wiem, jak będzie i jak długo będzie. Narasta nienawiść ta od jednej i od drugiej strony. Krzywda krzywdę rodzi. A mnie ciężko, bom innych Polaków znał niż ci, co tu przyłażą lub po gazetach judzą. I wiem, że inni Polacy są, tak jak nie wszyscy Ukraińcy – nacjonaliści. I czasem sobie mówię, że może dotrwam, aż to tu wszystko inaczej będzie – i lepiej. I może naprawdę dotrwam?

Wrok później, nie, w pełne dwa lata później, stało się to, czego należało oczekiwać. Ksiądz Ułas został usunięty z Omelna. Poszło odpowiednie pismo odpowiednich instancji.

Nie było rady. Został w ogóle usunięty z Wołynia, a także z Kresów. Przyjechał do Warszawy. Nie. Nic przeciw niemu nie miano. Tylko ludzie z pogranicznych wsi do niedawna prawosławnych, teraz nawróconych na katolicyzm, biegali dalej chyłkiem do pobliskiego Omelna.

Ba! Gdyby ksiądz Ułas był uległym, kornym popem, niewyzierającym za miedzę, wyduszającym grosiwo z parafian, gmerającym się w betach z popadią, dano by mu spokój. Ale tak samym swym istnieniem płoszył i niepokoił.

Trzeba było raz jeszcze się odwołać do Kazka. Ten dał nieocenioną radę:

– Teraz tylko ktoś z Dwójki. Musisz tam chyba znać takiego. Ale mur! Major Pytek? Znasz majora Prawdzio-Pytka? Świetnie. O, gdybyś mógł jego…

Major Pytek kręcił się w kołach niewyraźnie–literackich Warszawy. Coś pisał sam, na czymś się podobno znał, posiadał jakieś tajemnicze koneksje i nie mniej tajemnicze zasługi.

Telefon odebrała pani i prosiła na herbatę. Major Pytek słuchał znudzony, o coś zapytał, coś zapisał. Miał zbadać wszystko. Potem nasłałem mu księdza, który tymczasem zjawił się w Warszawie.

Major miał dużo zrozumienia. Przekonywał księdza łagodnie i rozumnie, jak tylko mógł, żeby szedł przynajmniej – w bliżej nieokreślony sposób – na rękę. Napomknął wreszcie, że to chwilowo nie jego resort…

– Ach, jeśli pan major nie może…

– Co znaczy nie mogę? Mogę – oburzył się major.

Major Pytek istotnie jednego tylko nie mógł: nie móc. On musiał móc.

Niestety, i pani majorowa była nie po mojej stronie. Powiedziała:

– Proszę pana, jeśli władze tam już tamto przesądziły, to tam pewno coś jest. Tacy ludzie jak ten ksiądz to przecież Bronka Pierackiego… I Hołówkę. I ilu jeszcze.

Ale na szczęście pani majorowa „popełniła", jak powiedziała, książkę. Tom opowiadań. POW. Z wdzięcznym uśmiechem prosiła o recenzję. „No, gdy pan napisze". Wytrzymałem babę. Dopiero na schodach zrobiliśmy układ:

– Ale ksiądz Ułas wróci do Omelna?

– A recenzyjka będzie?

Byliśmy oboje słowni. „Recenzyjka" ukazała się w prasie, a ksiądz Ułas powrócił do Omelna. Przyznam się, że oddając recenzję do redakcji, byłem trochę zażenowany. Ale że sezon był ogórkowy, zamieścili jakoś. Potem było przez kilka dni głupio, ale przeszło.

Ksiądz Ułas był u majorostwa Prawdzio–Pytek i zrobił miłe wrażenie. W Omelnem parafianie przyjęli jego powrót niczym zmartwychwstanie, a potężni wrogowie z sąsiedztwa tak, jakby ich wróg wstał z grobu. Wśród małych piesków rozeszła się legenda o potężnych wpływach Warszawy. Oznaczało to spokój na rok, może dwa. Póki co. Tylko przezorny Kazek doradzał:

– Lepiej go jednak zabierzcie.

Księdza Ułasa nie miałem już więcej zobaczyć, ale panią majorową Pytek zobaczyłem w Londynie. Jej mąż miał krótki paryski okres lekkiego zmierzchu, ale teraz odzyskał z powrotem swe zasługi, koneksje i kontakty. Po małej przerwie wszystko wracało przecież do dawnego stanu. Był już nawet podpułkownikiem i czekał na dalszy awans.

O majorowej słyszałem, że była w Polsce po wrześniu. Tak, istotnie, była. Nawet w październiku. Dopiero w listopadzie, przez Kowno. To było straszne. Wszystko przez tych znajomych z autem, którzy puścili ją kantem w Równem.

– Ach – ożywiła się – a wie pan, kto mi się za to przysłużył? Ksiądz Trochimczuk!

– Ksiądz Ułas? Z Omelna?

– Ależ tak. Byłam w Omelnem. W samym Omelnem! U tego, co to go nasi z parafii wyrzucić mieli. Oho, żeby pan tylko wiedział! Niech pan zajdzie do nas. Na Kensington. Wszystko opowiem!

Istotnie opowiedziała wszystko. Mieli wygodny „flat", z prawdziwym kominkiem. Piliśmy whisky.

– Więc muszę panu opowiedzieć. Na czym to ja skończyłam? Kiedy Marysiowie już zwiali z tym autem? Pan rozumie. O bolszewikach już mówią, że nadchodzą, w Równem czerwone flagi na drutach… Żydostwo… Czerń. Sam pan to widzi. A ja sama jedna z walizami.

Wyszłam na ulicę. A tu naraz ktoś. Nawet nie poznałam. Ale on mnie poznał. Ten pański ksiądz. Był własnymi końmi. Zabrał mnie, jak stałam, do Omelna.

– Byliśmy na noc, ale już radio sowieckie grzmiało i wiadomo było, co. Wieś huczała od rozmów. Policji nie było. O świcie jużeśmy wiedzieli wszystko i wszystko było jasne: Polsza propała. Ja siedziałam w mojej izbie cicho, ale słyszałam wszystko naokoło. Jeden ksiądz Ułas był spokojny, bardzo spokojny. Aż od lasu nadjechali tamci.

Najpierw motocykle, potem czołgi. Panie, jakie czołgi! Ogromy. Skąd oni mieli takie czołgi? A potem wojsko. Czy pan pamięta tamten trakt, taki zarosły trawą? Stary trakt szeroki? To teraz był on za ciasny, za wąski na to wszystko. Waliło to dniem i nocą, i następnym dniem. Szły wojska sowieckie, z tymi ich długimi sztykami [ostrzami]. Pułk za pułkiem, za pułkiem pułk.

Ksiądz Ułas stanął w tej swojej sutannie na progu i patrzył. Oni na niego, on na nich. Pokazywali go sobie niektórzy, pewno dawno nie widzieli. Przyszedł patrol także. Potem dwóch oficerów. Nawet całkiem poprawni. Pytali ludzi o księdza i powiedzieli mu przy mnie: „Nam skazali, czto ty był charosz". I dziwili się, że cerkiew była otwarta. Im mówiono, panie, że u nas zamykano cerkwie… I że prześladowano popów… Pan wie, że to nieprawda…

– …

– Tak, tak. Nigdy nie zapomnę tego ranka. Niedziela 17 września. Wojsko waliło i waliło, wieś cała się zbiegła. Na drzewie nad drogą zawiesili głośniki i te głośniki nadawały Moskwę, a może Kijów. Same przemówienia, pieśni, marsze.

Jeden szczególnie huczał, pamiętam – przecież byłam w Petersburgu na pensji: „Maskwa maja, strana maja, nikiem nie pobiedimaja". Istotnie. A i w uszach huczało od tych czołgów i od tych pieśni. Napije się pan jeszcze whisky?

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wiktor Woroszylski*

Z historii

Jeszcze szkła ostatnie drżą
Skończyło się balowanie
Panienki jak malowanie
Bieliznę na szarpie drą
Jeszcze w dudach tony drżą
A tancerze niedorośli
Brodami jak mchem obrośli
Idą ginąć śród zarośli
Nad grobami konie rżą
Jeszcze wargi czyjeś drżą
W jasnych oczach zapytanie
Tacy młodzi Chryste Panie
Co tu gromem co tu grą
Szarej grudy falowanie
Obłoki nad głową drżą
Trzeszczy świata szalowanie
Skończyło się balowanie



***Wiktor Woroszylski** – 1927-96, poeta, prozaik, tłumacz poezji rosyjskiej, biograf, publicysta. Na przełomie lat 40. i 50. aktywny zwolennik komunizmu, jeden z tzw. pryszczatych. W latach 1956-58 redaktor „Nowej Kultury". Od lat 70. związany z opozycją demokratyczną, redaktor „Zapisu", po 13 grudnia 1981 r. internowany. Współpracownik miesięcznika „Więź". Autor m.in. licznych zbiorów poezji, relacji z powstania 1956 r. „Dziennik węgierski" czy powieści dla młodzieży „I ty zostaniesz Indianinem".
* Utwór, napisany w 1980 r., w czwartym roku działalności KOR-u, przed strajkiem w Stoczni Gdańskiej, ukazał się w zbiorze „Jesteś i inne wiersze" (1982). Tutaj za: Woroszylski, „Wiersze 1954-1996", wyb. Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2007.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W ŚRODĘ W WYBORCZEJ DODATEK SPECJALNY

EMERYTURY

- Podwyżki emerytur w marcu 2027 roku mogą być jeszcze wyższe. Jest nowa prognoza
- ZUS skonfiskował tysiące złotych składek emerytalnych, a pokrzywdzonym odda tylko grosze. Dlaczego?
- 60 lat nie oznacza końca pracy. Część seniorów chce pracować, ale wielu dorabia, bo musi
- Jak zwiększyć emeryturę? Warto wystąpić o przeliczenie przysługującego świadczenia



1 RP

eprasa.pl 7e1750f966

Co to ja mówiłam? Aha, tak. No i właśnie, że tylko ten ksiądz nic. Jakby nigdy nic. Na dwunastą kazał bić w dzwony jak zawsze. Leniwie złaziło się pod górę chłopstwo. Gdzie im tam w głowie cerkiew! Wojsko waliło drogą ciągle. Popod tą samą cerkwią.

Powiem panu prawdę, bałam się zostać na plebanii. Jednego się tylko czepiałam rozpaczliwie, to tego księdza. Jego spokój był zupełnie inny niż u tych wszystkich ludzi wokoło. Dla tamtych naraz coś się stawało, wstrząs jakiś, szło coś przez świat, jak te czołgi przedtem drogą. Podniecenie, krzyki. On nic. Jakby wiedział, co było, a także, co będzie.

O, to nie był zwykły sobie pop, proszę pana. Nie chciałam być bez niego ani chwili. Więc poszłam na tę mszę. Niby popia kuzynka. Ale kto by się patrzał na mnie! Dzwony biły, ten głośnik dolatywał z daleka, czasem na drodze zadudniło coś, jakieś działa pewnie, a w cerkwi, pod tymi sklepieniami starymi – jak zawsze chóry, kadzidła, ikony, a ksiądz Ułas spokojnie odprawiał mszę. Jak gdyby nigdy nic. A może nie. Może bardziej ważny niż przedtem.

I wie pan, że wtedy w tej cerkwi było mi naraz najlepiej. Tylko tu był jeszcze spokój i ten dawny świat. Klęczeli starzy chłopi, baby, mołodycie i chłopcy, były dzieci i zaduch.

Ksiądz Ułas śpiewał obiednię. Aż przyszedł koniec. Pan wie – ta chwila, kiedy ksiądz schodzi na sam dół, przed ołtarz, przed carskie wrota, i śpiewa jeszcze ostatnią modlitwę. Pan wie, jaką modlitwę? Za Rzeczpospolitą...

– I co?

– Wszyscy wiedzieli w cerkwi, że to teraz chwila na tę modlitwę. Niedawno kazano ją mówić po polsku, nie po rusku, i ksiądz Ułas się temu opierał. Pan pamięta? Ale teraz już nikt przecież nie kazał. Ani nie mógł nawet kazać. Teraz było już nawet całkiem odwrotnie. I ksiądz Ułas nie odszedł od ołtarza, nie zdjął szat, ale stanął jak zawsze.

Chwilę milczał. Cała cerkiew tak samo zamilkła, nawet nikt nie zakaszlał i naraz było tak cicho, tak cicho, jakby wszystko na świecie zamilkło. Tylko to dudnienie przeciągających wojsk szło ze dworu, ale i ono cichło. I wtedy dopiero, kiedy zrobiło się bardzo cicho, ksiądz Ułas zaintonował: „Mołytwa za Riczupospołytu".

Pan wie, jak to jest w teatrze, kiedy ktoś ze sceny coś ogłasza? Więc to było właśnie tak. Naraz wszyscy sobie uświadomili. Rzeczpospolita! Była tu jeszcze wczoraj. Jeszcze dwa dni temu. Teraz jej nie ma. Pan wie, lud ruski jest zabobonny. Więc to było tak, jakby ten ksiądz wywoływał teraz widmo, kazał jakimś dziadom w grobach leżącym powstać i zjawienia się ich oczekiwać. Zupełnie tak.

Aż z jednego kąta odezwały się jakieś głosy czy syki. Poszedł pomruk po cerkwi. I wtedy ksiądz powtórzył, tylko głośniej jeszcze i spokojniej: „Mołytwa za Riczupospołytu".

Znowu poczekał chwilę. Pamiętam, będę pamiętała do końca każdą sekundę tej chwili. Naraz niektórzy ludzie, ale tylko niektórzy jeszcze, najbardziej to starzy tacy, do słuchania księdza nawykli, poczęli, jakby tym nawykiem samym, obsuwać się na kolana. Ale cała reszta stała dalej, niechętną, co tam niechętną – wrogą ciżbą. Pewno jedni czekali tu Sowietów, inni może za Niemcami się oglądali.

Temu, co tu było jeszcze wczoraj, byli wszyscy jednako wrodzy. I w głuszy tej nienawistności ksiądz od ołtarza począł naraz mówić, tak ogromnie spokojnie.

„Bracia moi i siostry! Koły budete teper so mnoju mołyty sia, wy ne budete mołyty sia za to, szczo buło tut wczera i buło zło, i szczo nykoły ne wernyt sia bilsze. Wy ne budete mołyty sia za cich, szczo nam mowu i wiru, i ziemlu widbiraty chotiły. Ni za cich, kotoryje teper utikły z boja –"

Głos jego powoli się podniósł:

„Wy budete mołyty sia za to, szczo je i buło; i bude sławne, a teraz krwawi się u bram waszej ziemi rodzinnej w walce nirównej. Za polskij narod! On teper s neszczastnych neszczastnyj, ale i z bohatiriw bohatyr. Koły wy zdies mołytyś i radujeteś, jewo syny bijutsia o ziemlu i wolu swoju. Bijut sia sami odny z mohuczym najizdom wraha. Bijut sia u Helu a Westerplatte, u Kutna, u Warszawy sławnoj. Ale, bratja i siestry moi, oni tam nie tylki o swoju ziemlu i swoju wolju bijutsia –"

Zaczerpnął jakby oddechu, po czym głosem wypłynął wyżej:

„Oni bijut sia teper i za waszu ziemlju, i za waszu wolju. Tak to jest, bratja moi. U Kutna, u Westerplatte i Warszawy oni bijut sia teper sami, no o swoju i waszu swobodu. Tak uże było kołyś i tak je teper. Bo wrah, kotoryj naszol polskije zemli, on i ukraińskich ziemiel choczit, on i na naszi chutori ide, jomu i naszoho chliba choczet sia. Myne rik, myne druhij rik, a on do nas k'naszym sełam pryjde.

Todi wy zrozumijete i wsi zrozumijut, szto cja borotba, kotoruju polskij narod weł, buła początkom i noszoj borotby, a ti, kotoryje tam teper na poljach Polszy hinut, i za naszu hinut swobodu –"

Znowu jakby się zadyszał, pewnie nawet zadyszał się, bo za pierś się schwytał. Ale zaraz z tą ręką na piersi począł dalej mówić i była taka cisza w cerkwi, jakby nie mówił, ale – czy ja wiem? chyba – wieszczył:

„Liły sia, protiw sobi, ich krew i nasza krow. Lacka i kozacka. Ale pryjde deń, koły po hruzach Polszy wrah, kotoryj Polszu zmoh, na Ukrainu pojde. Pryjde deń, koły my w bij za naszu swobodu pijdem, jak oni teper za swoju pijszły, i w toj deń my ne tilki za naszu swobodu budem wojowaty, no i za waszu, Lachy. I pryjde tretij deń, koły ni na polskoj, ni na ukrainskoj, ni na drugoj słowianskoj zemli i slida wrażoho ne bude. I todi nowyj deń stane dla nich i dla nas. I o toj deń my teper, bratja, pomolim sia, a cim, ktoryje w boju tam hynut – wicznaja pamiat'".

I chór głosów przeszedł naraz dreszczem: „Wicznaja pamiat".

I z tymi słowami rytuału ciżba naraz poczęła obsuwać się i klękać, klękać ciężko, niezdarnie i głucho, tak właśnie, jakby naraz na podłogę cerkwi wiejskiej poczęły walić się grube dębowe pnie. Sama cerkiew jakby poczęła się podnosić i wydłużać w górę, bo oto ludzie zgięli się, klęcząc, w tej modlitwie, aż przez to stało się widniej i przestronniej, jakoś aż strasznie pusto, i tylko żółty blask grubych woskowych świec chybotał niespokojnie po tej pustce. W nią właśnie, w tę pustkę, poczęły teraz wpadać jedne po drugich słowa długiej, obrzędowej modlitwy, zwyczajnej, coniedzielnej, ale które w owej chwili osobliwej nabierały całkiem innego znaczenia.

Gdzieś tam nad Wisłą lał się teraz z nieba niszczący ogień samolotów; gdzieś daleko nad Sekwaną ludzie pracowali spokojnie w winnicach; w dalekiej Anglii inni ludzie po raz pierwszy nie pojechali na weekend; a tutaj drogą przez wieś waliły wojska i wojska.

W tym świecie całym, nad przepaścią historii nachylonym, szła teraz ku nielitosnemu niebu owa jedna, najdziwniejsza modlitwa, wznoszona ponad krzywdy i niesnaski, zupełnie jak taki dym wlokący się pod niebo z nędznej chaty niskiej pod sam błękit i spokój wieczysty.

Ksiądz skończył, diaczek gładkolicy zaczął gasić świece, a ludzie jeszcze stali jak nad zwłokami jakimiś. A potem rozchodzili się jeden po drugim, nie od razu i niespieszący, przycichli. Jakby ich ogarniały jakieś złe przeczucia czy co.

– ...

– A wie pan, ksiądz Ułas kazał mi potem to panu właśnie powiedzieć.

– Powiedzieć, co?

– To właśnie. Kiedy wyjeżdżałam. Do Wilna, a stamtąd do Kowna. Odwiózł mnie, ubrał i powiedział, że pewno pana zobaczę. Żebym wtedy panu powiedziała.

– Co powiedziała?

– No, właściwie nic. To wszystko. ●

Grób Słodkiej Przyjaciółki



FOT. PHOTO BETO/GETTY IMAGES

• **Cmentarz Niekatolicki w Rzymie, założony na przełomie XVIII i XIX w. Miejsce spoczynku cudzoziemców, m.in. brytyjskich poetów Percy'ego B. Shelleya i Johna Keatsa**

Do Rzymu zjeżdżała i zjeżdża cała Polska, ale ta Polska była nie tylko katolicka, i magnesem dla niej byli nie tylko papieże...



Jarosław Mikołajewski

FELIETON Z CYKLU „ZA PIĘĆ TRZYNASTA"

Im więcej książek i przechwałek ile to książek ktoś przeczytał, tym bardziej upieram się, żeby czytać dwie-trzy w ciągu roku. Ale tak do spodu, w głąb liter i słów. Dwie powieści albo reportaże. Jeszcze jakiś esej, i prawie co dzień jakieś pół wiersza.

Co z tego, że zaniżam czytelnicze statystyki? Nie czuję już, że powinienem robić szybko coś, co się przekłada na liczby. Niech się przekłada na wzruszenie i na język wspólny.

Jadę do Rzymu...

Im więcej dzieje się w polityce, tym mniej chcę o niej pisać. Cóż bowiem miałbym mówić wobec kolejnych skandali, przypadków nieprzestrzegania prawa, agresywnych wypowiedzi obozu kaczyńsko-prezydenckiego, skoro widzę, że są tylko przejawami większego zła, choroby duszy, na którą składa się brunatna nienawiść, lekceważenie autorytetów i norm, bezwstyd, megalomania, pycha, arogancja, potrzeba stosowania przemocy. Gdzieś tam na peryferiach rzeczy bieżących, choć w samej istocie losów, opowiem więc o pewnym ponadczasowym odkryciu.

Otóż bardzo często dostaję telefony albo wiadomości takiej mniej więcej treści: „Jadę do Rzymu, co mam jeszcze zobaczyć?..." „Jeszcze", oznacza coś poza tym, co można znaleźć w przewodnikach, lub ponad to, co pytający widział do tej pory. Odpowiem więc zbiorowo i – mam nadzieję – zaskakująco: grób Filipiny Schultz.

Odwiedziny u Niekatolików

Kiedy jestem w Rzymie (ostatnio nieczęsto), chętnie omijam wielkie zabytki, żeby iść na przepiękny Cmentarz Niekatolicki (Cimitero Acattolico) u stóp Piramidy Gajusza Cestiusza.

W skrócie: Cmentarz założyli w pierwszej połowie XVIII wieku Anglicy, następnie służył i służy jako miejsce spoczynku – jak mówi nazwa – Niekatolików. Leżą na nich ci, których nie da się łatwo i jednoznacznie przypisać większościowemu wyznaniu: protestanci, prawosławni, ateiści, lesbijki, geje, Żydzi, Arabowie, komuniści Antonio Gramsci i Andrea Camilleri...

Któregoś dnia, kiedy jak zawsze zacząłem spacer przy grobie angielskiego poety Keatsa i skierowałem się w stronę innego angielskiego poety Shelleya, w jednej z najstarszych części cmentarza przyjrzałem się uważniej szaremu nagrobkowi o zatartych literach. Podszedłem, potarłem kamień, i zobaczyłem napis PHILIPPINAE SCHULTZ POLONAE, a także informację, że urodziła się w roku 1796, zmarła w 1812, a „Najsłodszej Przyjaciółce" grób ten postawiła niejaka Teresa Tambroni.

Kim byłaś Filipino?

Szukałem informacji jak umiałem, moimi niedoskonałymi środkami, niewiele się dowiedziałem, ale dobrze mi z tajemnicą i niedomyślnością losów. Na pewno chciałbym wiedzieć więcej niż wiem: o Młodziutkiej Filipinie Schultz, o Teresie Tambroni (Francuzce, żonie konsula), ale wystarczy mi i to, że jeśli jest prawdą, że do Rzymu zjeżdżała i zjeżdża cała Polska, to prawdą jest także to, że ta Polska była nie tylko katolicka, i magnesem dla niej byli nie tylko papieże.

Także to, że w Rzymie, prócz stanowczych religii i wyznań, istniała też „słodka przyjaźń". I to, że w rzymskiej wspólnocie duchów nieprzynależnych lub przynależnych niewiększościowo, znalazło się miejsce także dla tajemniczej Polki. ●

eprasa.pl 7e1750f966

ALE HISTORIA

Sałatka szopska Z WARNEŃCZYKA



Sałatkę szopską wymyślili w latach 50. gastronomowie w ośrodku wczasowym Drużba. Stała się kulinarnym symbolem Bułgarii. Z Władysławem Warneńczykiem jest podobnie. Kolejne pokolenia dokładają do opowieści o nim własne składniki, ale w tym przepisie wciąż brakuje głównego: ciała króla.

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

Mauzoleum Władysława III Warneńczyka znajduje się na zachodnim skraju Warny, przy wylotówce na autostradę Hemus. Wjeżdżamy nią i z tej perspektywy mauzoleum to duży zielony obszar otoczony czterema ulicami – bulwarem Sliwnica, bulwarem Hunyadyego, swojsko brzmiącą ulicą Krakov oraz ulicą Koevo, przy której są parkingi dla pobliskich mieszkańców. Wystarczy przejść dwieście metrów wzdłuż płotu okalającego mauzoleum i jesteśmy przy bramie.

Przed wejściem grupka dzieci z opiekunką. Słyszymy czysty rosyjski: „To też miasto bohater jak nasza Samara". Sprawdziliśmy później – Samara ma tytuł „miasta bohatera pracy".

W kasie zapytaliśmy sprzedawczyni, czy często mają wycieczki z Rosji. „Teraz rzadko". A z Polski? „O, Polaków dużo, zazwyczaj grupy, dzieci i dorośli. Przynoszą kwiaty".

Weszliśmy w głąb i z każdym krokiem za sprawą okalających drzew robiło się ciszej. Wokół sporo kwiatów oraz dwa wieńce z biało-czerwonymi szarfami. Napisy: „Skarżysko-Kamienna – Szkoła Podstawowa nr 7" oraz: „Ku pamięci – Polscy motocykliści", obok logo z konturem Polski i orłem w środku trzymającym plakietkę „Stowarzyszenie Kocham Polskę".

Pięćdziesiąt metrów dalej znajduje się nasz cel – w mauzoleum umieszczono replikę grobu Warneńczyka z kaplicy wawelskiej. Oczywiście bez ciała. Sam wawelski nagrobek nie tylko nie zawiera szczątków króla, ale też nie jest średniowieczny – powstał dopiero w 1906 roku.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów i widać modernistyczny pawilon, choć ktoś powiedziałby dosadniej: czuć komuną. Tam pytamy o dyrektora.

Milen Dimow od lat kieruje tym miejscem. Zapytaliśmy go, czy nowe badania archeologiczne wyjaśniły zagadkę, gdzie zginął Warneńczyk. „Nie ma konkretnego miejsca. Jego szczątki, a także miejsce, gdzie został pochowany, są nieznane" – odpowiedział.

W centrum parku znajdują się dwa starożytne trackie kurhany, starsze od bitwy pod Warną o blisko półtora tysiąca lat. Południowy, większy, w 1935 roku przekształcono w mauzoleum, w którym umieszczono symboliczny grób – cenotaf. Północny zachował formę ziemnego nasypu. Sam fakt, że mauzoleum stoi na jednym z kurhanów, nie oznacza, że właśnie tam zginął lub został pochowany król. Źródła osmańskie są zgodne jedynie co do tego, że poległ na polu bitwy. Tyle że teren dzisiejszego kompleksu muzealnego obejmuje tylko fragment dawnego pobojowiska. Tu – jak zaznacza Dimow – „znajdowało się centrum armii osmańskiej".

Mimo braku grobu prawie przez sześć wieków nie zatarła się pamięć o królu. Przeciwnie – kolejne pokolenia nadawały mu własne znaczenia. Dla jednych był bohaterem jednej z ostatnich wielkich krucjat przeciw Osmanom, dla innych symbolem wspólnej historii Polski i Bułgarii. Dyrektor zastrzega, że trudno mu mówić w imieniu wszystkich Bułgarów, ale szczególnie dla mieszkańców Warny „zdecydowanie jest znany jako młody polski i węgierski król, który zginął na polu bitwy, próbując wyprzeć Osmanów z Europy". A jakie budzi emocje? „W mojej skromnej opinii nastawienie większości Bułgarów, a zwłaszcza obywateli Warny, jest całkiem pozytywne. I zdecydowanie możemy powiedzieć, że dla nas jest bohaterem, który próbował dokonać niemożliwego".

Dimow zwraca uwagę, że monarcha pojawia się w bułgarskich podręcznikach szkolnych przy okazji omawiania ostatnich krucjat na Bałkanach i bitwy z 10 listopada 1444 roku. Nie jest to szeroko obecna postać w bułgarskiej pamięci historycznej, ale pozostaje częścią opowieści o okresie po podboju osmańskim – czasie oporu wobec nowej władzy.

Zatem mauzoleum w Warnie stało się miejscem pamięci o królu bez grobu. Sam Park-Mauzoleum – zauważa Dimow – powstał w 1935 roku z inicjatywy bułgarskiej, nie z polskiej. I od dekad jest jednym z najważniejszych miejsc związanych z historią miasta.

KRÓL, KTÓRY ZNIKNĄŁ POD WARNĄ

Władysław III urodził się 31 października 1424 roku w Krakowie jako najstarszy syn Władysława Jagiełły i jego czwartej żony Zofii Hołszańskiej. Nie jest znana dokładna data urodzin Jagiełły, ale jeśli wierzyć obliczeniom historyków, w chwili

eprasa.pl 7e1750f966



narodzin syna miał około 62 lat. Później na świat przyszedł jeszcze Kazimierz, przyszły król Kazimierz Jagiellończyk.

Po śmierci Jagiełły w 1434 roku dziesięcioletni Władysław został koronowany na króla Polski. W 1440 roku w Białogrodzie Królewskim przyjął koronę Węgier jako Władysław I. A gdy skończył 20 lat – stanął na czele krucjaty. Był młody, niedoświadczony i pełen wiary, że powstrzyma Osmanów, którzy od dziesięcioleci zdobywali kolejne ziemie na Bałkanach. Wyprawę zainicjował papież Eugeniusz IV, a jej głównym dowódcą został János Hunyady – węgierski wódz, który już wcześniej odniósł kilka zwycięstw nad Turkami.

10 listopada 1444 roku na polach pod Warną stanęły naprzeciw siebie armie. Chrześcijańska liczyła około 20 tysięcy żołnierzy – Polaków, Węgrów, Czechów, Wołochów, Chorwatów, Rusinów, ochotników z Bałkanów i rycerzy związanych z ideą krucjaty. Osmańska armia sułtana Murada II liczyła według źródeł od 30 do 60 tysięcy żołnierzy, w tym elitarnych janczarów. Współcześni badacze zwracają uwagę, że średniowieczne liczby są mocno zawyżone, a realna przewaga osmańska była mniejsza, niż sugerują kroniki.

Przez większość dnia ważyła się szala zwycięstwa. Hunyady zastosował nowoczesną taktykę wozów bojowych wzorowaną na rozwiązaniach husyckich. Stworzył system obrony oparty na taborze – umocnionym obozie złożonym z połączonych wozów. Poznał ją z bliska, bo w latach 1434-38 angażował się w sprawy czeskie. W walce z Turkami umieszczał na wozach lekką artylerię i zwiększał liczbę oddziałów wyposażonych w broń palną. Tabor rozmieścił za liniami własnych wojsk, aby w razie potrzeby zapewnić im osłonę.

Osmańskie lewe i prawe skrzydło zostały rozbite. Straty były tak duże, że – jak zauważa amerykański historyk Kenneth M. Setton – sam sułtan nie był pewien, czy jego armia w ogóle wytrzymała. W tym momencie Władysław zdecydował się działać wbrew planowi Hunyadyego. Jak ocenia historyk prof. Stanisław A. Sroka: „Decyzja króla o osobistym poprowadzeniu ataku ciężkiej kawalerii na janczarów, bez uzgodnienia tego z Hunyadym, okazała się fatalna dla wyniku bitwy, a sam Władysław zapłacił za błąd życiem”.



▲ **W mauzoleum króla Polski i Węgier w Warnie znajduje się replika grobowca Warneńczyka z kaplicy wawelskiej**
FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

◀ **„Bitwa pod Warną”, wizja Jana Matejki z 1879 roku. Malarz odwiedził miejsce tragicznego dla chrześcijan starcia siedem lat wcześniej. Na obrazie przedstawił Władysława Warneńczyka podczas zakończonego jego śmiercią natarcia**
FOT. MUZEUM SZTUK PIĘKNYCH W BUDAPESZCIE



▲ **Jedna z atrakcji czekających na turystów w mauzoleum poległego pod Warną polskiego władcy**
FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

Według osmańskich kronik polskiego władcę miał zabić janczar Kodża Hadyr. Kronikarz z XVI wieku Sead-ed-din, opierając się na wcześniejszych relacjach, opisuje to w dramatyczny sposób: „Król w upojeniu, w środowisko sułtana pędził, w szczupłości zastępu tegoż niechybne rozgromienie jego upatrując; z okrzykiem junackim a z mieczem w ręce nieudolnej obnażonym ku sułtanowi zmierzał. Pełen dostojeństwa szach, ruchy owego utrapieńca z cierpliwością śledząc, otaczającym go w półksiężycu wojownikom raczył dać rozkaz: »Oddalenie się jego od głównego zbiorowiska sił zbrojnych jest znamienną zgubą jego; niezawodnym tedy środkiem, aby go jak dzika wśród stanowiska strzałów łowieckich osaczyć. Rozstąpcie się tedy i wpuśćcie go swobodnie pomiędzy siebie«”.

Gdy już wpadł w pułapkę, sułtan wydał rozkaz ataku. Skutecznego. Według części przekazów głowę Władysława zabalsamowano w miodzie i wysłano do Bursy, dawnej stolicy osmańskiej, gdzie wystawiono ją na widok publiczny jako trofeum. Ciała jednak nigdy nie odnaleziono. Ani zbroi, ani konia. I właśnie ta nieobecność stała się początkiem legendy.

SZÓSTY PALEC W KRÓLEWSKIEJ STOPIE

Już kilka miesięcy po bitwie powstał łaciński wiersz „Ego Wladislaus” („Ja Władysław”); jego autor pozostaje nieznany. W tym liryku ktoś, zakładając monarszą maskę, wyjaśnia, że do ataku króla namówił kardynał Giuliano Cesarini, legat papieski, który rozgrzeszył go z krzywoprzysięstwa i przekonał, że Bóg pobłogosławi krucjatę. Wiersz ten jest jednym z najwcześniejszych świadectw narracji o winie Warneńczyka i roli, jaką w całej historii odegrali jego doradcy.

Szybko pojawiły się też teksty innego rodzaju. Jedna z najwcześniejszych opowieści o ocaleniu pochodzi z 1466 roku. Czeski rycerz Leo z Rożmitálu przekonywał, że podczas podróży do Hiszpanii spotkał pustelnika, który miał być Władysławem. Jak zauważa Sroka: „rycerz zapisał w swoim dzienniku, że pustelnik był około siedemdziesięcioletni” – podczas gdy w 1466 roku Władysław miałby czterdzieści dwa lata. To podstawowa sprzeczność, która podważa wiarygodność tej legendy – choć dla ówczesnych słuchaczy liczyła się nie tyle ścisłość w datach, ile sens: król mógł przeżyć, skoro ciała nie znaleziono.

Ważny jest też szczegół dotyczący polidaktylii. Powszechnie uważa się, że Warneńczyk miał sześć palców u jednej ze stóp i właśnie na ten fakt zwracał uwagę Czech. Jak pisze Sroka: „Interesujące jest, że sam pustelnik stanowczo zaprzeczał, jakoby był królem Polski i Węgier, który ocalał w bitwie pod Warną, ale pewien Polak, który towarzyszył czeskiemu rycerzowi, twierdził, że rozpoznał Władysława po tym, że miał sześć palców u stóp”. Historycy podchodzą do tej opowieści z dystansem. Źródła wspominają, że król cierpiał na wrzód na nodze, który mógł wizualnie przypominać dodatkowy palec.

PSEUDONAUKOWY ZBIÓR SKOJARZEŃ

Niepewność otworzyła pole do nadużyć. W 1459 roku w Poznaniu pojawił się samozwaniec Rychlik podający się za zaginionego monarchę. Kilka lat wcześniej na Śląsku podobnie uczynił Jan z Wilczyna, który wcześniej przekonywał, że jest księciem mazowieckim. Ci oszuści, choć szybko zdemaskowani, są wymownym świadectwem tego, że śmierć króla nie była wówczas niepodważalnym faktem. „Ponieważ ciało króla nie zostało odnalezione po bitwie pod Warną, uporczywie krążyły pogłoski, że ocalał” – tłumaczy Sroka.

Jedną z najbardziej rozpowszechnionych legend była ta o Maderze. Jej źródłem jest list z 1452 roku, w którym zakonnik Mikołaj Floris pisał z Lizbony do wielkiego mistrza krzyżackiego, że król żyje na portugalskiej wyspie. Badacz Andrzej Feliks Grabski uważa, że list ten mógł być wykorzystywany w celach propagandowych podczas wojny trzynastoletniej. Temat powracał przez wieki – w 1908 roku polski dziennikarz Leonard Kielanowski opublikował książkę „Król Władysław Warneńczyk na Maderze”, w której starał się udowodnić, że monarcha przeżył bitwę.

Współcześnie amerykański badacz pochodzenia portugalskiego Manuel da Silva Rosa poszedł dalej i m.in. w książce „Kolumb. Historia nieznana” ogłosił Warneńczyka ojcem Krzysztofa Kolumba. Swoją tezę oparł m.in. na podobieństwie herbów, cechach fizycznych Kolumba (rudy włos, jasna cera) oraz na analizie jego małżeństwa z arystokratką Felipą Perestrello – argumentując, że mezalians z kobietą z tak wysokiego rodu byłby niemożliwy, gdyby Kolumb nie miał królewskiego pochodzenia. Obie te publikacje, choć powstały w odstępie ponad stu lat, łączy to samo: brak solidnych podstaw źródłowych. Prof. Sroka, który przeanalizował obie książki, określa dzieło Rosy jako „zbiór swobodnych skojarzeń”, a o pracy Kielanowskiego pisze bez ogródek, że „jest pozbawiona jakiegokolwiek aparatu naukowego i napisana w całości w stylu dziennikarskim”.

A jednak nawet osmańskie źródła – przypomnijmy – jednomyślne co do śmierci króla, zostawiły margines wątpliwości: według przekazów głowę obwożono po świecie, a ta miała blond włosy. Warneńczyk był brunetem.

WIDZENIE TEODORY ILIEWEJ

W Warnie na terenie dzisiejszego parku-muzeum zachowały się pozostałości rowu janczarskiego – fortyfikacji, która otaczała pozycję sułtana Murada II. Według niektórych hipotez to właśnie tam król mógł spaść z konia i zginąć. Dziś do rowu można nawet wejść. Turyści stają nad nim i pewnie oczami wyobraźni widzą, jak w tym zagłębieniu, głębokim na metr, szerokim na trzy metry, jakiś janczar ucina polskiemu monarszą głowę.

Potwierdził to dyrektor kompleksu – w rzeczy samej goście szukają tej fosy. Jednocześnie Dimow zakwestionował, aby były jakiekolwiek dowody na taki przebieg wydarzeń. Ludzie mimo to pytają: Gdzie ta fosa? Postawiono więc tabliczkę – po bułgarsku i angielsku:

„Jeniczarski row ot 1444 g. / Janissary trench from 1444”.

Rów jest autentyczny, scena śmierci – już nie. Ale legenda nie lubi próżni. Francuski historyk Pierre Nora

eprasa.pl 7e1750f966

nazwał takie przestrzenie lieux de mémoire – miejscami pamięci, w których ludzie projektują swoje wyobrażenia o przeszłości, i to niezależnie od tego, czy mają one potwierdzenie w źródłach.

Takich miejsc jest więcej. Jedno z nich znajduje się kilka kilometrów dalej, już poza terenem parku-muzeum. Przez stulecia związana z nim była turecka legenda, którą w swojej pracy z 1911 roku opisał polski etnograf Jan Grzegorzewski. A zatem w wielkiej bitwie poległ chrześcijański wódz. Turcy odcięli mu głowę, lecz ciało – już bez głowy, ale wciąż na koniu i z mieczem w dłoni – galopowało dalej, aż padło w miejscu zwanym Pasza-boba-tekesi. Odtąd zaczęto je nazywać Kesik-basz-tekesi – „mauzoleum uciętej głowy". Według Grzegorzewskiego kurhan znajdował się przy szosie z Warny do Dobricza, na wysokości czwartego kilometra – dziś teren w dużej mierze zurbanizowany. I ów kurhan czcili zarówno muzułmanie, jak i chrześcijanie. Choć nikt nie był pewien, kto w nim leży.

I właśnie tam w 1909 roku przyszła Todora Ilijewa – miejscowa kobieta, która – jak relacjonuje Grzegorzewski – miała widzenie. We śnie ukazał jej się Chrystus ze św. Janem Chrzcicielem, a światło przechodziło z głowy jednego na drugiego. Uznała, że pod ziemią musi spoczywać ścięta głowa Chrzciciela. Zebrał się tłum – ponad pięćset osób – i rozkopano mogiłę. Znaleziono kości, krzyż i mosiężną ikonę. Szkielet był pozbawiony głowy, a w miejscu, gdzie powinna znajdować się czaszka, była pusta przestrzeń. Kto leżał w tym kurhanie – nie wiadomo.

WARNEŃCZYK À LA SZOPSKA

Ale to wszystko wykwity pamięci samorzutnej, oddolnej, quasi-religijnej. Istnieje jednak pamięć instytucjonalna – świadomie budowana, warstwowa, niczym... sałatka szopska. W latach 50. XX wieku bułgarscy gastronomowie wymyślili potrawę, która stała się jednym z symboli kraju. Połączyli pomidory, ogórki, paprykę, cebulę i owczy biały ser – kolory bułgarskiej flagi. Nazwali sałatką szopską, choć nie wywodzi się z ludowej tradycji, tylko z ośrodka wczasowego Drużba. Bułgarzy są z niej dumni. Podobnie mieszkańcy Warny z Warneńczyka – postaci, która też została w pewnym sensie „zrobiona". Choć nie przez jednego szefa kuchni, lecz przez pokolenia polityków, dyplomatów, artystów, archeologów i przedsiębiorców turystycznych. Każdy dorzucał coś do opowieści o królu bez grobu.

Pierwszy składnik pojawił się wkrótce po bitwie. Na jednym ze wzgórz pod Warną Polacy wznieśli małą kaplicę. Francuski tygodnik „L'Illustration" w 1856 roku relacjonował ten proces: „Od tego czasu [tj. od bitwy pod Warną] Rzeczpospolita Polska utrzymywała zawsze małą kaplicę wzniesioną własnym kosztem na jednym ze wzgórz, lecz kaplica ta popadła w ruinę po rozbiorach Polski". Nie zachowały się rysunki ani dokładniejsze opisy – nie wiemy, kto ją zbudował ani na jakiej podstawie Osmanowie zgodzili się na jej istnienie.

Kolejny składnik dorzucił car Mikołaj I. W 1828 roku, podczas wojny rosyjsko-tureckiej, stanął pod Warną jako car Rosji i jednocześnie król Polski. W liście do generała Michaiła Woroncowa pisał, że chce uwiecznić pamięć o „bohaterskim synu Jagiełły", i przeznaczył na ten cel 12 armat zdobytych w Warnie, które miały stanąć w Warszawie. Projekt nie został zrealizowany, ale pokazuje, że już w XIX wieku Warneńczyk był elementem polityki pamięci wykraczającej poza dwa państwa.

Trzeci składnik wnieśli Polacy z Legionu generała Władysława Zamoyskiego. Podczas wojny krymskiej walczyli po stronie tureckiej przeciw Rosji. Oficerowie poprosili rząd osmański o zgodę na wzniesienie pomnika na polach Warny. „Pozwolenie zostało udzielone chętnie" – czytamy w „L'Illustration" – i 3 maja 1856 roku stanęła kolumna z białego marmuru z napisem po łacinie i po polsku: „Królowi Władysławowi III Jagiellończykowi i żołnierzom poległym na polu Warny – 10 listopada 1444 – Dywizja Polska pod dowództwem generała hrabiego Władysława Zamoyskiego – 3 maja 1856". Przetrwała zaledwie kilka dni. Miejscowa ludność przekonana o tym, że pod pomnikiem ukryte są skarby, zburzyła go i rozkopała kurhan.

W 1886 roku reportażysta i korespondent prasowy Antoni Zaleski, podróżując z Henrykiem Sienkiewiczem, dotarł do Warny i zapisał, że po kolumnie „nie pozostało ani śladu". Jan Matejko, który był na polu bitwy w 1872 roku, też już jej nie zastał. Siedem lat później namalował obraz bitwy, który utrwalił wizerunek Warneńczyka jako rycerza padającego w walce.

W końcu przyszedł czas na władze Bułgarii, które w 1924 roku postawiły na południowym trackim kurhanie pomnik dłuta ukraińskiego rzeźbiarza Mychajła Paraszczuka. Był to granitowy blok z napisem: „LADISLAUS VARNENSIS" i po bułgarsku: „Władysław Jagiellończyk, król polsko-węgierski, poległ tu wraz z chrześcijańskimi rycerzami walczącymi o wolność i wiarę Bułgarii 10.11.1444". Ani słowa po polsku. To ważna zmiana – bo Warneńczyk przestawał być wyłącznie polskim królem. Stawał się również bohaterem bułgarskiej opowieści o przeszłości.

Dziś do rowu janczarskiego można nawet wejść. Turyści stają nad nim i pewnie oczami wyobraźni widzą, jak w tym zagłębieniu, jakiś janczar ucina polskiemu monarszą głowę

WARNA TYLKO DLA BOGATYCH

Ostateczny kształt miejsce zyskało w 1935 roku za sprawą Petyra Dimkowa, z zawodu oficera, z pasji – uzdrowiciela, autora dzieła „Bułgarska medycyna ludowa", zarazem orędownika ochrony bułgarskiego dziedzictwa historycznego. To on zorganizował społeczny komitet budowy mauzoleum. Projekt przygotował Anton Frangia – architekt, który studiował w Polsce i pełnił funkcję honorowego konsula polskiego w Warnie. Mauzoleum odsłonięto w obecności bułgarskiego cara Borysa III. Miejsce zyskało rangę państwowej instytucji pamięci narodowej.

Polskie biura podróży wpisały je do programów wycieczek. W 1936 roku Francopol zachęcał: „Warna jest bliska sercu każdego Polaka jako pole jednego z największych wyczynów orężnych w historii Polski i Bułgarii. Tu poległ rycerski król Władysław Warneńczyk, tu został pochowany i w roku ubiegłym odbyło się uroczyste odsłonięcie jego pomnika-mauzoleum". Wycieczka kosztowała od 315 do 350 złotych, podczas gdy przeciętna pensja wynosiła około 100-150 złotych – był to więc wyjazd dla zamożnych. W folderze z 1937 roku biuro podróży polecało wycieczkę na „pole bitwy pod Warną" obok zwiedzania zamku w Ewksinogradzie, czyli rezydencji monarszej na obrzeżach Warny, czy pobliskiego monastyru-muzeum Aładża.

Pole bitwy zaczęli odwiedzać też polscy badacze, i to nie tylko ci związani z historią czy literaturą. W 1931 botanik Józef Paczoski postanowił zbadać roślinność na południowym trackim kurhanie, na którym wkrótce wzniesiono mauzoleum. Pisał w swojej pracy „Szata roślinna kurhanu króla Władysława Warneńczyka": „Gdy w roku 1931, podczas mej podróży naukowej po Bułgarii, stanąłem na kurhanie Warneńczyka, przyszła mi myśl opisania roślinności tego kurhanu, ponieważ ona, jak i roślinność kurhanów ukraińskich, może być pomocną w rozwiązywaniu zagadnień, związanych z odtwarzaniem szaty roślinnej. Nie potrzebuję chyba dodawać, że do tego nakłonił mnie również pietyzm względem samego miejsca, które poczuwałem się w obowiązku uczcić w dostępny dla mnie sposób".

Paczoski wymienił kilkadziesiąt gatunków – od ostnicy i chabra po dziką gruszę i dąb omszony – i postulował ochronę kurhanu wraz z okalającym terenem przed wypasem bydła. Jego praca, wydana w Poznaniu, jest jednym z pierwszych świadectw paleoekologicznego spojrzenia na to miejsce – próby odczytania historii krajobrazu przez pryzmat roślinności, która przetrwała na dawnym polu bitwy.

WASZ KRÓL, NASZ BRAT

W latach 30. XX wieku Bułgaria wyraźnie skręciła w stronę nacjonalizmu. Można się domyślać, w jakim duchu zorganizowano by pięćsetną rocznicę bitwy, gdyby nie wybuch II wojny światowej i zbliżająca się klęska Hitlera. 8 września 1944 roku Armia Czerwona wkroczyła do Bułgarii. Warna, Ruse, Silistra, Dobricz i Burgas zostały zajęte bez walki. Tego samego dnia Bułgaria wypowiedziała wojnę III Rzeszy. Jeśli więc w bułgarskich urzędach istniały jakieś plany obchodów pięćsetlecia bitwy, to po wkroczeniu Sowietów trafiły do najgłębszych szaf albo zostały zniszczone. Oficjalna ideologia zmieniała się radykalnie z dnia na dzień, a z dawnych, nacjonalistycznych narracji trzeba było szybko zrezygnować. Mimo to o rocznicy pamiętano w dwóch niemieckich obozach jenieckich, gdzie polscy oficerowie uczcili ją na swój sposób – wydając okolicznościowe znaczki pocztowe. W Oflagu II C Woldenberg pojawił się znaczek z orłem o dwóch koronach – polskiej i węgierskiej. W Oflagu II D Gross Born – miniaturka z leżącą postacią króla, przebitą strzałą i napisem: „LADISLAUS VARNENSIS REX POLONIAE".

W epoce komunizmu Warneńczyk przeszedł kolejną transformację. Dla władz Bułgarii Ludowej – sojusznika Polski w Układzie Warszawskim – stał się wygodny. Alexander Andreev, wieloletni korespondent Deutsche Welle i publicysta Capital.bg, z którym rozmawiamy, wyjaśnia: „Wśród starszych Bułgarów wspomnienia o Warneńczyku są wciąż zabarwione kliszami odziedziczonymi po czasach komunistycznych. W tamtych dziesięcioleciach był on przedstawiany przede wszystkim jako symbol słowiańskiego braterstwa między Bułgarią a jej socjalistycznym sojusznikiem, Polską".

W PRL-owskich podręcznikach bitwa pod Warną była przywoływana jako przykład wspólnej walki bratnich narodów przeciwko „tureckiemu najeźdźcy" – choć pomijano fakt, że w 1444 roku Bułgaria jako państwo już nie istniała. W podręczniku Jerzego Dowiata dla klasy pierwszej liceum z 1981 roku akcent kładziono głównie na zdradę Zachodu: „Za namową Wenecji zainteresowanej w kontynuowaniu wojny z Turkami papież wywierał nacisk na Władysława III, by zerwał zawarty rozejm. Obietnica posiłków z Europy Zachodniej [...] sprawiła, że Władysław rzeczywiście zerwał rozejm i ruszył pośpiesznie do Bułgarii. Posiłki jednak zawiodły".

„GRÓB JEGO JEST EUROPA"

Andreev mieszka w Sofii, ale często bywa w Warnie. „Każdego lata wielokrotnie przejeżdżam bulwarem Władysława Warneńczyka i przez Władysławowo, jedną z największych dzielnic Warny" – mówi. I właśnie ta codzienność sprawiła, że zadał sobie pytanie: Kim właściwie jest ten polski król dla Bułgarów? Zapytał znajomego profesora antropologii kulturowej z Uniwersytetu Sofijskiego. Ten odpowiedział: „Skojarzenia są bardzo pozytywne, ale Władysław pozostaje raczej niszową postacią w bułgarskiej świadomości historycznej". W efekcie Warneńczyk funkcjonuje na dwóch poziomach: dla całego kraju to postać raczej zapomniana, ale dla Warny – część tożsamości. Z jednej strony symbol państwowy wykorzystywany przez komunistyczną propagandę, z drugiej – lokalny bohater, który istnieje w nazwach ulic i dzielnic.

Dr Tomasz Gromelski z Uniwersytetu Oksfordzkiego, którego zapytaliśmy o szersze tło odwoływania się do tego właśnie monarchy, odpisał: „Chodzi głównie o potrzebę zrozumienia genezy i kontekstu jakiegoś wydarzenia, o chęć uzasadnienia współczesnych decyzji i postaw, a także o przywołanie rozmaitych przewag oraz historycznych dokonań wielkich rodaków. Upraszczając, celem jest »pokrzepienie serc« i budowanie poczucia ciągłości wspólnoty. W Polsce o Władysławie Warneńczyku pamięta się przede wszystkim jako o królu Polski i Węgier, jednym z monarchów z wielkiej dynastii jagiellońskiej. W Bułgarii jest zdecydowanie większy nacisk na samą bitwę i jej historyczne oraz symboliczne znaczenie. Inaczej mówiąc, w Polsce pamięta się przede wszystkim o królu, a w Bułgarii – przede wszystkim o bitwie".

Jak się okazuje, ten fenomen nurtuje nie tylko nas. Dimow, kiedy kończyliśmy rozmowę, zapytał: A dla was kim jest Warneńczyk? Bo spotkał już wśród odwiedzających gości różne grupy Polaków – entuzjastów historii, turystów, ale też takich, dla których Warneńczyk stał się czymś w rodzaju narodowego bohatera. Słowa o radykałach nie padły, ale zrozumieliśmy, że pytał, czy przyjeżdżamy jako badacze, czy jako pielgrzymi. Na koniec powiedział też: „Marzenia są czymś, co umiera ostatnie w pewnym sensie. Więc kiedy marzenie się kończy, wtedy życie się kończy".

Brakowało nam jeszcze głosu tych, którzy złożyli wieńce, więc wysłaliśmy do Stowarzyszenia Kocham Polskę maila z pytaniami, kim są i co ich do Warny sprowadziło. Nie odpowiedzieli. Ich wieniec mówi jednak sam za siebie: „Ku pamięci".

Jan Kochanowski napisał w XVI wieku:
Król dwu koron Włodzisław; bo bijąc pogany
We krwi nieprzyjacielskiej upadł zmordowany
W pośród ziemi tureckiej; jego poświęcone
Kości nie są w ojczystym grobie położone –
Grób jego jest Europa, słup śnieżne Bałchany,
Napis, wieczna pamiątka między chrześciany

Wracaliśmy z Mauzoleum Władysława III Warneńczyka alejką i przy bramie wychodziła wycieczka rosyjskich dzieci. Patrzyliśmy na nie, zastanawiając się, czy pusty grób może być wspólnym miejscem pamięci. ●

eprasa.pl 7e1750f966

Antypolityka historyczna

Marionetki

Prus tłumaczył, skąd wziął tytuł „Lalka”. Miał też inny pomysł, na szczęście z niego zrezygnował.

Janowski



Kiedy na okładkach czasopism, w księgarniach, internecie „Lalka” króluje, można się zastanowić: czy naprawdę trzeba było dwóch filmów, aby przypomnieć o jednej z najważniejszych polskich powieści? Czy „Lalka” nie zasługuje na to, aby być ciągle w orbicie naszych zainteresowań? Czy życie umysłowe musi zależeć od przypadkowych okoliczności zewnętrznych?

No więc pewnie musi i nie ma co narzekać. Lepiej wykorzystać okazję i spróbować zastanowić się (jeszcze raz) nad tą powieścią. „Lalka” na pewno nie jest „tą jedyną” spośród książek, którą zabrałbym na wyspę bezludną (nie wiem zresztą, co bym zabrał). Ale podczas kilkakrotnej lektury zawsze miałem wrażenie, którego nie potrafiłem sobie zracjonalizować ani nawet jasno wyrazić słowami; że „Lalka”, obojętnie czy ją lubię bardzo, czy tylko trochę, niezależnie od tego, że są książki, które podobają mi się bardziej, jest książką wielką, może nawet genialną – i że jest to proste stwierdzenie faktu, a nie moja subiektywna ocena. I teraz się zastanawiam, dlaczego tak sądzę. Czy chodzi o światopogląd Prusa? Jest mi bliski; bardzo lubię warszawskich pozytywistów, którzy w zasadzie mieli rację w swym ogólnym obrazie świata i w swych diagnozach, bo trafnie widzieli problem zacofania Polski i konieczność wyjścia z niego. Ale nie, to nie światopogląd decyduje. Jeśli chcemy poznać poglądy polityczne i społeczne Prusa, to jego publicystyka (wspaniała!) jest o wiele lepszym źródłem niż „Lalka”.

Ta powieść nie jest agitką, tendencyjną historyjką do propagowania pozytywistycznego światopoglądu. Jest, że użyję banalnego słowa – niejednoznaczna, ale nie dla tego, że Prus nie miał sprecyzowanej koncepcji, tylko przeciwnie: właśnie miał sprecyzowaną koncepcję swojej książki, chciał w niej pokazać wieloznaczność świata.

●

Weźmy sam tytuł. Prus wyjaśniał kiedyś w liście do redakcji „Kuriera Warszawskiego” tę sprawę, która intrygowała ówczesnych czytelników i intryguje dzisiejszych. Napisał, że pomysł książki był już gotowy, ale jemu samemu, jako autorowi, ciągle brakowało jakiegoś punktu centralnego, wiążącego fabułę w całość. Znalazł go w doniesieniu prasowym o procesie o kradzież lalki, jaki miał miejsce w Wiedniu, i umieścił ten proces, przeniósłszy go do Warszawy, w swojej powieści. Odtąd pisanie poszło już gładko. Tytułową lalką nie jest więc Izabela, lecz prawdziwa lalka Heluni Stawskiej. Czy można w pełni wierzyć takim autorskim autokomentarzom, to inna sprawa. W innym miejscu Prus napisał, że może lepiej byłoby, gdyby powieść miała tytuł „Trzy pokolenia”.

Chyba jednak nie byłoby lepiej. Tytuł byłby banalny i podawałby na tacy tezę, że powieść opowiada o problemach trzech pokoleń idealistów; Rzecki, Wokulski, Ochocki. Taki, jaki jest, jest intrygujący. Nie próbując zredukować wieloznacznego symbolizmu do jednego prostego wyjaśnienia, chciałbym zwrócić uwagę na trop, który do mnie przemawia najbardziej: marionetki. Czytelnik po raz pierwszy widzi sklep Wokulskiego na początku powieści, kiedy do sklepu wchodzi Rzecki ze swym pudlem Irem. Co widzi najpierw? „Rzędem ustawione w szafie lalki małe, średnie i duże, brunetki i blondynki, przypatrywały się im martwymi oczyma”. Jeśli się nie mylę, to pierwszy raz, kiedy słowo „lalka” pada w powieści. A kiedy Rzecki pisze pamiętnik, wspomina swą młodość jako subiekta w sklepie Mincla, gdy patrzył przez sklepowe okno na ulicę i widział, jak za oknem przesuwają się najróżniejsi ludzie – „szli w jedną i drugą stronę, jak figury w ruchomej panoramie”.

I najbardziej zapadająca w pamięć scena. Gdy Rzecki wieczorem, już po zamknięciu sklepu, samotnie nakręca wszystkie mechaniczne zabawki, staje się jakby jakimś – podrzędnym i ograniczonym, ale jednak – demiurgiem. „A gdy kogut zaczął piać łopocąc sztywnymi skrzydłami, gdy tańczyły martwe pary, co chwile potykając się i zatrzymując, gdy ołowiani pasażerowie pociągu, jadącego bez celu, zaczęli przypatrywać mu się ze zdziwieniem, i gdy cały ten świat lalek, przy drgającym świetle gazu, nabrał jakiegoś fantastycznego życia, stary subiekt podparłszy się łokciami śmiał się cicho”.

Niepokoi, że te lalki są martwe. Kiedy po raz pierwszy pojawia się na kartach powieści Ignacy Rzecki, to jego pokój jest „podobniejszy do grobu niżli do mieszkania”, a pudło na gitarę przypomina „dziecinną trumienkę”.

●

Jak to się ma do pozytywistycznego światopoglądu? Prus jest pozytywistą, ale wrodzony sceptycyzm i skłonność do ironii (a ironia łączy się przecież ze zdolnością widzenia świata z nieoczekiwanych perspektyw) chroniły go przed zbytnią wiarą w swoje własne poglądy. Racjonalistyczna i pozytywistyczna umysłowość nie przeszkadzała mu w zainteresowaniu spirytyzmem (pisze o tym w swych wspomnieniach socjolog Ludwik Krzywicki) i w poszukiwaniu głębszych wymiarów rzeczywistości. Jakiś nastrój metafizyczny, a czasem tylko oniryczny, unosi się nad wieloma fragmentami „Lalki”, co nie unieważnia pozytywistycznego światopoglądu, lecz jakby go pogłębia, dodaje mu dodatkowego wymiaru. Wojciech Has ten oniryczny charakter „Lalki” świetnie, choć pewnie trochę przesadnie, oddał w swej ekranizacji.

Niejednoznaczność świata u Prusa na tym się nie kończy. Jego najbardziej chyba ujmującą cechą jest umiejętność przedstawiania podzielonych racji. W „Faraonie”, przy całej sympatii, jaką autor i czytelnik darzy tytułowego bohatera, przecież postawa Herhora nie jest również pozbawiona poważnych argumentów; w „Placówce” niemieccy koloniści nie są ludźmi złymi, są uczciwi, pracowici, nie chcą ziemi Ślimakowi ukraść, tylko ją kupić za godziwą cenę – i tak dalej. Nie miejsce tu na omawianie skomplikowanych poglądów Prusa na kwestię żydowską, ale ona też jest przedstawiana z różnych stron, co niektórym współczesnym Prusa dawało asumpt do oskarżenia go o stronniczość na rzecz Żydów, a niektórym dzisiejszym interpretatorom pozwala uznać go za antysemitę – w obu wypadkach bezpodstawnie.

Wspomniałem o ironii – ważnym środku budowania tego poczucia niejednoznaczności. Czasem Prus szarżuje i w niektórych scenach poznajemy felietonistę-humorystę, jak w opisie dziwnych indywiduów w sądzie z okazji licytacji kamienicy Łęckich. Częściej jednak mamy do czynienia z ironią bardziej subtelną. Próbka: Wokulski oddaje się marzeniom o pannie Izabeli i ogarnia go błogi nastrój życzliwości do świata. „Owiał go rześki wiatr wschodni i zbudził te nieokreślone uczucia, które tak żywo przypominają wiek dziecinny. [...] Uśmiechał się do piaskarza wiozącego swój towar nędznym koniem w podługowatej skrzyni, a żebrząca wiedźma wydała mu się bardzo miłą staruszką; cieszył go świst rozlegający się w fabryce, i chciał pogadać z gromadką rozkosznych malców, którzy ustawiwszy się na przydrożnym pagórku ciskali kamieniami na przechodzących Żydów”.

Jeszcze jedna próbka: Geist opowiada Wokulskiemu o reakcjach oficjalnej nauki akademickiej na jego odkrycia. Na platynę o ciężarze właściwym dwa razy większym od normalnego któryś z uczonych powiedział „komprymowana platyna”. Geist komentuje: „Oni [uczeni – MJ] tak zawsze. Ile razy uda im się wynaleźć nazwę dla nowej rzeczy, zaraz mówią, że ją wytłumaczyli”. Trzeba naprawdę przeczytać wiele książek tzw. naukowych, i to z XXI, a nie z XIX wieku, aby docenić bezlitosną trafność tej obserwacji.

Ta książka ma w sobie tragizm, taki klasyczny tragizm grecki, w którym ludzie są wplątali w sprawy, nad którymi nie mają kontroli, niezależnie od trafności ich indywidualnych decyzji. Wszyscy są marionetkami.

●

I ostatnia sprawa. Panna Izabela.

Jest tendencja, bardzo zrozumiała, aby doszukiwać się w niej jakiejś głębi, niewidocznej na pierwszy rzut oka. Można jej współczuć – krewni i znajomi starają się wepchnąć ją w małżeństwo z człowiekiem, którego nie kochała i przecież nie miała żadnego obowiązku kochać. Miała prawo czuć się osaczona jego zabiegami. Obserwując różne związki małżeńskie, mogła słusznie nie być zachwycona samą instytucją małżeństwa i sądzić, że „ten mąż, który robi hałasy w domu za nowy kapelusz, a za domem wydaje pieniądze na ekwipaże dla aktorek, to wcale nieciekawe stworzenie”. W tym sensie ona również jest postacią tragiczną. Ale jednak – wiem, że tu się różnię od wielu czytelników i interpretatorów – w moim przekonaniu intencją Prusa było przedstawienie jej w sposób negatywny, jako osoby powierzchownej, niezdolnej do poważnego uczucia, a do tego bardzo niemądrej. Panna Izabela nie rozumie, że burza na morzu jest czymś groźnym, w odróżnieniu od burzy przedstawianej w sztuce teatralnej; nie wie (tu już Prus jest naprawdę okrutny), że 10 procent od trzydziestu to trzy, a nie dziesięć.

Jeśli zaś trafnie odczytuję intencje Prusa, to pojawia się pytanie, czy nie ma tu jakiejś artystycznej skazy? Czy relacja Wokulski–Izabela nie byłaby ciekawsza, gdyby oboje byli godnymi siebie partnerami? Tak mi się zdawało, aż kiedyś ktoś z moich znajomych w rozmowie podsunął mi inny trop. Czy nie jest tak, że Prus chciał przedstawić niszczący charakter miłości niczym nieuzasadnionej – a z drugiej strony również niczym nieuzasadnionej odmowy? Gdyby panna Łęcka miała jakieś zalety serca i umysłu, które uzasadniałyby fascynację Wokulskiego; gdyby Wokulski czymkolwiek zasłużył na niechęć panny Izabeli – to sytuacja byłaby dramatyczna i smutna, ale nie tak tragiczna, jak sytuacja opisana w powieści, gdy zarówno miłość Wokulskiego, jak i odrzucenie ze strony panny Izabeli są totalnie irracjonalne. Znowu więc mamy marionetki, tym razem powodowane własnymi emocjami, których nie rozumieją, i które są silniejsze od ich świadomych decyzji.

●

Planując swoje dzieła pisarskie, Prus postanowił, że chce napisać kilka „powieści z wielkich pytań naszej epoki”. I pozostajemy z dręczącym pytaniem: „Powieść z wielkich pytań naszej epoki” – czy jest nią i dla naszej „naszej epoki”, czy była nią dla tylko „naszej epoki” naszych prapradziadków? Wielka nieszczęśliwa miłość zdarza się dziś, jak zdarzała się wówczas, choć w innej sytuacji społecznej jej forma byłaby inna. Nie ma arystokracji, ale spory wokół okcydentalizacji i modernizacji Polski są tak samo żywe jak za czasów Prusa. Kwestie metafizyczne dzielą ludzi tak samo, jak dzieliły ich półtora wieku temu; podobnie jak Rzecki zadajemy sobie pytanie, czym jest „całe życie, którego początku nie pamiętamy, a końca nie znamy”. Czy więc rzeczywiście „Lalka” opowiada o czasach tak bardzo dawnych? Jedna z moich prababek, którą pamiętam bardzo dobrze, bo zmarła w wieku lat dziewięćdziesięciu, kiedy miałem lat sześć, urodziła się w roku 1879 – w roku trwania akcji „Lalki”. Mogła być jednym z niemowląt w wózkach dziecinnych w Ogrodzie Saskim czy w Łazienkach, kiedy bohaterowie powieści przechodzili opodal. Tylko jedno ludzkie życie dzieli mnie od czasów Wokulskiego. ●

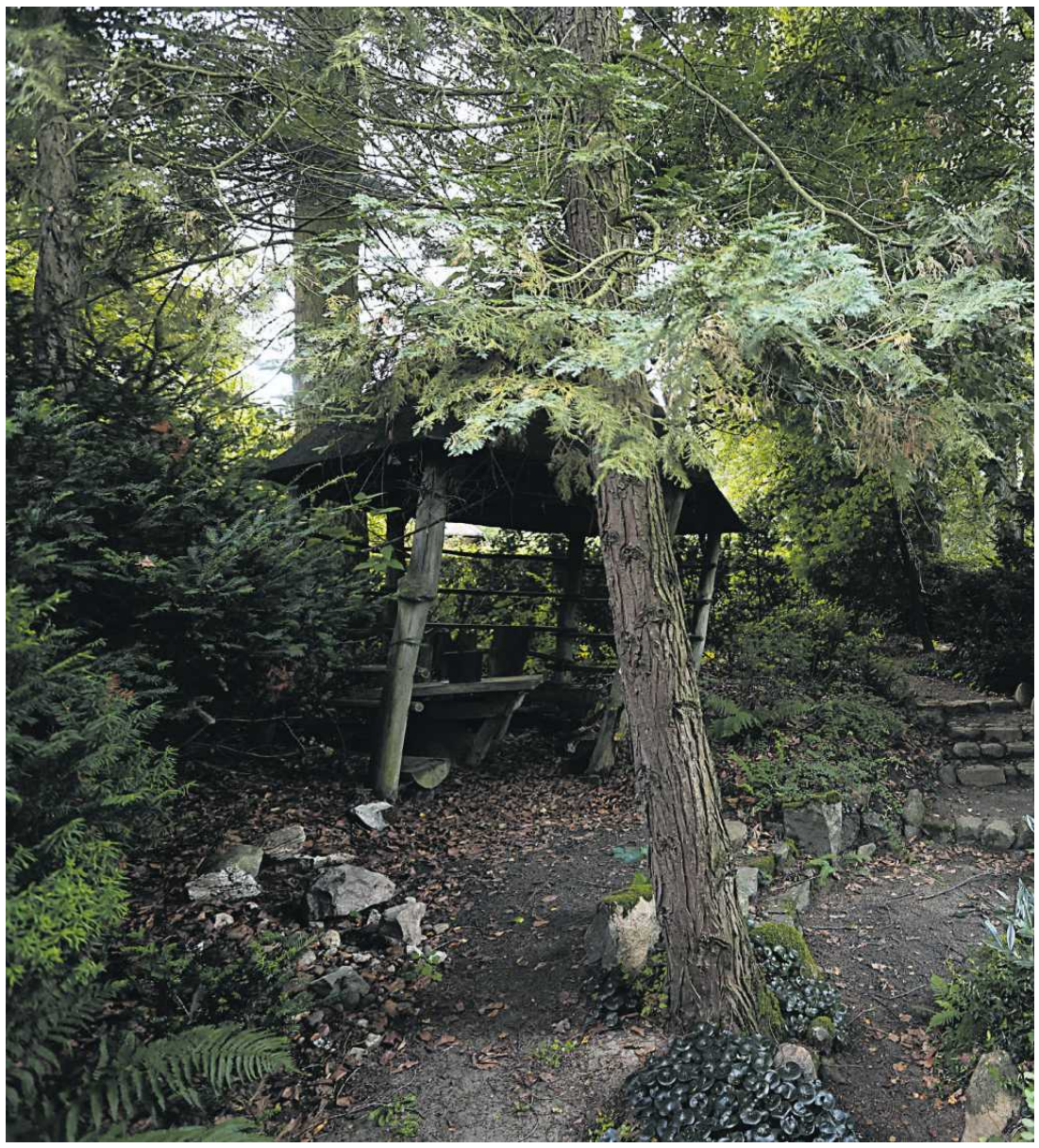
Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

eprasa.pl 7e1750f966

OGRÓD HISTORII MAŁEJ I WIELKIEJ

Andrzej Siwiec zaprojektował go, gdy siedział w stalinowskim więzieniu. W celi nie miał czym szkicować, wszystko zapamiętywał.





▲ **Tomasz Siwiec opowiada o swoich przodkach i niezwykłym ogrodzie, który stworzyli w rodzinnej posiadłości we wsi Adamów 40 km od Warszawy. W czasie wojny Siwcowie przyjmowali u siebie zrzuty dla podziemia** FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

◀ **Ambicją gospodarzy było to, by zachować pierwotny charakter ziemi, którą w przeszłości porastała puszcza. Najstarsze są tu graby pozostałe po rozciągającej się tu Puszczy Jaktorowskiej, w której miała zginąć ostatnia w Europie samica tura** FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Anna Kamińska

Leci! Jest 9 września 1943 roku. O dziewiętnastej w drewnianej, chłopskiej chałupie Jana Siwca pod Warszawą z odbiornika radiowego płynie piosenka nadana z bazy Royal Air Forces w Temsford pt. „Czy pamiętasz, Janku, w oborze na sianku?" – na znak, że samolot „Halifax" właśnie wystartował i jest w drodze do Polski.

W domu rodzinnym Jana, chacie Siwców otoczonej dębami, pod którymi lubił kiedyś przesiadywać Józef Chełmoński, grabami czy lipami zasadzonymi przez Jana wzdłuż drogi biegnącej blisko wąwozów niedaleko Kuklówki, poruszenie. Od dwóch dni wszyscy czekają na sygnał z Anglii z piosenką z „Jankiem" w tytule.

Jan, ojciec Antoniego, który za rok zginie w powstaniu warszawskim, i młodszego Andrzeja, mąż Anny, zgodził się udostępnić swoje gospodarstwo z sadem z jabłkami, leżące nad Pisią Tuczną w Wólce Brzozokalskiej 40 km na południowy zachód od Warszawy, jako bazę na czas operacji lotniczej o nazwie „Neon 4" w ramach zorganizowanej przez aliantów akcji zrzutów spadochronowych o kryptonimie „Riposta".

– W stodole siedzieli ukryci żołnierze AK, kilkanaście osób, czekając na znak rozpoczęcia działań, jedząc to, co wszyscy inni w gospodarstwie, oraz objadając się jabłkami i czytając książki, które dziadek donosił im z domu, żeby przetrzymali czas oczekiwań na sygnał o odbiorze zrzutów – mówi Tomasz Siwiec, wnuk Jana, stojąc pod dębami, dziś pomnikami przyrody w siedlisku Siwców. – A w domu dziadków siedzieli w tym czasie dowódcy akcji i była tam ulokowana radiostacja.

WSPÓŁPRACUJĘ ZE WSZYSTKIM, CO ŻYJE

W ogrodzie Tomasza rozciągającym się na obszarze hektara na terenie, którego granicę wyznacza rzeka Pisia Tuczna, oprócz dębów Macieja i Kazimierza o kilkumetrowych obwodach pnia rosną dziś tak samo wiekowe graby, jodły czy lipy oraz mnóstwo innych starych drzew i krzewów. Na przykład rozłożysty cis o średnicy korony kilkunastu metrów, który Jan dostał w prezencie w 1930 roku jako poseł na sejm od prezydenta II RP Ignacego Mościckiego.

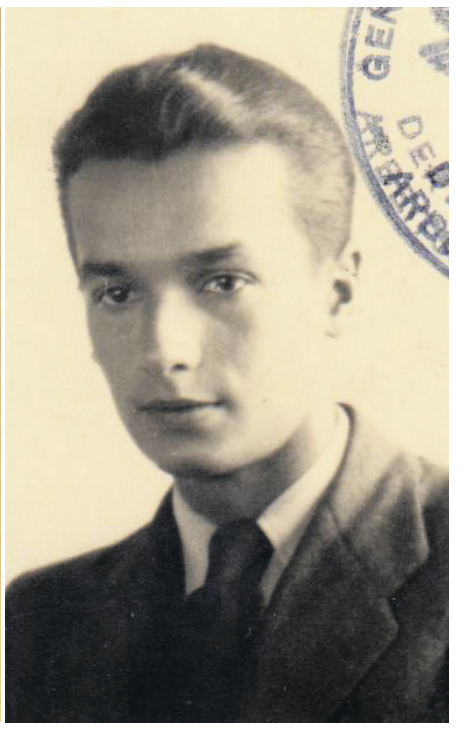
eprasa.pl 7e1750f966











▲ **Andrzej Siwiec (pierwszy z prawej, uśmiechnięty) podczas spotkania w rodzinnym ogrodzie w 1942 roku** FOT. ARCHIWUM RODZINNE

▲ **Jan Siwiec, który stworzył rodzinne gniazdo w Adamowie i jego syn Antoni, który zginął pierwszego dnia powstania warszawskiego w wieku 21 lat. Nosił pseudonim „Moszyński” i był żołnierzem, walczącego w Śródmieściu zgrupowania „Siekiera”** FOT. ARCHIWUM RODZINNE

◀ **Dom Siwców w Adamowie na zdjęciu przedwojennym, gdy miejsce to nosiło jeszcze nazwę Wólka Brzoskalska** FOT. ARCHIWUM RODZINNE

To ogród pielęgnowany od pokoleń przez Siwców, których ambicją było to, by zachować pierwotny charakter tej ziemi, którą porastała puszcza, gdy osiem pokoleń wstecz pojawili się tu ich pradziadowie, i ochronić krajobraz z wąwozami i Pisią. Najstarsze są tu graby, jak ocenili dendrolodzy, pozostałe po rozciągającej się tu Puszczy Jaktorowskiej, tej, w której miała zginąć ostatnia w Europie samica tura.

– Tu grasują bobry – mówi Siwiec, stojąc nad Pisią, i pokazuje miejsca na końcu ogrodu w najdzikszej jego części, gdzie zwierzęta robią nory. – Nie budują żeremi, tylko tu się właśnie organizują. Podchodzą tu też sarny, jelenie, łosie czy dziki. Zwierzęta dają mi tu od czasu do czasu popalić, ale staram się współpracować ze wszystkim, co żyje. Jeśli widzę, że bobry lubią wierzbę, wiąz czy leszczynę, to im zostawiam gałęzie, a pnie zabezpieczam siatką, żeby mi nie podjadały drzew. Muszę uważnie obserwować dzikie zwierzęta i reagować na to, co robią, by zachować ten ogród, chociaż z czasem jest to coraz trudniejsze, bo jeszcze dekadę temu nie było ich tyle co dzisiaj.

Zasadą numer jeden Siwców zakładających ogród o charakterze parkowym, którego zalążek powstał jeszcze przed II wojną, gdy Jan sadził tu kilkadziesiąt drzew, sadzonek, które dostał w Spale od prezydenta, było właśnie to, by w jak najmniej inwazyjny sposób wpływać na otoczenie, nie ingerować w krajobraz, tylko wykorzystywać teren, obserwować, co się wokół dzieje, i dostosowywać się do zmian w przyrodzie. Część ogrodu pozostawała dzika, część projektował Jan, a potem jego syn i wnuk.

Zasadą numer dwa Siwców od pokoleń było natomiast to, by nigdy nie dzielić ziemi. Dzieci posyłali do miasta, by zdobywały wykształcenie i pracę, nie tracili pieniędzy na wódkę, zasuwali od świtu do nocy na gospodarstwie i pilnowali ziemi. Gdy w czasie wojny Jan udostępnił rodzinne gniazdo na akcję żołnierzom AK, gospodarstwo liczyło 20 hektarów, a kolejne 20 Siwcowie jeszcze dzierżawili. Mieli w gospodarstwie konie, krowy, owce, drób, inspekty z warzywami czy ule.

CHEŁMOŃSKI POD DĘBEM MACIEJ

– W czasie wojny dziadek wpadł na pomysł, by uprawiać warzywa na nasiona, bo ludzie nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie potrzebowali jarzyn. Zarobił na nasionach pieniądze i postawił tu jeszcze solidną stajnię – wspomina Siwiec. – Gdy jako działacz Delegatury Rządu na Kraj otrzymał pytanie, czy nie przyjąłby u siebie zrzutów, nie odmówił, miał rozległe gospodarstwo i miejsca, gdzie mógł ukryć ludzi i kontenery z bronią, amunicją, pieniądze etc. W stodole zbudował kryjówkę w sianie i tu było wszystko przepakowywane po zrzutach do walizek, mój tata brał w tym udział i potem wszystko trafiło stąd prosto do Warszawy.

„Dla państwa Siwców mieliśmy wszyscy bardzo dużo szacunku – napisał po wojnie w swoich wspomnieniach uczestnik akcji „Riposta – Neon 4” Jerzy Sawicki ps. „Biały”, żołnierz AK z oddziału ubezpieczającego operację „Neon 4”. – W tamtych czasach trzeba było posiadać wiele odwagi i samozaparcia, aby wciągnąć całą rodzinę w tak niebezpieczną pracę, jak wspomaganie oddziałów walczących z okupantem”.

Tomasz zna historię operacji „Neon 4” od ojca Andrzeja, który w przeciwieństwie do starszego brata nie wziął potem udziału w powstaniu. – Dziadek nie chciał się zgodzić na udział obu synów w walkach w Warszawie – opowiada. Andrzej przeżył wojnę, ukrywając się przez jakiś czas po odbiorze zrzutu tak samo jak cała rodzina Siwców. Pracował w tym czasie jako robotnik w parku w Żelazowej Woli, gdzie poznał architektów krajobrazu prof. Franciszka Krzywdę Polkowskiego i Alinę Scholtz.

Jan kochał drzewa. Jako kilkunastoletni chłopak poszedł z Wólki Brzozokalskiej (nazwa prawdopodobnie od brzóz i kół młyna stojącego tu dawniej na Pisi Tucznej) do leśniczego do Radziejowic i kupił sadzonki lip, którymi obsadził drogę, przy której stała chata Siwców. Ze wspomnień rodzinnych wynika, że na wrażliwość Jana na przyrodę mogły mieć wpływ z jednej strony bliskość parku przy Pałacu Krasińskich w Radziejowicach nad Pisią Gągoliną, gdzie chodził do szkoły. Z drugiej strony kontakty jego rodziny z Chełmońskim, sąsiadem Siwców o oku wyczulonym na przyrodę.

Anna z Siwców Kwiecińska, która dożyła 106 lat, ciotka Tomasza, wspominała malarza, rówieśnika jednego z Siwców, który podjeżdżał pod ich chałupę bryczką, kierował się prosto pod dąb Maciej i tu, zasiadłszy w cieniu w kapeluszu i płaszczu, który przypominał siermięgę, miał toczyć z mieszkańcami chaty rozmowy. Dziś drobnolistne pomnikowe lipy, które Jan

eprasa.pl 7e1750f966



• **Współczesny wygląd domu Siwców w ogrodzie we wsi Adamów**

FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

jako nastolatek zasadził na początku XX wieku, kwitną latem naprzeciw domu Siwców, przylegając do ulicy Brzozokalskiej we wsi Adamów, która z czasem wchłonęła niewielką Wólkę.

Jako miłośnik przyrody i działacz społeczny, a potem poseł Jan starał się od przedwojnia zadrzewiać kraj. Z jego inicjatywy szpalerami wielu odmian lip były wysadzane drogi, między innymi szosa prowadząca z Kuklówki do Grodziska Mazowieckiego, część z tych lip ocalała i wciąż zdobi drogę nr 579.

AMBASADOR POLSKIEJ WSI

Zanim w 1928 roku został posłem BBWR, organizował kółka rolnicze z ramienia Centralnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych, pracował jako redaktor naczelny w prasie rolniczej i instruktor rolny, a jeszcze wcześniej działał z kolegą, też chłopem, w założonym przez ziemian Okręgowym Towarzystwie Rolniczym. W II RP już jako specjalista do spraw rolnictwa uczestniczył w posiedzeniach nieformalnej grupy konsultacyjnej przy prezydencie Mościckim, bywając na urządzanych przez niego zebraniach w Warszawie czy w Spale. Działacz dziesiątek organizacji, kółek, stowarzyszeń, między innymi przewodniczący przedwojennego Sądu Rozjemczego Rolnictwa powołanego do oddłużenia rolników. Do uprawiania wielkiej polityki miał dystans, nie palił się do takiej roboty, sama w sobie go odstręczała. Cieszyły go praca w terenie i roztrząsanie spraw chłopskich w regionach, motywowało to, że widzi realny wpływ na poprawę sytuacji konkretnych wsi.

„Ambasador polskiej wsi", jak mówiono o nim w międzywojniu, najpierw przymusowo walczył jako chorąży artylerii w armii carskiej imperium rosyjskiego w czasie I wojny światowej, następnie brał udział jako podporucznik Wojska Polskiego w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, a potem uczestniczył w trzecim powstaniu śląskim w 1921 roku. Wciągał w działalność społeczną rodzinę. W czasie okupacji bezpłatnie dostarczał ze swojego gospodarstwa marchew, ziemniaki czy brukiew do lokalnego komitetu samopomocy i tanich kuchni.

Piechur, poza tym, że miłośnik przyrody, nawet jako poseł lubił wysiąść na dworcu kolejowym w Grodzisku Mazowieckim i przejść pieszo siedem kilometrów do rodzinnego domu Siwców, by chwycić za kosę i pomóc w gospodarstwie. Tu było od zawsze gniazdo Siwców, tu każdą wolną chwilę spędzała cała ich rodzina, tu zawsze było co jeść, tu ukryto dwójkę dzieci z Zamojszczyzny, tu po powstaniu warszawskim znalazło schronienie kilkadziesiąt osób bliskich Siwcom.

OGRÓD PROJEKTOWANY W GŁOWIE

Gdy Jan zaczął tworzyć przydomowy ogród o charakterze parkowym, co przerwała II wojna, zaraził tym syna Andrzeja, który został po wojnie dyplomowanym architektem krajobrazu.

– Tata projektował ten ogród najpierw w głowie, gdy siedział w więzieniu stalinowskim – opowiada Tomasz. – Bo kiedy zaczął po wojnie rozwijać tu ogród, został nagle aresztowany za działalność w konspiracyjnej organizacji Związek Uniwersalistyczny opartej na nielegalnych strukturach harcerskich. Był oskarżony o coś, z czym nie miał zresztą nic wspólnego, i wraz z kilkudziesięcioma innymi członkami związku trafił do więzienia na Rakowieckiej z groźbą kary śmierci. Śledztwo, które trwało rok, złagodziła śmierć Stalina, dostał 20 lat więzienia. W celi nie miał szans szkicować, więc wszystko planował w głowie. W więzieniu spędził w sumie 3,5 roku. To, że myślał o ogrodzie, pomogło mu nie tylko nie oszaleć na skutek brutalnych przesłuchań i więzienia, ale w ogóle przetrwać ten czas; to go trzymało przy życiu.

Gdy Andrzej siedział w więzieniu i chudł, bo na okrągło jadł surowego zmielonego dorsza i zupę z brukwi, tracąc siły w ciasnej, dusznej celi, Jan w tym czasie szczepił rośliny w siedlisku Siwców, by odpędzić od siebie złe myśli. Przygotowywał dla syna sadzonki, troszcząc się o 90 odmian bzów, jaśminy, derenie i inne krzewy, które rosły tu od przedwojnia, wierząc, że syn opuści kiedyś mury więzienia i przejmie opiekę nad ogrodem.

Andrzej wyszedł na wolność w 1955 roku. Gdy przyjechał do domu, zaczął pomagać rodzicom żyjącym w biedzie, bo po wojnie Jan nie mógł nigdzie znaleźć pracy. Najpierw pomagał z remontem chaty, potem pochylał się nad stołem kreślarskim i chwytał za szpadel. W czasach powojennej biedy nie miał w gospodarstwie nawet taczek, ale miał wiedzę, doświadczenie oraz, co najważniejsze, kiełkujące od lat pomysły i inspiracje od najlepszych i zaczął je teraz realizować przy użyciu zwykłej łopaty.

– Wszystko tata z dziadkiem robili tu własnymi siłami, przy użyciu szpadla; kopali ziemię, przenosili kamienie, rozkładali drobne kamyki, zaprojektowali samodzielnie nawodnienie, korzystając z tego, co było w gospodarstwie – tłumaczy Tomasz. – Ojcu zależało, gdy projektował ten ogród skalny, by wykorzystać rzeźbę terenu i do niej dostosować projekt, stworzyć okna widokowe, by móc przystanąć i zachwycić się przyrodą w jednym czy drugim oknie. Nie chciał zamykać tego ogrodu całkowicie przed ludźmi idącymi ulicą, zachował tylko część miejsc całkowicie zasłoniętych z ulicy, niewidocznych dla postronnych. Uważał, że ogród powinien być otwarty na innych i swoim projektem zapraszać do środka, by zerknęli na coś, przystanęli i też się czymś zachwycili. Sadził nowe rośliny, ale łączył to, co nowe, z tym, co rośnie dziko, kierując się ideą XVIII-wiecznych projektantów angielskich. Siwcowie zawsze byli postępowi, ciekawi nowości i otwarci na innych ludzi. Szli z duchem czasu, jednak bez pośpiechu, którego przyroda nie lubi.

Andrzej, odzyskując siły, kopał, sadził, podlewał. Gdy wytyczał alejki i sadził rośliny, mocował do nich tabliczki przypominające te z ogrodów botanicznych – z opisem, co to za gatunek, z nazwą polską (miłorząb japoński) i łacińską (*Ginkgo biloba*); wiszą w ogrodzie Siwców do dzisiaj. Notował różne nazwy odmian w zeszycie, który służy teraz z kolei Tomaszowi.

ŻADNYCH KOPAREK, WYSTARCZY SZPADEL

Andrzej tak jak Jan wykorzystywał stare liście na kompost, śnieg podgarniał zimą, by, topiąc się, nawadniał krzewy, pozwalał wracającym drogą pod lipami krowom sąsiadów ze wsi ocierać się o żywopłot, co pomagało w jego formowaniu, obserwował, co i jak wpływa na życie ogrodu. Z czasem znalazł stałą pracę i został kierownikiem pracowni w Biurze Projektowym Ligi Ochrony Przyrody, gdzie zajmował się rekultywacją terenów poprzemysłowych czy uczył w szkole ogrodniczej; napisał też podręcznik o kształtowaniu terenów zieleni.

Dziś ogród Siwców, założony w zwykłej mazowieckiej zagrodzie, jest różnorodny, noszący ślady eksperymentowania z nowymi odmianami (czeremcha amerykańska) i jednocześnie podtrzymywaniem tego, co rosło tu od wieków (paprocie) i jako integralny element krajobrazu wyjątkowy w skali Polski.

To ogród, w który wpisuje się historia Siwców i Polski, a jednocześnie otwarty na innych, przez jakiś czas przez posiadłość prowadził nawet szlak turystyczny, który Andrzej wyznaczył dla piechurów. Nie stronił od tego, by opowiadać o historii poszczególnych roślin, które przybywały tu z całego świata, tak jak Tomasz nie unika tego, by edukować ludzi w kwestii projektowania i pielęgnowania ogrodu i dbać o pamięć o Janie i Andrzeju.

Troska o przyrodę to dla niego dbałość o siebie, bo praca w ogrodzie jest terapią, zapomina wtedy o wszystkich problemach. Ale też troska o rodzinę, bo trudno, przesadzając cokolwiek, nie pomyśleć o dziadku czy o ojcu, którzy mieli tu swoje ulubione rośliny i o nich opowiadali. I troska także o tę ważną dla nich wszystkich, niedzieloną przez pokolenia ziemię, gdzie wszyscy Siwcowie zapuszczali korzenie, a więc o ich małą i wielką historię.

– Dziadek i ojciec założyli ten ogród, ja dzisiaj tylko o niego dbam, starając się nie zmieniać ich założeń – przyznaje Tomasz. – Świadomość, że nie mogę tego utracić, zaprzepaścić czy zaniedbać, motywuje mnie tu do pracy przez cały rok. Na pewno pomaga mi też zachować więź z przodkami i się tu zakorzeniać jak oni. Tak jak inni Siwcowie nie wpuszczam tu koparki, wszystko robię przy użyciu szpadla, korzystam z rad taty i pośrednio dziadka. Zadaję sobie zawsze pytanie, jak oni zrobiliby to, co chcę tu zrealizować.

ŚNIEŻYCA I JEJ DZIECI

Tomasz dzieli się swoim doświadczeniem, gdy ktoś go o to prosi, nie tylko we własnym ogrodzie, bo tak jak Andrzej zajmuje się dziś projektowaniem ogrodów i lubi pokazywać innym, jak możemy żyć w zieleni.

Praca w tym ogrodzie, którą zaszczepił mu ojciec, nauczyła go nie tylko pokory, zachęciła do obserwacji i współpracy z tym, co dookoła, ale też odrobiny dystansu do rodzinnej historii i na jej tle do tego, co robi. – Mamy na przykład w ogrodzie śnieżycę wiosenną, mój tata się nad nią trząsł, zależało nam na tej roślinie – tłumaczy. – Aż kiedyś nam ktoś ją ukradł. Zwinął po prostu kępkę. Okazało się, że ta śnieżyca zostawiła tu po sobie dzieci i one rozlazły się po kradzieży, rozkwitając w najlepsze. Ja się już aż tak nie trzęsę, tylko współpracuję, reaguję wtedy, gdy muszę, sadzę gatunki odporne i regenerujące się, nawet jeśli coś zjedzą dzikie zwierzęta, to nie zakłóci mi to ogólnego założenia ogrodu.

U Siwców pod drzewami na jednym hektarze dzieje się tak wiele, gdy obchodzi się ten ogród dookoła, że wydaje się, że jest cztery razy większy niż w rzeczywistości. – Projektowanie ogrodu to sztuka iluzji – mówi Tomasz. – Chodzi o to, by spacer w ogrodzie, pełnym zakamarków, przyniósł niespodzianki i dostarczył doznań, że za kolejnym zakrętem jest coś jeszcze. I dalej jeszcze coś i jeszcze coś, niezwykle ważne jest zachowanie kulisowości.

●

Za kulisami operacji „Riposta – Neon 4" nocą z 9 na 10 września 1943 roku wszyscy jej uczestnicy odetchnęli z ulgą, mimo że jeden kontener ze zrzutu zaginął i przez jakiś czas trzeba było go szukać, penetrując teren w ciemnościach. Akcja się powiodła. Żołnierze AK: Elżbieta Zawacka ps. „Zo", jedyna kobieta wśród cichociemnych, Bolesław Polończyk ps. „Kryształ" i „Fryderyk Serafiński ps. „Drabina" wylądowali szczęśliwie w polu łubinu dwa kilometry od gospodarstwa Siwców. ●

W tekście cytuję wspomnienia Jerzego Sawickiego, fragmenty maszynopisu „Byłem żołnierzem Osjana. Wspomnienia z czasów wojny", Ottawa 1996 rok

• **Kamienna kompozycja, jeden z wielu elementów, które tworzą unikatowy wygląd ogrodu**

FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



eprasa.pl 7e1750f966

Jasne strony dziejów

Rok Mazowieckiego

Uchwała sejmu ustanawiająca rok 2027 rokiem Tadeusza Mazowieckiego, choć zyskała poparcie 383 posłów, jakoś nie zwróciła uwagi mediów – a szkoda.

Andrzej Brzeziecki

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta



Rzadko bowiem w naszym sejmie trafiają się głosowania świadczące o tym, że mimo sporów i brutalnej walki politycznej są postaci, symbole czy sprawy, które łączą polityczny światek. Niewątpliwie Tadeusz Mazowiecki jest taką postacią. Świadczyły o tym różne hołdy, jakie oddawał mu parlament – także, co warto podkreślić, za rządów PiS. Tym razem uchwałę zaproponował Andrzej Domański, minister z KO, ale przebieg debaty nad nią pokazał, że nasz parlament – z małymi wyjątkami – jest zainteresowany w tworzeniu państwowej tradycji.

Niestety nawet „Gazeta Wyborcza”, która w 1989 roku piórem Adama Michnika wylansowała hasło „Wasz prezydent, nasz premier”, otwierające drogę do premierostwa Mazowieckiego, jakoś nie odnotowała decyzji sejmu.

Treść uchwały można znaleźć na stronach sejmu, zasługi i sukcesy Mazowieckiego oraz jego błędy i porażki są znane. Warto jednak docenić w polityce umiejętność przekraczania podziałów – kredowych kół – jakby napisał sam Mazowiecki. On to potrafił. Gdy wyciągał rękę do przeciwników politycznych. Ale tu chciałbym odnotować także to, że i do niego wyciągano rękę. Dziś wydaje się oczywiste, że ludzie tacy jak Mazowiecki, Michnik, Bronisław Geremek, Jacek Kuroń, Zofia Kuratowska, Olga Krzyżanowska, Andrzej Wielowieyski, Władysław Frasyniuk współpracowali na rzecz reform. A wcale to nie było oczywiste. Zbigniew Bujak, którego obecność w tym gronie wydaje się naturalna, przez kilka lat dryfował z Unią Pracy w sobie tylko wiadomym kierunku, tak samo Bogdan Borusewicz – który jako poseł „Solidarności” dryfował, co prawda w zupełnie przeciwnym do Bujaka, ale równie dziwnym, kierunku, aż do czasu rządów Hanny Suchockiej.

Z obozu tego także odchodzili – Aleksander Hall, Barbara Labuda, Andrzej Celiński, Jan Rokita. Inni, jak Kongres Liberalno-Demokratyczny Donalda Tuska przyłączał się, by potem na jego gruzach zbudować nową partię.

Mimo wszystkich tych podziałów, rozłamów i pęknięć wspólnota celów i wartości pozostała – a Mazowiecki z nikim nie był „na noże”. Nawet z Lechem Wałęsą, który w 1990 roku obrócił się przeciwko rządowi, zdołał potem współpracować. Podobnie było z Tuskiem – gdy kurz po rozłamie i klęsce Unii Wolności w końcu opadł, choć tu zajęło to chyba dłużej. W 1992 angażował się z dobrą wolą w próbę ratowania rządu Jana Olszewskiego (bezskutecznie).

Ale chciałbym zwrócić uwagę przede wszystkim na Michnika i Geremka. W oczach zwolenników, jak i zresztą przeciwników obozu Mazowieckiego obaj uchodzili za ludzi bliskich „pierwszemu niekomunistycznemu”. W końcu przecież „familia” i „świta” ze słynnego tekstu Piotra Wierzbickiego zlały się właśnie w jeden obóz „udecji”.

Poglądy Michnika i Geremka były inne od tych, które wyznawał Mazowiecki. Michnik miał wiele powodów, by nie ufać Mazowieckiemu, który w okresie „Solidarności” był przeciwnikiem środowiska KOR, widział w postawie korowców mentalność sekciarską i starał się eliminować ich wpływ na ruch robotniczy. Już przecież podczas negocjacji w stoczni latem 1980 roku był gotów „odpuścić” sprawę uwolnienia działaczy KOR, byle osiągnąć porozumienie. Potem było gorzej. Był czas, gdy z Kuroniem ledwo podawali sobie rękę.

Także w relacjach Mazowieckiego z Geremkiem zdarzały się poważne kryzysy. Jakąś rolę, obok poglądów, odgrywała pewnie rywalizacja – o pozycję głównego mózgu „Solidarności”, o miejsce przy uchu Wałęsy. Wreszcie – to Mazowiecki, otrzymał szansę tworzenia rządu, a nie Geremek, choć kilka tygodni przed nominacją uważał, że opozycja nie powinna brać władzy. Ba, nie kandydował nawet do sejmu, co irytowało Geremka, dla którego taka postawa była rozbijaniem „drużyny Wałęsy”.

Nawet bliscy mu ludzie mogli wówczas podejrzewać, że Mazowieckiego uwiodła historia i pomysł na rząd spodobał mu się, dopiero gdy w tym kontekście padło jego nazwisko. A jednak, gdy w sejmie Geremek prezentował kandydaturę Mazowieckiego, rzekł: „do podjęcia tej trudnej roli staje najlepszy”. Michnik zaś wydrukował w „Wyborczej” życzliwy tekst – okraszony pewnymi przestrogami – ale jednak życzliwy. A Kuroń wszedł do rządu.

To se ne vrati, ale w roku Mazowieckiego przynajmniej miło będzie powspominać. ●

Okruchy historii

Przeglądając teczki deportowanych

Przed wywózką na Sybir Irina oddała roczną córkę na przechowanie sąsiadom. Na miejscu komendant kazał ją dowieźć.

Prof. Grzegorz Motyka

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN



W wyniku paktu Ribbentrop-Mołotow Łotwa została anektowana przez Związek Sowiecki. By zunifikować ziemie łotewskie z resztą imperium, Sowieci dosłownie zdziesiątkowali ludność kolejnymi deportacjami na Syberię. Dokumentacja dotycząca zesłańców jest dziś pieczołowicie przechowywana w archiwum państwowym w Rydze. Czytając kolejne teczki, trudno oprzeć się uczuciu przygnębienia.

Do największej deportacja oznaczonej kryptonimem „Priboi” doszło w 1949 r. W jej trakcie wysiedlono na przykład rodzinę Alfreda Gryklawsa. W 1946 roku został on skazany na 10 lat łagrów za domniemaną współpracę z Niemcami. Trzy lata później władze postanowiły ukarać zesłaniem jego żonę, syna i córkę, sklasyfikowanych wyłącznie na podstawie win męża i ojca, jako „rodzina nacjonalistów”. Wywieziono ich do obwodu amurskiego, a ich mienie skonfiskowano. Dopiero w 1955 roku odważyli się napisać odwołanie z prośbą o uchylenie decyzji o zsyłce. Żona, Antonina Gryklaws, zwróciła przy tym uwagę, że od 1942 r. była z mężem w separacji. W dodatku, w czasie okupacji pomagała zbiegłym z obozu jenieckiego czerwonoarmistom, co potwierdzili przesłuchiwani świadkowie. Po miesiącach sprawdzania tych danych Gryklawsom w końcu pozwolono powrócić na Łotwę. Co ciekawe, zadeklarowali oni w rubryce „narodowość” polskie pochodzenie.

Do obwodu amurskiego wysiedlono w 1949 r. również Artura Zejbotsa z żoną i czwórką dzieci w wieku od 9 do 17 lat. Powodem wywózki był fakt, że jego brat August został w 1946 r. skazany na 10 lat łagrów za pomoc łotewskim żołnierzom SS. Dopiero w listopadzie 1955 Sąd Najwyższy Łotewskiej SSR uznał deportację Zejbotsów za nieuzasadnioną (bo nawet jeśli uznać winę Augusta, to przecież ani jego brat, ani tym bardziej rodzina nie powinni ponosić konsekwencji nie swoich czynów).

Irinę Grigoriewnę wywieziono na Syberię z mężem i teściami. Uznano ich za kułaków, bo byli właścicielami 27 hektarowego gospodarstwa (a „średniacy” mogli mieć najwyżej 25 ha). Obawiając się, że jej ledwie roczna córeczka nie wytrzyma trudów podróży, Irina przekazała ją na stacji kolejowej sąsiadom. Miała rację, bo w czasie jazdy na Syberię zmarł z wyczerpania w jej transporcie jeden ze staruszków. Jednak dziecko było też wpisane na listę zesłańców, więc na miejscu zsyłki od razu wychwycono jego brak. Na szczęście dla Iriny, rejonowy komendant zachował się przyzwoicie. Nie złożył meldunku do MGB, lecz nakazał, by dziecko zostało dowiezione na Syberię składem pasażerskim. Bo w papierach powinien panować porządek i liczba wywiezionych i osadzonych osób musiała się ze sobą zgadzać. Rodzina Grigoriewny powróciła na Łotwę po śmierci Stalina.

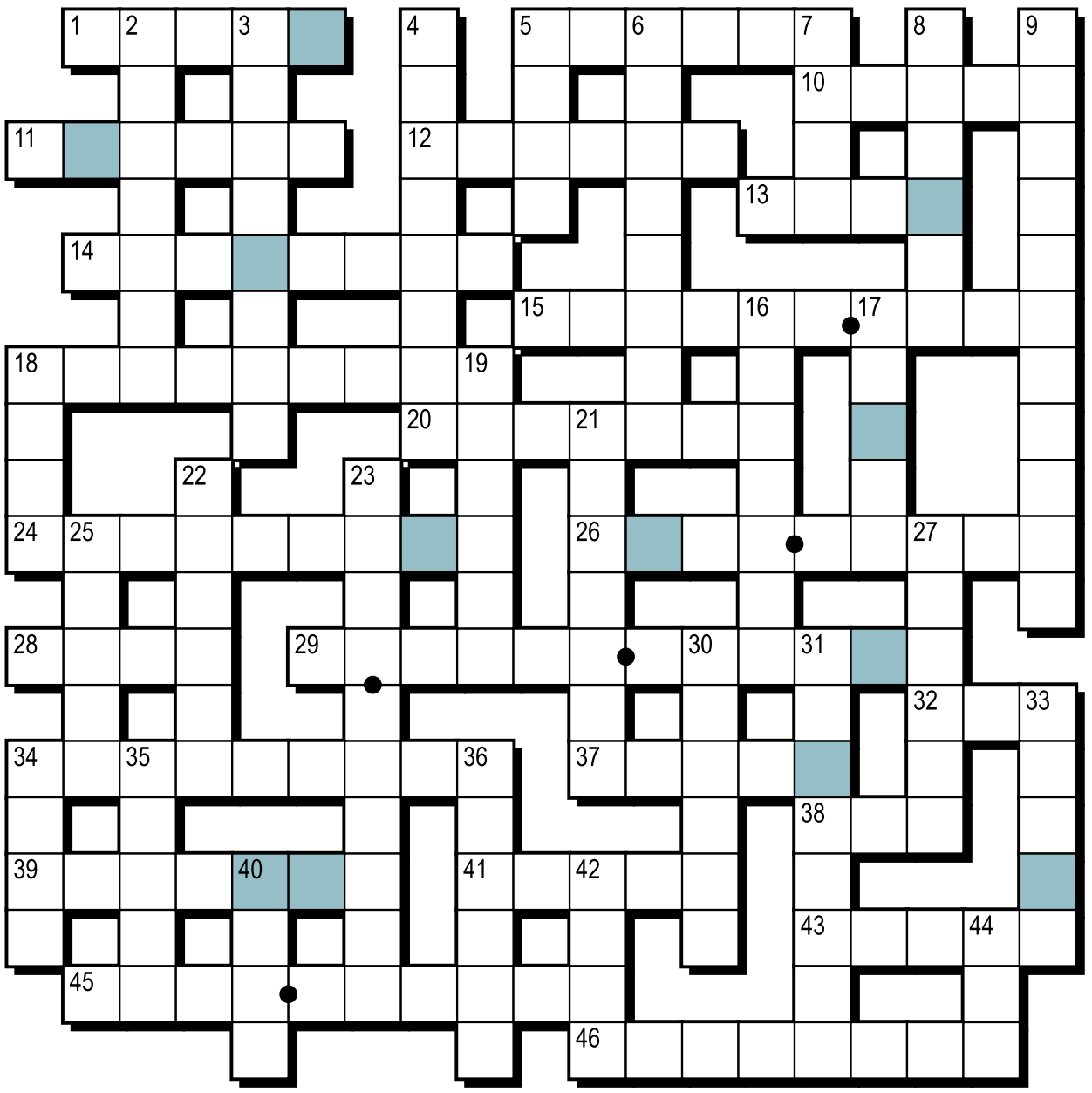
Dramatycznie potoczyły się też losy rodziny Bieriazowych, prześladowanych z powodu przynależności do Świadków Jehowy. Najpierw w 1950 r. aresztowano Irinę Bieriazową, która za udział w działalności misyjnej tej wspólnoty (udostępniała jej członkom mieszkanie na spotkania formacyjne) otrzymała wyrok 10 lat więzienia. Po kilku miesiącach Sowieci uznali, że jej syn Arnold powinien zostać ukarany zsyłką na Syberię w ramach operacji „Północ” (w jej trakcie z terenów włączonych do ZSRS po 1945 r. deportowano kilka tysięcy Świadków Jehowy).

Gdy jednak funkcjonariusze w marcu 1951 r. załomotali do drzwi mieszkania Bieriazowej, spotkali tam jej drugiego syna Edmunda, który w międzyczasie zamieszkał tam z żoną. Długo się nie namyślając, Sowieci wysłali do obwodu tomskiego obu braci. Edmund zaraz po dojechaniu na miejsce złożył odwołanie od decyzji MGB. Organy bezpieczeństwa Łotwy zarekomendowały w listopadzie 1951 odrzucenie jego prośby – choć przyznano, że od czasu ożenku w 1947 r. nie mieszkał z mamą, to jednak uzasadniano, „utrzymywał z nią kontakt” i jej pomagał. MGB w Moskwie było bardziej łaskawe i 22 marca 1952 roku zadecydowało o skreśleniu Edmunda z listy wysiedleńców. Pojawił się jednak problem jego żony, która rzekomo dobrowolnie wyjechała razem z nim na zsyłkę. Czy można jej pozwolić tak po prostu wrócić? 27 grudnia 1952 r. po dogłębnym zbadaniu sprawy ostatecznie wyrażono zgodę także na jej wyjazd. Drugi z braci uzyskał pozwolenie na powrót dopiero w 1956 roku.

W czasach stalinowskich mówiono w ZSRR, że „życie stało się lepsze, życie stało się weselsze”. Może tak było w Moskwie, ale na pewno nie na okupowanej Łotwie. ●

eprasa.pl 7e1750f966

weekendówka nr 223



Rozwiązania weekendówki nr 222 z 19 września (krzyżówka wędlinki i mięska)

POZIOMO: 3) mięso 9) baleron 10) skrytożercy 11) szynka 12) plasterki 14) nakrajanie 18) kiełbasa wyborcza 20) wędlina 21) smalec 23) karkówka 24) zagotowanie 25) zagrycha 26) zmysł 29) kanapka 31) wyżerka 32) przystawka

PIONOWO: rzeźnik 2) Hiszpania 3) mortadela 4) słoje 5) brytfanna 6) kaszanka 7) rolada 8) metka 13) toksyna 15) jałowcowa 16) piosenkarka 17) Mickiewicz 18) kabanosy 19) salami 21) szaszłyk 22) masarze 25) zrazy 27) sery 28) skup 30) kot

HASŁO: Salceson czarny

KRZYŻÓWKA RZECZNA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
1) przewóz towarów (np. drewna) drogą wodną
5) jedno z państw, przez które przepływają Skalda i Moza
10) francuska rzeka kojarzona z bitwami podczas I wojny światowej
11) rzeka, w której Chrystus przyjął chrzest
12) delta Nilu lub estuarium La Platy
13) płytkie miejsce w rzece, dogodne do przeprawiania się
14) polsko-rosyjska rzeka wypływająca z jeziora Mamry
15) inna nazwa 44 pionowo
18) jeden nad Menem, drugi nad Odrą
20) przepływa przez Legnicę
24) rzeka kojarząca się z Tomkiem Sawyerem
26) przepływa przez Ozimek (woj. opolskie)
28) w korycie w Lęborku
29) pod mostem Rialto w Wenecji
32) szlam na dnie zbiornika
34) gdy wezbrana rzeka przerwie wały
37) ze źródłami w Tybecie, uchodzi do Morza Arabskiego
38) w Innsbrucku
39) rzeka, nad którą „kości zostały rzucone”
41) toczy swe wody przez Łomżę i Ostrołękę
43) jedna z rzek uchodzących do Odry we Wrocławiu
45) rodzaj statku wodnego do transportu osób, pojazdów przez rzekę (skojarz ze sznurem)
46) co roku topiona w rzece

Pionowo:
2) uchodzi do Bałtyku w Kołobrzegu
3) największa rzeka świata
4) obiekt ze sztucznymi rzekami, zjeżdżalniami, basenikami
5) zaczyna się tak: Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami...
6) stan USA z ujściem 24 poziomo
7) azjatycka rzeka jak ryba
8) zaczątek strumienia
9) ... górskie, uprawiane na rwących rzekach
16) rzeka przepływająca z jeziora Erie do jeziora Ontario
17) do niej rzuciła się Wanda, która nie chciała Niemca
18) „Rzeka Czerwona”, „Przełomy Missouri” albo „Klejnot Nilu”
19) na niej regaty Oxford – Cambridge
21) afrykańska rzeka z Wodospadami Wiktorii
22) lewy dopływ Sanu (z liter rzeki „Soława”)
23) pieśń biesiadna („... i wrzucała je do falującej wody”)
25) dopływ Łaby (skojarz z górami, w których leży Świeradów-Zdrój)
27) Miłosz – Issa, Orzeszkowa – ?
30) zasila Wisłę w krakowskim Zwierzyńcu
31) chodzi z koromysłem nad rzekę
33) w niej trzech panów, nie licząc psa
34) rzeka niczym Nioska
35) przepływa przez 42 pionowo
36) nazwisko aktorki znanej z filmu „Rzeka bez powrotu”
40) rzeka jak postać z powieści „Faraon”
42) europejska stolica z Mostem św. Anioła
44) uchodzi do Wisły w Świeciu

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34451038

Wymyśl grę, zgarnij 10 000 zł

Masz pomysł na codzienną grę logiczną lub słowną?



APLIKACJA WYBORCZEJ

Zgłoś pomysł na:

nowagra.wyborcza.pl

1 RP

eprasa.pl 7e1750f966

wysokieobcasy.pl

wysokie obcasy

wyborcza



MICHAŁ KORKOSZ, ROZKOSZNY

Jedzenie to nie *przewinienie*

– rozmowa Dominiki Wantuch

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl **NR 38 (1409)** SOBOTA – CZWARTEK, 26 WRZEŚNIA – 1 PAŹDZIERNIKA 2026

eprasa.pl 7e1750f966

Karty rozmowy



NATALIA MAZUR

Ktoś jest liberałem, ktoś konserwatystą, ktoś lubi grubo masłem, ktoś nie cierpi jego konsystencji. Jeden bez wahania poszedłby bronić kraju z karabinem, drugi skupiłby się na ewakuacji rodziny, a jeszcze trzeci – chciałby gotować dla żołnierzy. Ktoś jest starszy, ktoś młodszy, ktoś jest mężczyzną, a ktoś kobietą.

Różnimy się. Część różnic jest od nas niezależna, na niektóre mamy wpływ. Ale przecież nawet poglądy nie określają nas definitywnie – to, że sąsiad w wyborach zakreśla inną kratkę, nie oznacza, że nie zgodzimy się w dziesiątkach innych spraw. Rzadko mamy okazję to sprawdzić, zamknięci w wirtualnych plemionach, ale gdy już się uda przełamać barierę, znika obawa, pojawia zrozumienie.

Przekonali się o tym uczestnicy spotkań organizowanych przez Fundację Nowej Wspólnoty i Fundację PZU. Zróżnicowane grupy mężczyzn rozmawiały o związkach, pracy, rodzinie, sile, władzy. Część uczestników była zaskoczona, że nie muszą zaciekle bronić swojego stanowiska. Wpajano im, że bycie mężczyzną polega na posiadaniu racji.

– Na dialogach pokazujemy, że zamiast tego można zagadnąć: „Słuchaj, a kiedy zacząłeś tak myśleć? I dlaczego?”. Pytanie wychodzące od ciekawości zamienia konfrontację w rozmowę. Pozwala nam złapać dystans do własnych emocji. Uzmysławia, że odmienne poglądy nie zagrażają naszym – mówi Łukaszowi Pilipowi Wawrzyniec Smoczyński, prezes FNW.

Mam tylko moje kobiece doświadczenie i wiem, że mało co sprawia mi większą frajdę niż znalezienie wspólnych wątków z kimś, o kim myślałam, że wszystko mnie z nim dzieli.

Fundacja przygotowała Karty Rozmowy dla Mężczyzn – z patentami na dialog w trudnych sytuacjach, rozmowę z szefową lub szefem, z dzieckiem lub rodzicem, z drugą osobą w związku. Są proste i bardzo praktyczne. Każda z nich zawiera opis sytuacji i szkic wypowiedzi, która pozwoli zbudować porozumienie.

Smoczyński mówi o przewadze kobiet, które od zarania dziejów ćwiczyły się w rozmowie, zmuszone do negocjowania swojej doli z mężczyznami. Uzupełnię jedynie: i nam zdarza się, że wchodząc w role przez stulecia rezerwowane przez mężczyzn, przejmujemy je z całym pakietem. Wraz z niepisanym zestawem oczekiwań, że będziemy bardziej konfrontacyjne i mniej otwarte na wymianę myśli.

Ostatni wrześniowy numer „Wysokich Obcasów” tradycyjnie poświęcony jest męskim sprawom. Dla mężczyzn zredagowano wspomniane Karty Rozmowy. Ja już je sobie ściągnęłam. ▲

Natalia Mazur – redaktorka „Wysokich Obcasów”




JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

- **NA OKŁADCE:** Agata Kulesza: Szczęście pojawia się na chwilę
- **TEMAT NUMERU:** • Perimenopauza i jej 100 objawów **TWARZE:** • Lidia Popiel • Katarzyna Glinka • Marieta Żukowska • Agnieszka Więdłocha • Freya Stark • Anna Guzik • Piotr Pacek • Gary Oldman
- **PSYCHOLOGIA:** • Dlaczego się porównujemy • Seks i perimenopauza • Mózg i hormony
- **MODA I URODA:** • Trendy jesień-zima 2026/27

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Natalia Mazur

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Karolina Kozlińska

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 3, 15, 17, 21, 23, 27, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 38 (1409)
NA OKŁADCE:
MICHAŁ KORKOSZ
DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



eprasa.pl 7e1750f966

PRZEKĄSKA DLA AKTYWNEGO MĘŻCZYZNY?

POSTAW NA MOC ROŚLIN!

Uprawiasz sport, pracujesz w wymagającym i dynamicznym środowisku, często podróżujesz? Intensywny tryb życia wymaga zadbania o odżywienie organizmu. Sięgnij po gęsty i kremowy Alpro W Stylu Skyr i odkryj, jak dzięki zawartości białka i witaminy B12 może on wspierać Twoją codzienną dietę.





Alpro W Stylu Skyr jest bogate w białko – dla przykładu kubek 400g Alpro W Stylu Skyr o smaku Mango ma 20,8g białka! Odpowiednia ilość tego składnika odżywczego stanowi jeden z fundamentów zdrowej diety dla mężczyzny.

Twoja dieta wpływa na odczuwany poziom energii. Zadbaj, by znalazły się w niej produkty zawierające składniki pokarmowe, które wspomagają organizm w mierzeniu się z codziennymi wyzwaniami. Alpro W Stylu Skyr jest źródłem witaminy B12, która przyczynia się do zmniejszenia uczucia zmęczenia i znużenia*.

Białko pomaga w utrzymaniu masy mięśniowej* – uwzględniaj jego źródła w posiłkach i przekąskach, by zapewnić jego odpowiednią podaż z całodzienną dietą.

Alpro W Stylu Skyr w 100% pochodzi z roślin i stanowi urozmaicenie diety i jest pyszną alternatywą dla produktów mlecznych. Dodatkowe bonusy? Produkt nie zawiera laktozy i ma naturalnie niską zawartość tłuszczów nasyconych.

*Ważna jest zróżnicowana i zbilansowana dieta oraz zdrowy styl życia.

eprasa.pl 7e1750f966



MICHAŁ KORKOSZ

Moje kulinarne DNA

Jedzenie, które ma dawać przyjemność, zaczęliśmy traktować jak formę przewinienia wymagającego usprawiedliwienia. Nie zgadzam się na to

eprasa.pl 7e1750f966

Z **MICHAŁEM KORKOSZEM**,
KUCHARZEM ZNANYM JAKO ROZKOSZNY,
ROZMAWIA **DOMINIKA WANTUCH**
ZDJĘCIA **DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL**

Popełnię faux pas, jeśli ci powiem, że nie lubię masła?
– Naprawdę?! Ale nie lubisz jego smaku, czy jesteś człowiekiem margaryną?

Nie, margaryny tym bardziej. Ale masła też nie tknę, odrzuca mnie jego konsystencja.
– Kim ja jestem, żeby krytykować? Choć trudno mi w to uwierzyć, a jeszcze trudniej zrozumieć *(śmiech)*. Jesteś może drugą osobą spotkaną w życiu, która nie lubi masła. Ja masło absolutnie kocham.

Na swojej stronie przedstawiasz się słowami: „Kocham grubo masłem i nie chadzam na kompromisy".
– Myślę, że dla każdego, kto zawodowo zajmuje się gotowaniem, masło ma fundamentalne znaczenie. Obok soli jest jednym z najpotężniejszych nośników smaku. To sekretny trik szefów kuchni: łyżka masła do sosu i nagle staje się bardziej jedwabisty i pełniejszy, trochę masła w cieście i od razu smakuje, jakby wyszło prosto z dobrej cukierni.

Dla mnie masło jest sekretem dobrego gotowania. Zwłaszcza palone masło, które spędza chwilę na patelni, nabiera bursztynowego koloru i zaczyna nęcąco pachnieć... To dobry wytrych – nie wiesz, jak udoskonalić przepis, zmień zwykłe masło na palone.

Ale wróćmy do korzeni. Pajda chleba z masłem?
– O tak! Kiedy myślę o ostatnim posiłku przed pożegnaniem się ze światem, to byłby to świeżo upieczony chleb na pszennym zakwasie, grubo posmarowany zimnym masłem. Tak zimnym, że po wgryzieniu zostają zęby, ale jednocześnie lekko topiącym się od ciepła chleba... Ale widzę, że trochę ci ślinka cieknie, coś kręcisz z tym masłem!

Trochę zazdroszczę ci tej miłości, bo przecież też w najlepszych restauracjach posiłek zaczyna się często od chleba i masła.
– Masło jest podstawą wszystkiego, ono płynie w naszym DNA. Z drugiej strony zastanawiałem się ostatnio, jak zmieniają się kulinarne mody i opowieść o zdrowym żywieniu. Kiedy byłem nastolatkiem, w szkole słyszałem, że masło jest niezdrowe i należy jeść margarynę. Wróciłem więc do domu i oznajmiłem rodzicom – a moja rodzina jest bardzo maślana – że z masłem koniec. Przez kilka tygodni kupowali margarynę, a ja udawałem, że mi smakuje. Ostatecznie jednak maślane DNA zwyciężyło.

Skoro mówisz o maślanym DNA. Masło jest dla ciebie, poza smakiem, także jakimś wspomnieniem?
– To jest chyba smak nostalgii, synonim błogiej chwili. Dziś dzieci jedzą nieco inaczej, ale ja pamiętam, jak za dzieciaka dostawałem chleb z masłem i biegłem dalej się bawić. Może właśnie w tym tkwi sekret – że za najlepsze zwykle uważamy to, na czym się sami wychowaliśmy.

Jaka była kuchnia w twoim domu? Jakie smaki pamiętasz z dzieciństwa?
– Jestem z rocznika '98, a więc jestem dzieckiem transformacji europejskiej, ale też transformacji kulinarnej, gdy Polska uczyła się, co jeść i jak jeść, gdy wkraczaliśmy w erę otwartości na nowe smaki, i ja do dziś bardzo to doceniam.

Natomiast moje dzieciństwo to są polskie smaki. Moi rodzice dobrze gotują, ale nigdy nie byli jakimiś eksperymentującymi kucharzami. Nie bardzo mieli czas, żeby codziennie szukać nowych inspiracji kulinarnych. Dziś każdy otwiera internet i w mig może znaleźć dziesiątki pomysłów. W moim domu od poniedziałku do piątku rządziła kuchnia pospieszna. Smaczna, raczej tradycyjna, raczej zdrowa i przede wszystkim – prosta.

Ale to, co zawdzięczam rodzicom, to to, że oni ogromną wagę przykładali do wspólnych posiłków. Czasami nawet o godz. 7 rano siadaliśmy razem, choćby na kilka minut śniadania. A po południu, niezależnie od tego, kto jakie miał plany, był wspólny obiad. Czekaliśmy na mamę, bo ona pracowała najdłużej i ok. godz. 17 jedliśmy razem obiad. To weszło tak głęboko do mojego kulinarnego DNA, że do teraz nie wyobrażam sobie za bardzo jeść obiadu samemu. Jak jestem sam, to muszę do kogoś zadzwonić. Czasami do rodziców i wtedy okazuje się, że oni w tym momencie też akurat jedzą. Dzielenie posiłku, zasiadanie do stołu razem, jest dla mnie synonimem bliskości.

Gestem miłości?
– Zdecydowanie. Wydaje mi się, że w naszej polskiej kulturze, która bywa chłodna i zdystansowana, ludzie mają często problem z wyrażaniem uczuć słowami. Zamiast tego jednak okazujemy uczucia i wyrażamy troskę o bliskich gestami. I takim gestem jest właśnie ugotowanie komuś ciepłego posiłku albo upieczenie ciasta. Tak wyraża miłość moja babcia Zosia. W dzieciństwie w wakacje przeżywałem u niej prawdziwą ucztę kulinarną. Zupa pomidorowa z lanymi kluskami i dużą ilością śmietany, od której staje się bardziej pomarańczowa niż czerwona, pierogi z kaszą gryczaną, twarogiem i miętą, które są bardzo popularne na Podkarpaciu, z którego pochodzę, gołąbki z sosem pomidorowym albo z ziemniakami i twarogiem, inaczej nazywane hołubcie.

Babcia Zosia potrafiła wstać bardzo wcześnie, pójść na targ, kupić świeże pieczywo, pomidory, jajka, żeby zrobić potem dla mnie i mojego brata najprostszą, ale najdoskonalszą, najbardziej dopieszczoną jajecznicę. Podawała ją nam na śniadanie, siadała obok i patrzyła na mnie i mojego brata. Nie jadła. Po prostu patrzyła, jak nam smakuje, i napawała się widokiem, że sprawiła nam przyjemność. Babcia rzadko mówiła „kocham was", ale ta jajecznica była jej wyrazem miłości, który rozumieliśmy bez potrzeby wypowiadania słów.

Już wtedy wiedziałeś, że w przyszłości chciałbyś gotować profesjonalnie?
– Jeszcze nie, ale zawód kucharz to było moje marzenie, zanim jeszcze do końca nie rozumiałem, z czym to się je. Miałem może dziewięć lat, gdy zacząłem gotować i snuć nieśmiałe plany,

eprasa.pl 7e1750f966



że to mogłaby być moja przyszłość. Oczywiście początkowo widziałem siebie w restauracji, ale potem, jako nastolatek, zacząłem fantazjować o mediach kulinarnych. „Gazeta Wyborcza" wydawała wtedy dodatek „Palce Lizać", i on był dla mnie źródłem inspiracji. Marzyłem, żeby pracować w takim miejscu i zajmować się jedzeniem od strony kreatywnej. Będąc w liceum, poszedłem do pracy w cukierni, i to doświadczenie mocno zweryfikowało moje wyobrażenia.

Co to znaczy?

– Miałem 16 lat i byłem zachwycony. Polska była u progu kulinarnego boomu, brakowało mi ludzi, z którymi mógłbym dzielić pasję, rozmawiać o gotowaniu. Szedłem więc do cukierni z nadzieją, że znajdę bratnie dusze. A potem staliśmy przy blatach, robiliśmy ciastka, ciasteczka, serniki z 40 jaj, a starsze koleżanki powtarzały mi tylko: „Uciekaj stąd". Same w domu już nie gotowały, nie piekły, bo po 12, 13 godzinach na nogach bolały je plecy. Ich praca była ciężka, ale niedoceniana. Radziły mi, żebym zmienił plany, poszedł na studia, znalazł normalną pracę.

Sam też nie zdawałem sobie wcześniej sprawy, że to ciężka praca fizyczna. Cukiernia nauczyła mnie pokory, ale też szacunku do miejsc, w których jem. Za przyjemnością, którą dostajemy na talerzu, stoją ludzie, których oddanie i talent często są niedoceniane. Dziś oczywiście to się trochę zmieniło, kulinaria cieszą się większym prestiżem...

Ale co roku wraca dyskusja o tym, że jagodzianki są za drogie...

– Ja się o to nie kłócę. Zawsze myślę o tym, że są drogie, bo ludzka praca drożeje. Bo dziś osoby piekące przez 12 godzin pączki nie dostają na szczęście 12 zł za godzinę, tak jak ja dostawałem. Więc wszystkie te dyskusje o pączkach czy jagodziankach to w gruncie rzeczy rozmowy o tym, ile warta jest ludzka praca. Ja wiem, ile wysiłku trzeba włożyć w to, żeby sprawić drugiemu człowiekowi przyjemność jedzeniem, więc wolę kupić jedno ciastko, nawet droższe, w miejscu, gdzie pracownicy są uczciwie wynagradzani, niż ciastka po kilka złotych, produkowane masowo, na taśmie.

Wróćmy na chwilę do młodego Rozkosznego, który chciał zostać kucharzem. Wśród nastolatków marzących często o byciu policjantem, żołnierzem czy pilotem to chyba było raczej niepopularne? Spotykałeś się z niezrozumieniem, kpinami?

– Dość pewnie idę przez życie, więc sam nie miałem z tym problemu. Dużo zawdzięczam tacie. Jest profesorem na uczelni, miał bardziej elastyczne godziny pracy niż mama, która pracowała w dużej firmie, i to on w tygodniu robił zakupy, gotował, odbierał mnie i brata ze szkoły. Wykonywał czynności, które w tradycyjnym polskim domu przypisuje się kobiecie. Od dziecka widziałem mężczyznę w kuchni, dlatego moje zainteresowanie nie wydawało mi się czymś dziwnym.

Trudniejszy moment przyszedł w gimnazjum, ale nie był stricte związany z gotowaniem. Ja po prostu nie odnalazłem się tam, odstawałem. Sporo moich kolegów budowało swoją pozycję siłą, agresją, wulgaryzmami, a ja taki nie byłem. Wyglądałem jak stereotypowy kujon z obrazka. Nosiłem koszulki zapięte pod szyję i do tego muszkę. Przychodziłem do szkoły z encyklopedią i czytałem ją na przerwach, bo mnie ciekawiła. Potem brałem ze sobą książki kucharskie. Zostałem odrzucony przez grupę, nie miałem zbyt wielu kolegów, więc musiałem się czymś zająć między lekcjami. A to znowu wywoływało jeszcze większą niechęć innych do mnie. Dzieci bywają bezlitosne dla każdego, kto odstaje.

Musiałeś mieć w sobie sporo siły, żeby sobie z tym radzić i nie dać się złamać?

– Miałem rodziców, którzy mnie wspierali, i swoją kuchnię, która dawała mi ukojenie. Moja pasja prowadziła mnie dalej. Wracałem ze szkoły i miałem swój świat. W ogóle myślę, że pasja to jest coś, co często pozwala ludziom przetrwać. Nie sprawia, że znikają problemy, ale nawet w dorosłym życiu daje siłę, żeby wstać następnego dnia i zrobić kolejny krok. Ja miałem szczęście, że tę pasję odkryłem wcześnie.

Poza tym miałem szczęście do nauczycieli. Dziś z żalem obserwuję, jak łatwo ich krytykujemy, zarzucamy im, że nie przykładają się do pracy, że są nieudolni. Mnie nauczyciele pokierowali tak, żebym mógł spełniać marzenia, i pomogli przetrwać najtrudniejsze lata w szkole.

eprasa.pl 7e1750f966

Miałeś to szczęście w nieszczęściu, że twoje gimnazjum kończyło się wraz z wyjściem ze szkoły, bo nie były jeszcze popularne tak bardzo aplikacje społecznościowe.
– Nie potrafię sobie wyobrazić, przez co przechodzą dzisiejsze dzieciaki. Czym innym jest powiedzieć komuś obelgę prosto w twarz czy splunąć mu pod nogi. Trzeba mieć odwagę – paskudnie wykorzystaną, ale jednak – żeby zrobić coś takiego. A napisanie komentarza w internecie jest znacznie łatwiejsze, wielu osobom wydaje się też bezkarne, więc często stają się jeszcze bardziej okrutni. W „MasterChef Nastolatki" zobaczyłem na własne oczy, jak dzisiejsza młodzież boi się rówieśników.

Była tam dziewczynka, która odpadła jako jedna z pierwszych. Wspaniała dziewczyna, ogromny talent. Po przegranej bardzo płakała. Pocieszałem ją, że nic złego się nie stało, że znalazła się z gronie najlepszych, że wciąż może spełniać marzenia. W pewnym momencie ona popatrzyła na mnie i mówi: „Ale ja nie płaczę dlatego, że odpadłam".

A dlaczego?
– „Boje się, jaki hejt spotka mnie po powrocie do szkoły". Zamiast dostrzec sukces, bała się, że inni będą go umniejszać.

A tobie ktoś próbował umniejszać, gdy dziesięć lat temu założyłeś kulinarnego bloga i zacząłeś odnosić sukcesy? Sposób, w jaki opowiadasz o jedzeniu, jest subtelny, zmysłowy, czuły.
– Dla mnie w kuchni ważne są dwa słowa: „fantazja" i „ekscytacja". Często fantazjuję o smakach i już samo wyobrażenie o tym, jak coś może smakować, bywa ekscytujące. I tak chcę opowiadać o gotowaniu. Taki jestem, nie udaję. Może to jest dalekie od stereotypowego kucharza, który często jest silny, dominujący, władczy, perfekcyjny. Ale ja zawsze, mając od wyboru Anthony'ego Bourdaina albo Nigellę Lawson, wybierałem Nigellę. Jej opowieść była sensualna, pełna przyjemności.

A pojawiając się w internecie, czułeś w ogóle, że przełamujesz stereotyp? Mnie męskie gotowanie kojarzy się z mięsem, wielu kucharzy poluje, na grilla wrzucają krwiste steki. Ty wydałeś książkę z wegetariańskimi przepisami w różowej okładce.
– Mój tata pokazał mi, że czułość w kuchni, karmienie innych, budowanie bliskości niczego mężczyźnie nie odbierają. Chciałbym pokazywać, że kuchnia to nie jest przestrzeń podporządkowana patriarchalnym regułom. Czy mi się to udaje? Gdy patrzę na statystyki, to widzę, że większość moich odbiorców stanowią kobiety. Na spotkania też przychodzą głównie kobiety, choć coraz częściej zdarza się, że opowiadają, że z moich przepisów korzystają ich partnerzy.

Zauważ, że wciąż w wielu domach kobiety gotują w ciągu tygodnia, na szybko, między pracą, opieką nad dziećmi, a mężczyźni w niedzielę robią ucztę. Jest grill, wszyscy patrzą, podziwiają. Pisał o tym antropolog Claude Lévi-Strauss. W wielu kulturach codzienne gotowanie jest sferą domową i kobiecą, podczas gdy gotowanie na ogniu wiąże się z prestiżem i męskością.

Kobiety gotują z obowiązku, a mężczyźni dla chwały.
– Mężczyźni często chcą być spektakularni. Jeśli zainteresują się pizzą, wszystko musi być najlepsze: mąka, piec, łopata, temperatura. A w moim gotowaniu jest sporo beztroski. Przepisy muszą być precyzyjne, ale sam efekt nie musi wyglądać, jakby właśnie wyszedł z laboratorium. Coś bywa mocniej przypieczone, nierówne. Bo w perfekcji czasami zapominamy, po co w ogóle gotujemy.

To już ustaliliśmy – z miłości.
– Niedawno na spotkaniu autorskim młoda dziewczyna opowiedziała mi, że jest ze swoim chłopakiem od pięciu lat, a wszystko zaczęło się od randki, na której on przygotował sernik baskijski z mojego przepisu. Ona pokazała mu moje konto, on upiekł sernik i tak do dziś dla niej gotuje.

Mam wrażenie, że ten czuły, gotujący mężczyzna istnieje, tylko nadal trochę chowa się ze swoją wrażliwością. Mam nadzieję, że pokazuję, iż można wydawać książki w różu i nadal czuć się mężczyzną, nawet jeśli ktoś próbuje to podważyć.

A próbuje?
– Oczywiście. Klasyczny komentarz brzmi: „Niech przyjdzie wojna, zobaczymy, jak sprawdzi się na froncie". A ja sprawdziłbym się świetnie, bo przecież żołnierze też muszą jeść.

Twoja nowa książka też będzie różowa?
– Wiśniowo-różowa, bardzo intensywna, soczysta, apetyczna.

Dlaczego o deserach?
– Uważam, że desery powinny być częścią naszej codzienności. Każdy powinien umieć przygotować choć jeden tort dla bliskiej osoby, bo nie ma piękniejszego gestu na urodziny. To jak podarowanie kawałka własnego życia, godzin pracy, stresu, uwagi.

W książce piszesz, że desery są „bezwstydne, w pewnym sensie nawet nonszalanckie" i istnieją po to, żeby dawać przyjemność. Żyjemy jednak w pogoni za idealną sylwetką, liczenie kalorii tak bardzo wpisało się w codzienność, że zjedzenie ciastka na maśle przybiera formę buntu.
– Nie znoszę tego języka „pozwoliłam sobie na deser", „zgrzeszyłam". Jakby ciastko było grzechem. Jedzenie, które ma dawać przyjemność, zaczęliśmy traktować jak formę przewinienia wymagającego usprawiedliwienia. Nie zgadzam się na to. Diety pudełkowe, wyliczone makroskładniki, ciało zaprojektowane według wzorca. Wszystko ma być efektowne i perfekcyjne. Moim zdaniem odbiera nam to kawałek człowieczeństwa.

Oczywiście nie namawiam nikogo do skrajności. Problem polega na tym, że ciągle przedstawia nam się tylko skrajności: albo nieustanna dieta i kontrola, albo całkowity brak troski o zdrowie. A przecież pomiędzy nimi istnieje normalne życie. I desery, które nie powinny budzić strachu i wyrzutów sumienia.

Czym zatem chciałbyś, żeby deser był w naszym życiu?
– Chwilą zatrzymania, momentem, w którym jesteśmy sami ze swoimi myślami albo z drugą osobą. Chciałbym, żeby deser przypominał nam, że w życiu jest miejsce na przyjemności. ▲



MICHAŁ KORKOSZ
„Słodkie Rozkoszne. Przepisy pełne przyjemności", wydawnictwo Znak Koncept

eprasa.pl 7e1750f966



Raz silni, raz *delikatni*

My, mężczyźni, mamy problem z rozmową, bo nawykliśmy do rządzenia. A rządzenie nie wymaga stawiania otwartych pytań czy wchodzenia w dyskusję. Tak ma być i koniec rozmowy

Z **WAWRZYŃCEM SMOCZYŃSKIM**
ROZMAWIA **ŁUKASZ PILIP**
RYSUNEK **MIKITA RASOLKA**

To nie takie proste być dzisiaj mężczyzną?
– Nadal prostsze niż bycie kobietą. Mężczyźni wciąż rządzą światem. Skupiają w swoich rękach więcej władzy. Jednak trudne jest dla nich to, że w ciągu jednego czy dwóch pokoleń musieli przejść nagłą adaptację do zmieniających się warunków.

To znaczy?
– 50 lat temu ich role były jasno wyznaczone. Mieli zarabiać, wyżywić rodzinę, nie płakać. Świat był ułożony pod nich. Dzięki temu mogli w społeczeństwie niemal o wszystkim decydować. Świat jednak zwrócił się ku równości.

Z jakim skutkiem?
– Kobiety zyskują więcej władzy, a mężczyźni muszą się nią podzielić. Czują się w związku z tym pogubieni. Nie mówię tego ze współczuciem: „Ojej, faceci tacy biedni. Tak im dzisiaj trudno". Oczekiwanie od kobiet, że będą pochylać się nad mężczyznami, to część patriarchatu – zaczynając od prania skarpetek, kończąc na opiece emocjonalnej nad nimi.

Jeśli nie współczucie, to co?
– Głównie czuję troskę. Rozumiem, że świat mężczyzn nie ma już tak jasnych reguł jak kiedyś. Ale to wciąż na nas spoczywa obowiązek ogarnięcia samych siebie. Zredefiniowania męskości. Dookreślenia własnych ról społecznych. Ułożenia się w relacji do innych mężczyzn, dzieci, partnerek, partnerów, rodziców.

Jak Fundacja Nowej Wspólnoty, którą pan kieruje, postanowiła ich w tym wesprzeć?
– Razem z Fundacją PZU postanowiliśmy, że chcemy porozmawiać z mężczyznami w Polsce, z różnych środowisk i różnych części kraju, i posłuchać, jak sami siebie widzą. Zorganizowaliśmy dla nich pięć spotkań dialogowych w różnych miastach. Rozmawialiśmy o ojcostwie i synostwie, pracy, związkach i rodzinie, trosce o siebie, a także sile i władzy. Równolegle prowadziliśmy treningi rozmowy dla mężczyzn – praktyczne warsztaty online na temat tego, jak rozmawiać w związku albo z dziećmi. Na podstawie obu inicjatyw powstały Karty Rozmowy dla Mężczyzn i raport „Męstwo. Co mężczyźni mówią i myślą o sobie w 2026". Obie rzeczy można pobrać na naszej stronie.

Mężczyźni chcieli współpracować?
– Bardzo. W każdym mieście mieliśmy różnorodne grupy facetów – starszych i młodszych, konserwatywnych i liberalnych, pracujących w różnych branżach. Chętnie i szczerze opowiadali o sobie, mimo że nie znali się nawzajem. Szczególnie poruszył ich temat siły i władzy.

Bo?
– Większość mężczyzn była w wieku produkcyjnym. Mówili, że Polska jest krajem przyfrontowym, więc czują ryzyko wojny i poboru do armii. Zastanawiali się, czy są gotowi na konflikt zbrojny. Co wtedy zrobią? Jak wyważą obowiązek wobec rodziny i kraju? Czy dadzą radę fizycznie? I najważniejsze: czy w ogóle chcą do wojska?

OGŁOSZENIE



Zadbaj o bezpieczeństwo i chroń się przed RSV.

RSV występuje w dwóch typach: A i B. Oba mogą być dla ciebie groźne: odporność po zarażeniu jednym typem RSV jest niepełna i nie chroni w pełni przed drugim.[1,2]

Zaszczep się już dziś!

Masz 60 lat lub więcej? Porozmawiaj z lekarzem, farmaceutą lub pielęgniarką o dwóch typach RSV i sprawdź możliwość darmowych szczepień.[3]

Dowiedz się więcej na www.szczepieniersv.pl

RSV - syncytialny wirus oddechowy.
Referencje: 1. Cantú-Flores K, et al. Pathog Glob Health. 2022;116(7):398-409. 2. Nuttens C, et al. Infect Dis Ther. 2024;13(8):1725-1742. 3. Komunikat Głównego Inspektora Sanitarnego z dnia 31 października 2025 r. w sprawie Programu Szczepień Ochronnych na rok 2026 (DZ. URZ. Min. Zdr. 2025.85. Ogłoszony: 31.10.2025).

Pfizer Polska Sp. z o.o. ul. Żwirki i Wigury 16B, 02-092 Warszawa, Kapitał zakładowy 33.860.000 zł. KRS 0000022310 Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy. NIP 5213115586. BDO 000189470.

PP-UNP-POL-0499

eprasa.pl 7e1750f966

Gdybym podzielił się podobnymi wątpliwościami w mediach społecznościowych...
– ...zostałby pan zjedzony. Dlatego nasze spotkania dialogowe odbywają się twarzą w twarz i mają określony przebieg. W pierwszej części każdy uczestnik przedstawia swoje stanowisko i poglądy na daną kwestię. Pozostali słuchają, ale nie mogą komentować. Etap drugi to rozmowa: uczestnicy zadają sobie nawzajem pytania o to, co przed chwilą usłyszeli – nie oceniające, tylko dopytujące, z ciekawości. Trzecia część jest najciekawsza, i tu pytania zadają prowadzący. Pytają o to, jakie doświadczenia sprawiły, że uczestnicy właśnie tak myślą.

I jakie?
– Zimą zeszłego roku prowadziliśmy w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie dialog o strachu przed wojną. Jeden mężczyzna mówił o tym, że jego dziadek walczył w powstaniu i z tego powodu on sam czuł obowiązek walki o kraj. Ale inny uczestnik wspomniał o swojej sąsiadce – opowiedziała mu o rzezi Woli podczas powstania warszawskiego. Według niej bohaterstwem niektórych była wówczas walka. Ale pozostałych – ewakuowanie swoich rodzin i ucieczka przed pewną śmiercią. Ten mężczyzna nie przytaczał tej historii, by przekonywać innych o bezsensowności wojny. Chciał jedynie pokazać, że dla niego także istnieją różne wersje heroizmu – a mężczyźni nie zawsze są przypisani do jednej formy działań wojennych.

Idzie się w tym pogubić. Raz mamy być silni, raz delikatni.
– Podczas naszych spotkań mężczyźni dużo mówili o sprzecznych oczekiwaniach ze strony świata i strony kobiet. Że jako ojciec masz stawiać dzieciom granice, ale też wychowywać je bezstresowo. Że w razie wojny masz pójść na front, ale masz też być empatyczny. Mężczyźni starają się sprostać tym oczekiwaniom, a jednocześnie nie zgubić samych siebie. Poprzez nasz projekt staraliśmy się oddać im głos – by sami mogli rozmawiać o tym, jak godzą różne role i oczekiwania.

Uczestnik dialogu o ojcostwie powiedział grupie, że „dziecko potrzebuje silnej ręki".
– A pamięta pan, co zaraz dodał?



WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

– współzałożyciel i prezes Fundacji Nowej Wspólnoty, która zajmuje się łagodzeniem podziałów społecznych w Polsce. Kiedyś dziennikarz tygodnika „Polityka", założyciel centrum analitycznego Polityka Insight, którym kierował w latach 2013-19. W latach 2019-24 był pełnomocnikiem rektora Uniwersytetu SWPS

Że gdy dał mu klapsa, czuł się przegranym?
– Właśnie. Jego historia opowiada o dwóch ważnych rzeczach. Raz, że na spotkaniach mężczyźni mieli odwagę mówić rzeczy, które gdzie indziej naraziłyby ich na potępienie.

Bo nie mogli oceniać siebie nawzajem.
– Tak, ale mogli się odnieść do tych słów i dodać, jak oni coś widzą. I w tej konkretnej sytuacji byli uczestnicy, którzy powiedzieli, że dla nich jako ojców niedopuszczalne jest podniesienie ręki na dziecko. Ale ta historia pokazuje coś jeszcze: mężczyźni nie mają okazji do konfrontowania swoich przekonań i wyobrażeń z innymi mężczyznami. Najczęściej więc idą schematem własnego ojca. My zachęcaliśmy ich, aby wychodzili ze swoich baniek.

Wychodzili?
– Tak. Na dialogach potrzeba męskiego zrozumienia i pozytywnej męskiej solidarności była silniejsza niż nieśmiałość czy brak zaufania. Uczestnicy nie tylko mówili o sobie, ale też otwierali się na innych. Ci, którzy nigdy nie dotknęliby karabinu, słuchali tych, którzy od jutra byliby gotowi strzelać. Zwolennicy tradycyjnych rodzin nadstawiali ucha, gdy mówili mężczyźni w związkach nieformalnych. Była ciekawość innego.

Większość uczestników miała umiarkowanie konserwatywne poglądy. Niby jak mieli dogadać się z liberałami?
– Jeśli tak podchodzimy do sprawy, ocieramy się o arogancję. Pokazujemy innym, że wiemy lepiej, jak powinni żyć.

Ale mężczyźni często uważają, że właśnie mają większą wiedzę.
– Chyba wiem, do czego pan zmierza. Do tego, że wielu mężczyzn czuje się w obowiązku rozwiązać każdy problem? Że są pragmatyczni, więc gdy partnerka opowiada im o wrednym szefie w pracy, natychmiast sugerują jej kilka wyjść z sytuacji?

Dokładnie.
– Mężczyznom rzeczywiście wydaje się nadal, że współczesny świat oczekuje od nich rozwiązań i odpowiedzi. Tymczasem świat mówi: „Stary, nie musisz. Twoja partnerka świetnie ogarnia własną pracę. A mówi ci o denerwującym szefie, bo chce, żebyś ją wysłuchał". Notabene, dokładnie z tego samego powodu mężczyźni opowiadają kobietom o tym, co u nich w robocie.

To dlatego zorganizowaliście, poza dialogami, Treningi Rozmowy dla Mężczyzn?
– Między innymi. W przeciwieństwie do dialogów odbywały się online – udział mogły wziąć osoby z dowolnej części Polski. Nie polegały już na omawianiu określonego tematu, tylko na ćwiczeniu konkretnych umiejętności komunikacyjnych poprzez odgrywanie scenek z codziennego życia.

Uczestnicy nie krępowali się?
– Też się tego obawialiśmy. Dlatego przed scenkami tłumaczyliśmy: „Wiemy, że skręca was na samą myśl. Ale postarajcie się potraktować to jak zabawę i ćwiczenie, które może się przydać w realnych sytuacjach". Jakich? Na przykład jeden mężczyzna z pary wcielał się w nastolatka trzaskającego drzwiami. Drugi – w jego tatę. Zadaniem dorosłego było umiejętnie rozpoczęcie i poprowadzenie rozmowy. Po jednej scence zamieniali się rolami. Na koniec zaś zastanawiali się wspólnie, co było skuteczne w rozmowie. Ze swoimi refleksjami wracali do całej grupy. Dzięki temu wszyscy wymieniali się wiedzą. Na bazie tych ćwiczeń z treningów stworzyliśmy potem Karty Rozmowy dla Mężczyzn – z patentami na rozmowy z dziećmi, z partnerką, w pracy czy z własnymi rodzicami. Można je pobrać za darmo na stronie Fundacji. Jedna karta to jedna sytuacja. Dziecko odmawia zrobienia czegoś? Karta podpo-

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 7e1750f966

wiada, aby zapytać, co mu się nie podoba w danej sytuacji – zamiast od razu egzekwować posłuszeństwo.

Przecież to...
– Pewnie zbyt proste dla pana?

Nie, po prostu nie zdawałem sobie sprawy, że mamy aż takie problemy z rozmową.
– Bo nawykliśmy do rządzenia. A rządzenie nie wymaga stawiania otwartych pytań czy wchodzenia w dyskusję. Tak ma być i koniec rozmowy. Kobiety mają tutaj przewagę, bo przez setki lat musiały negocjować z mężczyznami, właśnie poprzez rozmowę.

Owszem, zamiast kart mogliśmy napisać podręcznik. Ale książek jest sporo i niekoniecznie przydają się w życiowych sytuacjach. Zrobiliśmy karty, bo są łatwe w użyciu i zrozumiałe – dobre dla pragmatycznych mężczyzn. Dla niektórych podpowiedzi będą oczywiste, ale na Treningach Rozmowy dla Mężczyzn nieustannie zaskakiwało nas to, że proste rzeczy są dla wielu odkryciem.

Przykład?
– Część mężczyzn była zaskoczona, że gdy nie zgadza się z poglądami innej osoby, nie musi od razu iść do ataku albo bronić własnych przekonań. Na dialogach pokazujemy, że zamiast tego można zagadnąć: „Słuchaj, a kiedy zacząłeś tak myśleć? I dlaczego?". Pytanie wychodzące od ciekawości zamienia konfrontację w rozmowę. Pozwala nam złapać dystans do własnych emocji. Uzmysławia, że odmienne poglądy nie zagrażają naszym.

Dla niektórych mężczyzn to równość płci jest zagrażająca.
– Większość uczestników projektu „Panowie, gadamy!" deklarowała, że cieszy się z równości. Pozostali, którzy na swój sposób mierzyli się z nią, w żaden sposób nie podważali jej zasadności czy słuszności.

Stary porządek był dla nas, mężczyzn, jasny, przejrzysty i korzystny. W nowym czujemy, że tracimy przywileje i pozycję. Niektórzy nadal chcą, by partnerki rozwiązywały ich problemy z emocjami. Inni z kolei nie wiedzą, czy będą w stanie pogodzić się z tym, że ich żony zarabiają więcej. Bo dla nich – ale też sporej części kobiet – dobra praca i zarobki są nadal miarą mężczyzny. Żyjemy w momencie przejściowym, między światem rządzonym przez mężczyzn a tym równościowym.

To na czym polega dzisiaj nasze zadanie?
– Zająć się sami sobą i dookreślić, kim chcemy być, jak chcemy działać w świecie równości. Dlatego tytuł naszego raportu brzmi „Męstwo" – chodzi w nim o odwagę do samostanowienia mężczyzn o sobie. Kobiety przez lata walki o swoje prawa wypracowały wspólną świadomość społeczną. Zakładały organizacje, zrzeszały się, demonstrowały. Wymieniały doświadczenia i wiedzą, kim chcą być. Współcześni mężczyźni dookreślają się indywidualnie, na własną rękę, każdy z osobna. A jednocześnie, jak pokazał nasz projekt, mają ogromną potrzebę rozmowy między sobą, wymiany doświadczeń, zderzania przekonań na temat swoich ról w zmieniającym się świecie. Dlatego mówimy: panowie, gadamy! ▲

MATERIAŁ PROMOCYJNY

DARE 2B

Męska bluza **Heat Weave** marki **Dare 2b** to lekka i ciepła warstwa pośrednia, stworzona z myślą o aktywności w zmiennych i nieprzewidywalnych warunkach. Termiczna przędza w połączeniu z przewiewną konstrukcją pomaga utrzymać optymalny komfort, ograniczając ryzyko przegrzania. Elastyczny materiał oraz technologia SEAMSMART zapewniają pełną swobodę ruchów, a praktyczne detale — kaptur, otwory na kciuki i funkcjonalne kieszenie — sprawiają, że bluza doskonale sprawdzi się podczas wymagających aktywności.



prasa.pl 7e1750f066



Zabawa *granicami*

Nie lubię być postrzegany poprzez stereotypy i staram się w jakiś sposób je burzyć. Robię coś, co jedna osoba nazwie graffiti, druga powie, że to mural, a trzecia – że Picasso

Z **MIKOŁAJEM REJSEM**, ARTYSTĄ, ROZMAWIA **JUSTYNA GROCHAL**

Gdy pierwszy raz zobaczyłam twoją twórczość, pomyślałam, że jej styl, pełen różnych stworzeń, bardzo pasuje do opowieści, które czytywałam w dzieciństwie. Okazuje się, że dostałeś propozycję zrobienia ilustracji do „Baśni, których nie czytano dziewczynkom" Myriam Sayalero.
– Te baśnie są cudowne. Wszystkie przeczytałem od deski do deski i uważam, że to dobra książka także dla dorosłych. Dają narzędzia, które uczą, jak żyć, jak postępować w pewnych sytuacjach w zgodzie ze sobą i innymi.

Jak działa twoja wyobraźnia? Czytasz takie baśnie i od razu widzisz postacie, którymi chcesz zilustrować daną opowieść?
– Niektóre od razu się wyrysowywały, innych trzeba było bardziej poszukać. Każdą baśń miałem rozpisaną na pewne elementy, a oprócz tego robiłem research odnośnie do danej kultury, bo każda z tych baśni pochodzi z innego zakątka świata. W obrazach chciałem przekazać coś więcej niż treść. Natomiast miałem świadomość tego, że dobrze, aby dzieci, które będą to czytały, widziały na ilustracjach również to, co się dzieje w danej baśni. Połączenie tych różnych elementów było dla mnie bardzo istotne. Tak samo to, żeby pokazać kobiety jako silne osobowości.

To chyba z jednej strony odpowiedzialna rola, ale z drugiej bardzo wdzięczna – kształtować dziecięcą wyobraźnię?
– Tak, na pewno. W dzieciństwie też miałem swoje ulubione książki czy prace, które na mnie wpłynęły i które do tej pory pamiętam. Na przykład „Historia wyssana z sopla lodu". Bardzo ciekawa kreska. I dużo innych rzeczy, które mnie ukształtowały. A czasami zryły beret, bo takie też były. Ale wydaje mi się, że dzieci nie powinny być trzymane pod kloszem. Książki pozwalają im stykać się z różnymi zagrożeniami w sposób bezpieczny. Dzięki temu będą później wiedziały, jak zareagować w danej sytuacji, będą na to przygotowane.

Co albo kto jeszcze rozbudzał twoją wrażliwość, ale też wyobraźnię w dzieciństwie?
– Na pewno przyroda. Fascynowała mnie fauna. Dostałem starego Zenita od babci i fotografowałem zwierzęta. Za pieniądze

eprasa.pl 7e1750f966

z komunii – 50 zł, pamiętam – kupiłem sobie pierwszy aparat, Hanimex, i zrobiłem album ornitologiczny. Chodziłem po różnych nieużytkach, nad stawy, do lasów, parków i fotografowałem ptaki. Aparat miał małe możliwości, więc ptaki na moich zdjęciach były tylko kropkami w kółeczkach z podpisami gatunków *(śmiech)*.

Miałem też w podstawówce przyjaciela, który pochodził z rodziny myśliwych, ale był takim, powiedzmy, przyrodnikiem, człowiekiem antyłowieckim. Chodziliśmy po lesie i ściągaliśmy wnyki, znajdowaliśmy ślady bytowania ptaków, rozszarpane zwierzęta i tym podobne. Kupiłem sobie lupę i zbierając te znaleziska, odkrywałem różne ich elementy. Przyglądałem się stosinie pióra i próbowałem rozszyfrować, jak to działa. Miałem też kolekcję kości dinozaurów, czyli znalezioną w ogródku... rzepkę krowy *(śmiech)*. Byłem przekonany, że to kość dinozaura.

Indiana Jones był dla mnie ważną postacią. Budowałem domki na drzewach, odkrywałem mikroświaty różnych organizmów czy robiłem doświadczenia fizyczne, próbując zrozumieć zjawiska w przyrodzie. Sądzę, że każdy powinien mieć taką potrzebę odkrywania i szukania. Może nie prawdy obiektywnej, ale po prostu prawdy o sobie. Pod pewnym kątem kształtowały mnie też komiksy. Przerysowywałem z nich elementy.

Czyli jesteś samoukiem?

– Tak, jedyną osobą w rodzinie, która coś rysowała, był wujek Marek. Malował i rysował konie. Był postacią, która wpłynęła na mnie nawet poprzez samą opowieść.



„Dust it off" 2026

Wszyscy o nim dobrze mówili, ja też dobrze go zapamiętałem.

Zacząłem tworzyć prace wspierające Front Wyzwolenia Zwierząt, który założył Darek Paczkowski, dziś mój kolega. To była moja pierwsza styczność z ulicą, malowałem swoje symbole.

Twoja przygoda ze sztuką uliczną zaczęła się od liter, czyli graffiti.

– Tak, koledzy ze szkoły malowali graffiti, i to dzięki temu zajawiłem się na tę formę ekspresji.

Co cię w tej formie zainteresowało?

– Dużo rzeczy, ale chyba przyjaźń była dużym aspektem. Polubiliśmy się, a to ludzie tworzą te kręgi. Lubisz kogoś i chcesz robić z nim coś wspólnie. A jeśli chcesz się rozwijać, to szukasz pewnych zainteresowań, pasji. Na pewno przyciągała mnie przynależność do grupy, ale może też trochę nielegalność tych działań. Każdy gdzieś się uczy i odpowiada za swoje błędy, odbiera różne lekcje. A jeżeli dąży do czegoś i jest dobrym człowiekiem, to nawet robiąc coś nielegalnie, może robić coś pozytywnego.

OGŁOSZENIE

Kraków

Kinga Nowak

bunkier sztuki

23.09.2026

3.01.2027

RZAR MI TROPIKUW

A TROPIKAL FIVA UV REGREJT

bunkier.art.pl

eprasa.pl 7e1750f968



MIKOŁAJ REJS

– autor murali, obrazów i ilustracji. Od końca lat 90. aktywny w sferze sztuki ulicy, zajmuje się także edukacją artystyczną i społeczną funkcją sztuki. Jego prace powstają przeważnie w przestrzeniach postindustrialnych i czerpią z ludowych mitów

Mam takie motto: „push to create or push to destroy". Farba jest tylko narzędziem. Mając narzędzie, wybierasz, co chcesz z nim zrobić. A z każdym można zrobić coś złego lub dobrego.

Czyli postrzegasz to jako element drogi, budowania warsztatu i coś, co prowadziło cię do miejsca, w którym jesteś?
– Zgadza się. Od pewnego momentu starałem się nieść swoją twórczością jakiś przekaz. A później doszedłem do wniosku, że litery to dla mnie za mało. Można napisać swoje imię i wszędzie je pisać. To jest OK, jednak ja przez obraz chcę wzbudzić pewne emocje, uwrażliwić czy chociażby przekazać coś wartościowego.

Efemeryczność tej sztuki, zarówno w przypadku graffiti, jak i murali, też cię w jakiś sposób zafascynowała?
– Na pewno, bo to nie jest praca w galerii, zabezpieczona i chroniona. Ulica daje dużo kontaktu z ludźmi, ciągle czegoś się uczysz, ale i ludzie uczą się czegoś od ciebie. Efemeryczność traktuję jako pozytywny aspekt, bo nawet jeśli ktoś popisze mi pracę, to dla mnie jakaś lekcja. Uczę się czegoś o ludziach.

Na przestrzeni lat zmieniło się twoje podejście do sztuki ulicznej?
– Na pewno, bo ja się zmieniam cały czas, otoczenie też. Dziś sztuka uliczna jest bardziej rozbudowana, rozwinięta. Jest to już element bardziej przyswojony przez społeczeństwo. Ludzie to rozumieją, kiedyś nie wiedzieli, co to jest. Teraz to, co robię, nazywa się muralem, kiedyś wszystko, co powstawało na ścianach, nazywano graffiti. Do tej pory nie ma zresztą konkretnej definicji, czym jest graffiti, czym mural, co to jest street art albo urban art. Te pojęcia są dość płynne, a definicje mają dużo luk, lubię wychodzić przez nie i bawić się granicami, robić rzeczy, które są niedopowiedziane. To jest moja ścieżka. Nie lubię być postrzegany poprzez stereotypy i staram się w jakiś sposób je burzyć. Uważam, że do każdej działalności powinno być indywidualne podejście. Oczywiście stereotypy są potrzebne, ale tylko do powierzchownej oceny. Robię coś, co jedna osoba nazwie graffiti, druga powie, że to mural, a trzecia, że Picasso.

Które z tych stereotypów najbardziej cię drażnią czy frustrują?
– One mnie może nie drażnią, ale obywam się z nimi. Akceptuję, ale uczę się i uważam, że dobrze jest się rozwijać i uświadamiać ludzi w pewnych kwestiach, tworzyć wokół nas przestrzeń, która będzie przyswajalna dla każdego. Swoją twórczością staram się ludzi uwrażliwiać, tworzyć środowisko empatii i tolerancji.

Co chcesz przekazać poprzez swoją sztukę muralową?
– Bardzo dużo rzeczy. Przede wszystkim chcę wzbudzić pozytywne emocje w ludziach, wywołać uśmiech na ich twarzach. Chciałbym, żeby przystanęli na chwilę w tym ciągłym ruchu i mogli sobie pozwolić na myśl. Wykonuję różne prace. Jedna jest robiona na szybko, inna zajmuje bardzo dużo czasu. Każda ma inny cel i inną funkcję.

Twoja praca jest trochę jak praca archeologa. Dotykasz różnych tematyk, czasem musisz się dokopywać bardzo daleko, żeby stworzyć dany projekt. Od czego zaczynasz?
– Czasami projekty dotykają pewnych historii, opowieści. Czasami muszą się wpisać w pewne wytyczne. Dobrze jest indywidualnie podejść do konkretnej pracy, bo każda jest inna i ma swój zasób energii. W Chełmnie, gdzie robiłem mural w ramach festiwalu 9Hills, po konsultacjach z właścicielem podjąłem decyzję, żeby namalować napis „Introligatornia", który poniekąd byłby reklamą mieszczącego się wewnątrz budynku zakładu introligatorskiego. Mieszkała w nim cała rodzina założyciela tego zakładu. Poszedłem przed rozpoczęciem prac zrobić konsultacje społeczne. Najpierw do pracowni introligatorskiej pana Jana Malinowskiego. Zacząłem z nim rozmawiać. Okazało się, że połowa jego rodziny została rozstrzelana podczas wojny. Introligatornię założył je-

eprasa.pl 7e1750f966


BENTLEY
BENTLEY
MOMENTUM
UNBREAKABLE
BENTLEY
MOMENTUM
UNLIMITED
BENTLEY
MOMENTUM
INTENSE
Dostępne w ofercie
ROSSMANN
Moja Drogeria
POZNAJ KOLEKCJĘ ZAPACHÓW BENTLEY

go dziadek, jeszcze przed wojną. Przechodziła z pokolenia na pokolenie.

Czyli praca nad muralem jest chyba w dużej mierze o spotkaniu?
– Często tak. W Tarnowie jest nawet mój mural, który nosi tytuł „Spotkanie". Przy realizacjach dla instytucji czy urzędów zawsze zakładam, że projekt musi być zaakceptowany przez konserwatora zabytków czy plastyka miejskiego i często odbywam konsultacje społeczne z mieszkańcami. Bo uważam, że praca artysty nie polega na tym, że robimy projekt i wklejamy go na ścianę, tylko jednak pracujemy nad tym projektem z ludźmi, którzy tworzą daną społeczność. Podczas tworzenia podchodzą do mnie osoby, które są tym zainteresowane. Przychodzą, bo coś się dzieje, tworzy. Wtedy dzielą się i historią, i swoimi przemyśleniami na temat muralu. Zawsze dostosowuję projekt do lokalnej tkanki, do przestrzeni, w której się znajduję, i do aspektów wynikłych w trakcie konsultacji społecznych.

Mural według ciebie może opowiadać o tożsamości miasta?
– Tak, oczywiście. To bardzo ważny aspekt i uważam, że miasta powinny poprzez murale zwiększać edukacyjną wartość tożsamości, ale to tylko jeden z wielu istotnych elementów, które miasta powinny mieć na uwadze przy realizacji murali. Mam na tyle pojemny styl, że jestem w stanie pogodzić kilka aspektów, czyli dopasowanie się do przestrzeni kolorystycznej, formę, która jest atrakcyjna, własny styl i przekaz. Dlatego sądzę, że styl musi być na tyle elastyczny, że można te wszystkie elementy wrzucić, a projekt nie zrobi się pizzą, tylko będzie miał po prostu ciekawą formę.

W twoich pracach regularnie wracają leśne bóstwa, dziwożony, zwierzęta i postaci zaczerpnięte z ludowych mitów. Skąd ta potrzeba sięgania do folkloru?
– Gdy jako fotograf jeździłem z ekipą po opuszczonych fabrykach, to na zdjęciach z tych miejsc zaczęło mi brakować życia. Czułem taki dystopijny klimat w tych przestrzeniach. W tamtym czasie słuchałem też sporo industrialnej muzyki. Wykształcenie, a studiowałem nauki przyrodnicze, też spowodowało, że interesowała mnie sukcesja, czyli obiekty stworzone ręką ludzką, ale opuszczone i przejmowane przez naturę. To dla mnie bardzo fascynujące – co było przed nami, co będzie po nas



„Duch Carmen. Miłość jest buntowniczym ptakiem" 2019

i jak to będzie wyglądać. Albo sama świadomość tego procesu, czasowości istnienia i przemijania.

Te moje postaci są takimi duchami tych miejsc, w jakimś sensie też pracowników, którzy odeszli, może zostawili po sobie coś personalnego. Wykorzystywały elementy zastane w tych fabrykach. Czyli na przykład znajdowałem jakiś wazon i malowałem ducha, który z nim korespondował. Była to taka interakcja obrazu z rzeczywistością. Natomiast później przeprowadziłem się na Lubelszczyznę i jeździłem na konferencje dotyczące starosłowiańskości, tradycji. To były dla mnie bardzo inspirujące lata. Zacząłem fascynować się panteonem duchów i bóstw starosłowiańskich.

Co daje ci mitologia, czego nie daje ci współczesny język sztuki?
– Poczułem, że te stare bóstwa i duchy mają ciekawe atrybuty. Same w sobie były niegdysiejszym tłumaczeniem zjawisk. Personifikowano pogodę, która na przykład przylatywała i przepędzała chmury, stąd powiedzenie: „Jest dzisiaj pogoda". Czy dziwożonę, która porywała dzieci. Dziś to nadal występuje – ludzie tłumaczą sobie pewne zjawiska, których nie rozumieją. To dla mnie fascynujące.

Staram się to wszystko łączyć, mój mózg jest jak wewnętrzny DJ: wrzucam do niego trochę mitologii, trochę komiksu, trochę zwierząt, trochę naukowych treści. On wszystko miksuje i wychodzi coś swoistego, współczesnego. W tym widzę wartość, bo to nie są czysto przełożone stwory z książek naukowych Aleksandra Gieysztora czy Oskara Kolberga, tylko nimi inspirowane. Nie maluję dokładnie postaci z wierzeń czy mitologii, robię je po swojemu, tak jak je czuję.

Pracowałeś przy inicjatywie Cogiteonu dotyczącej neuroróżnorodności, której towarzyszyły warsztaty dla osób w spektrum. Czy sztuka może realnie zmieniać sposób, w jaki myślimy o osobach, które postrzegają świat inaczej?
– Oczywiście, sztuka i murale zmieniają świat. To jest fakt, z którym nie ma co dyskutować. Jest taki francuski artysta – JR. W 2007 roku sfotografował Izraelczyków i Palestyńczyków, ich portrety w wielkich formatach nakleił po obu stronach muru. Wszyscy byli uśmiechnięci na tych zdjęciach. I tacy sami. To był cudowny projekt, który mnie zmienił na pewno. To jest według mnie takie progresywne pójście dalej w tworzeniu mostów na świecie.

Ostatnio miałeś okazję stworzyć prace, które trafią na ubrania marki Medicine. To duże wyzwanie?
– Ten projekt wymagał sporego zaangażowania, bo robiłem prace w wielu formach i mediach – zarówno murale, jak i prace cyfrowe czy obrazy. Wszystko to później łączyłem, a graficy Medicine przystosowywali na ubrania. Cały czas z nimi współpracowałem i konsultowałam, jak ma to wyglądać. Było to dla mnie wyjście ze strefy komfortu. Ale jednocześnie zobaczyłem w moich pracach potencjał, którego sam nie potrafiłbym dostrzec czy wypracować. To było cudowne, bo też mnie czegoś nauczyło.

Kolekcja to dla mnie ważny krok w twórczości, bo włożyłem w to dużo serca i pracy. Jestem wdzięczny marce Medicine za taką możliwość. To tak jak w przypadku ilustracji do książki, wyjście z mojej strefy muralowej i robienie moim językiem, ale przy użyciu innych mediów, czegoś w całkowicie innych przestrzeniach. To kolejne doświadczenia pozwalające odkrywać i inspirować siebie i innych. ▲

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL, MIKOŁAJ REJS

eprasa.pl 7e1750f966



wysokieobcasy.pl

eprasa.pl 7e1750f966



DARYL MCCORMACK
W KAMPANII JW ANDERSON

Mężczyźni nie muszą udowadniać swojej pozycji siłą czy surowym wizerunkiem. Zdjęcie z barków ciężaru jedynego żywiciela rodziny i tradycyjnych matryc męskości otworzyło przestrzeń na swobodę estetyczną.



AARON LEVINE

HARRY STYLES



AIMÉ LEON DORE

Bez spiny i *spinek*

Najbardziej pożądanym atrybutem statusu staje się nie metka, lecz unikatowość ubioru i dystans do siebie

eprasa.pl 7e1750f966

TEKST **MAGDALENA KACALAK**

Szczytem męskiej mody nie jest noszenie poszetki do włoskiego garnituru. Bycie modnym nie polega też na ostentacyjnym epatowaniu luksusem i logotypami. Modowy sznyt osiąga się umiejętnym pogrywaniem kolorem, żonglowaniem modą współczesną i vintage oraz podbieraniem elementów uznawanych sztampowo za kobiece. Dzisiejszy trzydziesto- lub czterdziestolatek, postrzegany jako cel odzieżowego marketingu, jest wykształcony, dobrze sytuowany oraz pewny swojej pozycji zawodowej i tożsamości. Bez wahania pożyczy z szafy partnerki dzianinowy kardigan, wyjdzie z domu ze skórzaną torbą kupioną w kobiecym brandzie, a w weekend założy Birkenstocki, uzupełniając je kolorową kaszmirową skarpetką.



Współczesna moda żywi się ironią i dystansem do samej siebie. Noszenie rzeczy uznawanych dawniej za babcine czy damskie jest czytelnym sygnałem wysokiej pewności siebie.

ODETNIJ MĘTKĘ

To nowy męski mainstream, a nie nisza branży kreatywnej z wielkiego miasta. Tradycyjnie pojmowana męskość odnalazła siłę w stylistycznym dystansie do samej siebie. Świadomość mody nie wymaga korzystania z krawiectwa na miarę, ale znajomości kodów estetycznych dyktowanych przez współczesną kulturę. Proklamuje brak spiny (i spinek do mankietów) i nonszalancję w noszeniu się. Wręcz w abnegackim wydaniu, bo zupełnie pozbawioną chęci prowokowania czy zajmowania stanowiska. Traktuje sposób ubierania się jako narzędzie zabawy i eksperymentowania, co uwalnia mężczyzn od dywagacji, co im wypada i jak ich to definiuje.

Ten zwrot ku autentyczności i swobodzie znajduje odzwierciedlenie na łamach najbardziej prestiżowych męskich tytułów. Brytyjski „GQ" ogłosił nawet upadek rygorystycznego dress code'u, wskazując, że klasyczny garnitur przestał pełnić funkcję społecznego pancerza, ustępując miejsca mieszance odzieży roboczej, vintage i luksusowych akcesoriów. Na łamach „Financial Times" krytycy mody regularnie analizują zjawisko przesunięcia rynkowego w stronę estetyki uniseks, podkreślając, że najbardziej pożądanym atrybutem statusu staje się nie metka, lecz unikatowość ubioru zdobyta po wielu godzinach spędzonych na selekcji archiwalnych modeli outdoorowych marek klasy premium czy wyszukiwaniu perełek z drugiej ręki. Z kolei magazyn „lGranary" zwraca uwagę na zacieranie się granic płciowych w garderobie jako dowód na dojrzałość emocjonalną współczesnych konsumentów. Estetyczny pragmatyzm cenią wyżej niż stereotypy.

ODKUPIĘ Z DOBRYCH RĄK

Fundamentem tej zmiany jest przewartościowanie męskich rekwizytów statusu. Jak wynika z analiz Business of Fashion (BoF), globalny rynek luksusowej męskiej odzieży i akcesoriów rośnie w tempie bardziej dynamicznym niż segment kobiecy (bo wciąż jeszcze ma niewykorzystany potencjał), przy czym to właśnie kategorie biżuterii, galanterii skórzanej oraz obuwia casualowego generują największe wzrosty. Dane z globalnych platform wyszukiwania mody, takich jak Lyst czy SSENSE, wskazują na kilkusetprocentowy, regularny wzrost zainteresowania takimi frazami, jak „męskie naszyjniki z pereł", „małe torby typu crossbody" czy „archiwalna odzież techniczna" (tzw. gorpcore). Co istotne, ten świadomy klient nie szuka bezmyślnej konsumpcji. Raporty serwisów sprzedaży produktów z drugiej ręki (np. ThredUp czy Vinted) jednoznacznie wskazują, że dobrze sytuowani mężczyźni z pokolenia X oraz milenialsi mają sprecyzowane potrzeby i chętnie zaspokajają je w drugim obiegu. Nie z braku funduszy, lecz w poszukiwaniu rzadkich okazów, konkretnych materiałów i autentyczności historycznej.

STRATEGIA UNISEKS

Gwałtowna rewolucja w męskiej szafie nie jest jednak wyłącznie ruchem oddolnym. To precyzyjnie wyreżyserowany manewr koncernów z luksusową modą, które dostrzegły, że współczesny klient męski zaczął oczekiwać estetycznego wyrafinowania i pewnej zmysłowości w modzie. Przykłady tego, jak luksus odpowiedział na te potrzeby, odnajdziemy w strategiach marek Loewe, Bottega Veneta oraz Miu Miu.

Jeszcze pod kierownictwem Jonathana Andersona hiszpański dom mody Loewe stał się pionierem w redefiniowaniu męskiej sylwetki. Anderson zrezygnował z pompatycznych ekstrawagancji na rzecz krawiectwa, które wprowadziło do męskich kolekcji elementy rezerwowane dla ubioru kobiecego: lejące dzianiny, odsłonięte ramiona, szydełkowane detale oraz tekstylia o bogatej fakturze. Hitem marki były rybaczki fisherman jeans z szerokimi podwiniętymi nogawkami, ale kluczowym ruchem było pokazanie kultowej torebki Puzzle Bag w męskiej kolekcji, nim trafiła do damskiej, i wprowadzenie modelu Flamenco, który mężczyźni mogą nosić jako pełnoprawnie męskie akcesorium.

W Bottega Veneta ówczesny dyrektor kreatywny Matthieu Blazy skupił się na pojęciu cichego luksusu, ale w wersji zmysłowej i pragmatycznej. Ten trend kontynuuje nowa dyrektorka artystyczna Louise Trotter. Kultowa plecionka Intrecciato (modele torebek Andiamo, Cabat czy Jodie) trafi-

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, DIA DIPASUPIL / GETTY IMAGES, MEDIA-MODE / SPLASHNEWS.COM / EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/REX FASHION/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 7e1750f966

ła w męskie ręce. Wyeliminowanie płciowego podziału na torebki pozwoliło marce zwiększyć efektywność finansową i produkcyjną (jedna linia produktów obsługuje całą bazę klientów).

Ciekawy przypadek stanowi Prada i Miu Miu (siostrzana marka Prady), która choć głównie dedykowana kobietom, w ostatnich latach daje mocną wypowiedź w kontekście męskich trendów. Miuccia Prada wprowadziła do męskich stylizacji element ironii i kontrolowanego niedbalstwa. Miu Miu każdej płci dało przyzwolenie na noszenie wyciągniętych babcinych swetrów, kusych kardiganów i krótkich spodenek poza sytuacją wakacyjną.

Z TOREBKĄ W DŁONI

Dowodem na to, że nowy styl zyskał masową akceptację, są współczesne ikony popkultury. Funkcję ambasadorów estetyki gender fluid pełnią idole tacy jak Harry Styles i Jacob Elordi. Ten pierwszy odpowiada za modę na perły na męskiej szyi i noszenie kolorowych (niekoniecznie damskich) kardiganów oraz ma na koncie współpracę z projektantem Jonathanem Andersonem, a ostatnio z Markiem Jacobsem przy teledysku „Dance On Me".

JAK PO ROBOCIE

Ten sam kierunek obejmują sami projektanci, których autorytet wyznacza drogę rozwoju dla całej branży. Przykładem Aaron Levine, były dyrektor kreatywny marek Club Monaco i Abercrombie & Fitch. Levine reprezentuje mężczyzn o pokolenie starszych, ma pięćdziesiątkę, szronkowatą brodę i nawet latem nosi czapkę beanie. Nie mieszka w metropolii, wraz z rodziną żyje w małym mieście w stanie Ohio. Do Nowego Jorku przyjeżdża kilka razy w miesiącu, by doglądać prac nad własną marką odzieżową zgodną z jego stylem osobistym. Zaprojektowane przez niego ubrania imitują styl vintage americana – to zwykle robocze kurtki udające podniszczone, sprane dżinsy, grube flanele i robocze buty. Nowości pokazuje i stylizuje na sobie w domowej pracowni, od razu przekierowując fanów do sklepu online.

Tej jesieni na styl Aarona mogą pozwolić sobie wszyscy, ponieważ w sklepach jest jego trzecia kolekcja stworzona we współpracy z Zarą. Połączenie luźnych garniturowych spodni z domieszką lnu, zamszowych kurtek, skórzanych miękkich toreb



Rozluźnienie obyczajów biznesowych sprawiło, że wygoda stała się priorytetem. Jeśli klapki z grubą skarpetą są wygodniejsze od skórzanych papci, a mała torba na ramieniu jest bardziej praktyczna od wypchanych kieszeni w dżinsach – wybór staje się oczywisty.

i nienachalnej biżuterii jest interesujące dla dojrzałego mężczyzny w każdym wieku... i dla kobiet, bo te same ubrania pokazywane są na obu płciach, budząc podobne zainteresowanie.

IGŁA Z NITKĄ

Gdy prześledzi się w social mediach profile takie jak @Attiresant, @tacosattire czy @minimalhousel, gdzie tysiące mężczyzn dzieli się wiedzą o konstrukcjach tkanin, limitowanych edycjach marek outdoorowych typu Arc'teryx czy technikach konserwacji skóry, to widać, że kulturowym zapleczem tej estetyki są kwitnące w sieci społeczności kolekcjonerskie, które w dużej mierze opierają się na zjawisku „ametora" – archiwizacji i dekonstrukcji tradycyjnej mody amerykańskiej. Głębszą warstwą tego zjawiska stała się pasja do naprawiania ubrań.

Potrzeba gromadzenia archiwalnych produktów poszukiwanych marek, od wczesnych projektów Stone Island po kultowe francuskie kurtki robocze z połowy XX wieku, wyrosła z nostalgii za czasem, gdy odzież miała tożsamość, ciężar gatunkowy i techniczną trwałość. Dla świadomego mężczyzny kolekcjonowanie takich egzemplarzy staje się odpowiednikiem inwestowania w obiekty designu, dzieła sztuki lub wina z dobrego rocznika.

Co ciekawe, zniszczenia, przetarcia i plamy przestały być traktowane jako wady dyskwalifikujące daną rzecz w noszeniu. Zamiast tego zyskały status świadectwa historii, dając początek trendowi na visible mending (ozdobne cerowania). Panowie własnoręcznie, z iście rzemieślniczym pietyzmem, łatają znoszone swetry japońską techniką haftu sashiko, przeszywają przetarte mankiety i personalizują archiwalne płaszcze autorskim ściegiem. Dodanie ręcznie wykonanego szwu czy drobnej, tekstylnej aplikacji staje się formą luksusu – zmienia bowiem seryjny, choć archiwalny produkt w niepowtarzalne dzieło sztuki użytkowej, które dodatkowo świadczy o unikatowym guście właściciela.

Nowa męskość w modzie okazuje się nie nowym trendem, ale interesującym przewartościowaniem pojęć. Odrzucenie sztywnych podziałów na to, co męskie i damskie, nowe i używane, stało się czytelnym sygnałem pewności siebie, wyrafinowanego gustu i dojrzałości. Współczesny mężczyzna nie musi komunikować statusu materialnego tradycyjnymi insygniami władzy typu garnitur z Savile Row czy nowy model Porsche. Ewolucja ta nie sprowadza się do prostej manipulacji rekwizytami czy chwilowej rebelii estetycznej, lecz wyrasta z przewartościowania samego pojęcia tożsamości. Świadomy siebie mężczyzna modę traktuje jako język ekspresji, w którym najcenniejszymi walorami są autentyczność, intelektualny dystans oraz niezależność emocjonalna. ▲

eprasa.pl 7e1750f966

SKECHERS

HANDS FREE Slip-ins

GLIDE-STEP

Air-Cooled MEMORY FOAM™



BEZ UŻYCIA RĄK PO PROSTU WSUŃ STOPY I GOTOWE

Zakładanie butów jeszcze nigdy nie było łatwiejsze dzięki Skechers Hands Free Slip-ins®. Zero schylania się. Bez dotykania butów. Po prostu wsuwasz stopy i gotowe.

Heel Pillow™ utrzymuje stopy bezpiecznie w miejscu!

NIGDY WIĘCEJ DOTYKANIA BUTÓW RĘKAMI

NIGDY WIĘCEJ SCHYLANIA

MOŻNA PRAĆ W PRALCE

Joanna Krupa

skechers.pl

eprasa.pl 7e1750f966



PASJE *i potrzeby*

Sporo klasyki, ale i nowości. Sweter w odważnym kolorze, torba słusznej wielkości w ręce i dobrej jakości dodatki.

1. Kurtka, **BYTOM, *999,99 zł*** **2.** Zegarek DS Action Diver 38 mm Powermatic 80, **Certina, *4790 zł*** **3.** Marynarka, **BYTOM, *799,99 zł*** **4.** Marynarka, **Paco Lorente, *599,99 zł*** **5.** Klapki Amsterdam Wrapped, **Birkenstock, *600 zł*** **6.** Koszula, **COS, *400 zł*** **7.** Plecak, **Medicine, *239,90 zł*** **8.** Półbuty, **Ochnik, *299,90 zł*** **9.** Sweter, **Uniqlo, *199,99 zł*** **10.** Półbuty z końskim włosiem, **Blundstone**, ***1399 zł*** **11.** Kurtka Amador Woodland Jacket, **Levi's, *739,90 zł*** **8.** Dżinsy, **Wrangler, *399 zł*** **8.** Torba weekendowa, **Mandel, *2390 zł***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE; OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl 7e1750f966


MEDICINE
WEARMEDICINE.COM



Mężczyzna w *łazience*

Jedni nadal myją twarz szamponem, inni potrafią dyskutować o retinoidach, ceramidach i stężeniu kwasów. Pomiędzy nimi rośnie grupa mężczyzn, którzy chcą mieć zdrową i zadbaną skórę

TEKST **KINGA ADAMCZAK**

Za każdym razem, gdy Paweł kończył golenie, jego twarz wyglądała, jakby ktoś przejechał po niej papierem ściernym: piekła, czerwieniła się. Na początku podbierał krem żonie. Później kupił własny i umówił się do dermatologa. – Zmieniłem kilka kosmetyków i zobaczyłem różnicę. Trzy minuty, parę tubek i po sprawie – opowiada. Wtedy miał wrażenie, że odkrył Amerykę.

Marcin zainteresował się pielęgnacją, gdy jako 14-latek zaczął zapuszczać włosy i brodę. Chciał je „dobrze ogarniać". – Kilkanaście lat temu facet używający kremu był dla innych mężczyzn kimś dziwnym. Panowało przekonanie, że prawdziwy samiec alfa nie używa balsamu do ciała ani kremu do twarzy – wspomina.

Paweł zebrał docinki przez filtr przeciwsłoneczny. Koledzy przekonywali, że SPF ma sens tylko na plaży w Hiszpanii. Później ci sami mężczyźni pytali, czego używa na suchą skórę.

Kosmetyczka przestała być rzeczą pożyczaną od partnerki tuż przed wyjazdem na wakacje. Zadbana skóra, włosy i zarost stały się dla części panów czymś równie zwyczajnym jak czysta koszula czy wizyta u fryzjera.

Z badania przeprowadzonego przez australijską firmę Roy Morgan wynika, że w ciągu ostatnich pięciu lat liczba mężczyzn używających produktów do pielęgnacji skóry wzrosła o ponad 20 proc. Największy skok odnotowano wśród młodszych klientów. Między 2024 a 2025 rokiem na Pinterest o 230 proc. wzrosła liczba wyszukiwań dotyczących męskich zabiegów na twarz.

Małą rewolucję widać także w gabinetach. – Jeszcze kilka lat temu mężczyzna trafiał do gabinetu wtedy, kiedy miał konkretny problem: trądzik, blizny, naczynka, nadpotliwość, albo wyraźne oznaki starzenia. Dziś coraz częściej pojawia się wcześniej i pyta, co może zrobić, aby jego skóra za kilka czy kilkanaście lat nadal była w dobrej kondycji – mówi Agnieszka Lew-Mirska, certyfikowana lekarka medycyny estetycznej i właścicielka Self Esteem Clinic.

SKÓRA NIE CZYTA ETYKIETY

Zmianę wyczuwa rynek. Powstają kolejne marki i linie dla panów. Dwayne Johnson stworzył markę Papatui, Pharrell Williams rozwija Humanrace. Butelki przybierają stonowane kolory, zapachy idą w stronę drewna i przypraw, a napis „for men" rozwiewa wszelkie wątpliwości. Tylko czy rzeczywiście jest potrzebny?

Męska skóra zwykle jest grubsza, zawiera więcej kolagenu, a pod wpływem androgenów produkuje więcej sebum. Dlatego też większa skłonność do rozszerzonych

FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl 7e1750f966

porów, zaskórników, łojotoku czy trądziku. Do tego trzeba doliczyć regularne golenie, które sprzyja podrażnieniom, wrastaniu włosków, zapaleniu mieszków i naruszeniu bariery hydrolipidowej. – Dla dermatologii czy medycyny estetycznej znacznie ważniejsze od płci są typ skóry, jej kondycja, wrażliwość, ilość produkowanego sebum, stan bariery hydrolipidowej czy konkretne problemy, z którymi się mierzymy – mówi Agnieszka Lew-Mirska.

Jeden mężczyzna może mieć cerę tłustą i skłonną do zaskórników, drugi suchą, reaktywną oraz stale drażnioną przez golenie. Retinoidy, witamina C, niacynamid, ceramidy i filtry nie rozpoznają płci osoby, która odkręca butelkę. – Czasami mówię półżartem, że skóra nie czyta etykiety „for men" – dodaje lekarka.

PROSTY SCHEMAT

Paweł rano myje twarz żelem, nakłada krem, a jeśli zamierza spędzić czas na zewnątrz, także filtr. Wieczorem ponownie oczyszcza i nawilża skórę. Po goleniu używa produktu, który łagodzi podrażnienia.

To bliskie zaleceniom ekspertki. Na początek wystarczą: łagodne oczyszczanie, odpowiednie nawilżenie, antyoksydacja i ochrona przeciwsłoneczna. To właśnie SPF Agnieszka Lew-Mirska uznaje za produkt dający największe korzyści w profilaktyce starzenia. Promieniowanie UV sprzyja powstawaniu przebarwień, zaburza koloryt, przyspiesza degradację kolagenu i utratę elastyczności skóry. Dopiero później przychodzi czas na składniki do zadań specjalnych. Retinoid włącza się z myślą o poprawie tekstury skóry i profilaktyce starzenia, kwas salicylowy przy zaskórnikach oraz nadmiernym wydzielaniu sebum, a niacynamid przy zaczerwienieniu i problemach z barierą hydrolipidową.

– W modnym dziś trendzie skin longevity niezwykle ważne są regularność i konsekwencja. Trzy dobrze dobrane produkty stosowane przez lata zrobią dla skóry znacznie więcej niż kilkanaście aktywnych składników zmienianych co tydzień pod wpływem TikToka – podkreśla lekarka.

Na efekty trzeba chwilę poczekać. – Najczęstszy błąd można streścić jednym zdaniem: „Skoro trochę działa, to dużo zadziała lepiej". Pacjenci potrafią zacząć od wysokiego stężenia retinolu, dołożyć do tego kwasy, peeling, mocny produkt oczyszczający i jeszcze uznać, że pieczenie świadczy o skuteczności. Efektem nie jest szybsza poprawa skóry, tylko uszkodzona bariera hydrolipidowa, zaczerwienienie, łuszczenie i przewlekły stan zapalny – mówi Lew-Mirska.

Mocny kwas albo retinoid zastosowany tuż po goleniu może nasilić podrażnienie. Błędem jest brak SPF. W gabinetach pojawia się więc nowy typ pacjenta. Nie zaniedbywał skóry – przeciwnie, próbował zrobić dla niej wszystko naraz. Zna modne składniki, śledzi nowości kosmetyczne, nie zawsze wie jednak, czego naprawdę potrzebuje jego twarz.

NIE CHCĄ INNEJ TWARZY

Serwisy społecznościowe pomogły oswoić męską pielęgnację. Ten sam ekran podsuwa jednak filtry zmieniające proporcje twarzy oraz materiały, w których oceniane są linia żuchwy, kształt oczu, włosy, cera i sylwetka. Looksmaxxing wyrósł z przekonania, że wygląd można nieustannie optymalizować. W łagodnym wydaniu oznacza pielęgnację, wizytę u fryzjera, aktywność fizyczną i troskę o zdrowie. Mniej bezpiecznie robi się wtedy, gdy mężczyzna zaczyna tropić w lustrze swoje kolejne defekty. – Medycyna estetyczna nie powinna polegać na realizowaniu każdego życzenia pacjenta. Czasami najlepszą decyzją medyczną jest powiedzenie: tego nie trzeba poprawiać – zaznacza lekarka.

Mężczyźni, którzy zgłaszają się do specjalistów, zwykle wcale nie chcą nowej twarzy. Interesują ich zabiegi poprawiające jakość cery bez zmiany rysów. Lasery stosuje się m.in. przy przebarwieniach, bliznach, rumieniu i nierównej strukturze. Panowie pytają również o poprawę jędrności, wsparcie naturalnej regeneracji, leczenie nadpotliwości czy terapie okolicy oczu. – Dla wielu z nich najlepszym komplementem po zabiegu jest: „Dobrze wyglądasz, byłeś na urlopie?" – mówi ekspertka.

Zanim jednak zdecydują się na procedurę, często pada bardzo praktyczne pytanie: „Czy następnego, a nawet tego samego dnia, mogę normalnie iść do pracy?".

Między żelem 3w1 a wyglądem analizowanym centymetr po centymetrze zostaje sporo miejsca na zwyczajne dbanie o siebie. Bez wstydu, ale też bez obowiązku wygrywania konkursu na lepszą wersję siebie. ▲

OGŁOSZENIE



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl Wydawnictwo Agora
www.wydawnictwoagora.pl

eprasa.pl 7e1750f966

DLA PANÓW

1. Żelowy booster anti-fatigue & stress, usuwa oznaki zmęczenia, liftinguje, Élixir de Jeunesse, Eisenberg ***(30 ml/495 zł).***
2. Yego to seria marki Ziaja dla mężczyzn. Żel pod prysznic i szampon 2w1 pachnie cedrem ***(400 ml/13 zł).***
3. Borsalino to znana od 1857 roku marka włoskich kapeluszy, a teraz też perfum. Black Iris stworzył Nicolas Bonneville. Zapach jest drzewno-przyprawowy ***(EDP 100 ml/446 zł, wyłącznie w Douglas).***
4. Nowy zapach marki Chopard Tobacco Malaki stworzyli Alberto Morillas i Dora Baghriche. Jest orientalno-drzewny. W sercu znajdziemy tytoń, oud i cedr ***(EDP unisex, 80 ml/559 zł, Douglas).***
5. Nowością marki Azzaro jest męski zapach Forever Wanted Absolu EDP – kompozycja orientalno-drzewna (kadzidło, whisky, wanilia) ***(100 ml/575 zł);*** poprzedni, Forever Wanted Elixir, był drzewno-skórzano-owocowy ***(100 ml/529 zł).***
6. Nowe antyperspiranty Thermic Resist, L'Oréal, chronią podczas wysiłku, w wysokich temperaturach czy stresie ***(50 ml/17,99 zł).***
7. Mare Assoluto, Brioni, to aromatyczno-drzewny zapach inspirowany Morzem Śródziemnym o zmierzchu ***(100 ml/655 zł, wyłącznie w Douglas).***
8. Krem regenerujący do twarzy, odżywia skórę, Yope Men ***(50 ml/49,99 zł).***
9. Nowy zapach L'Homme Intense, Elie Saab, jest drzewno-skórzano-cytrusowy ***(50 ml/399 zł, wyłącznie w Douglas).***



FOT. MATERIAŁY PRASOWE; OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl 7e1750f968


Radisson BLU
SOPOT
CHWILE WYCISZENIA
ODPOCZYWAJ W SOPOCIE
Poczuj unikalną atmosferę ponadczasowego kurortu i zadbaj świadomie o swoje zdrowie.
Ciesz się spokojem, wypoczywaj w nowoczesnym i komfortowym obiekcie – o krok od plaży, w sercu Trójmiasta.
ZWYCIĘZCA | Najlepszy Hotel Wellness w Polsce
www.radissonblusopot.pl

AZZARO



NOWOŚĆ
ABSOLU

AZZARO
WANTED

Dostępne w Douglas i na Douglas.pl

DOUGLAS

opasa.pl/reklama